



Virginia Kantra

***PIERWSZY
POCAŁUNEK***

Marcus Evans - obdarzony nadludzką siłą komandos z elitarnej jednostki antyterrorystycznej. Czyżby był jednym z Superpiątki?

Samantha Barnes - ambasador USA w jednym z państw Europy Wschodniej, której życie jest zagrożone

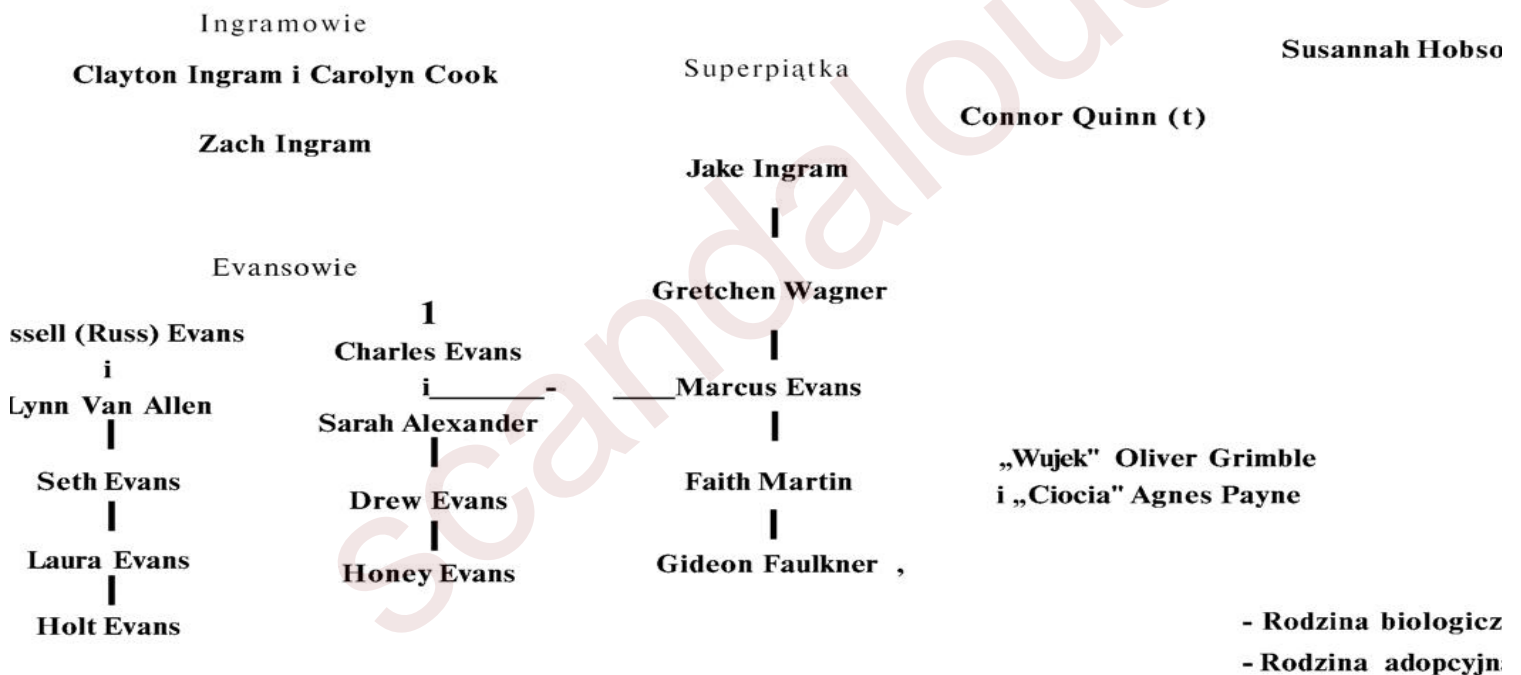
Jake Ingram - geniusz finansowy, który zna prawdę o Marcusie oraz wie, w jakim znalazł się niebezpieczeństwie

Jerry Baxter - agent specjalny z Wydziału Bezpieczeństwa, który zleca Marcusowi niebezpieczną tajną misję

Scandalous

RODZINNE SEKRETY

Henry Bloomfield (t) i Violet Vaughn, poślubiła potem Dalea



PROLOG

Porucznik Marcus Evans, potężnie zbudowany, nieustraszony komandos z elitarnej jednostki antyterrorystycznej Navy SEALs, który dowodził grupą takich jak on silnych i odważnych żołnierzy, nie miał pojęcia, co robić.

Nienawidził takich sytuacji. Nie podobało mu się również to, że okręt, którym płynęli po wodach Zatoki Perskiej, lada chwila może się nadziać na minę i wylecieć w powietrze. Nie był to jego okręt, lecz byli to jego ludzie, którzy wracali z udanej misji zwiadowczej. Nie chciał ich okłamywać, ale nie chciał też bagatelizować zagrożenia.

- Kapitan zmniejszył obroty - oznajmił, patrząc im prosto w oczy. - Jest nadzieja, że zdołamy się wydostać z tego pola minowego.

- Chyłkiem - rzucił sceptycznie Garcia, spec od wszelkiego rodzaju broni. - I po omacku.

- Wszystkie reflektory skierowano na wodę.

- Tak, ale najgorsze są te cholery pod powierzchnią - wtrącił Buzz, ekspert od środków wybuchowych. - Pukniemy w którąś i fajerwerki rozświetlą niebo aż po Bagdad.

- Może by tak wysłać na mostek Clarka, co? - zaproponował podoficer James Robinson. - On wszystko wypatrzy.

Chodziło mu o Marcusa, którego za plecami żartobliwie nazywano Clarkiem, Clarkiem Kentem lub po prostu Supermanem. James jako jeden z nielicznych miał prawo zwracać się do niego tak bezpośrednio. Ale nic dziwnego. Razem przeszli piekielnie ciężki

obóz szkoleniowy, na którym jeden bez drugiego by nie przetrwał. Byli jak Clark i Jimmy. Jak Tom i Jerry. Jak Doctor Evil i Mini Me.

Jednak w przeciwieństwie do ostatniej pary, która różniła się jedynie wzrostem, porucznik Marcus Evans i podoficer James Robinson nie byli do siebie ani trochę podobni.

- Lepiej nie ryzykować - odrzekł Marcus. - Jeszcze by mnie wyrzucili za burzę.

- A w ogóle co my tu robimy? - mruknął Garcia. W jego głosie wyczuwało się frustrację.

- Czekamy. To nie nasz okręt. Jesteśmy tylko pasażerami.

- Slick pomaga w ambulatorium - zauważył Buzz.

- Bo jest lekarzem, może im się przydać.

Marcus ponownie powiódł wzrokiem po podwładnych. Kiedy rozległa się syrena alarmowa, wszyscy, którzy nie pełnili wachty, zebrali się w mesie.

Jimmy, Garcia, Jacobs i Buzz przyglądali mu się uważnie, gotowi wypełnić każdy jego rozkaz.

Nagle okrętem wstrząsnął ogłuszający huk. Pokład wzniósł się, po czym grzmotnął o niewidzialne dno. Siła wybuchu poderwała Marcusa od stolika i cisnęła w górę.

Przez moment ciał powietrze. Jak Superman, przemknęło mu przez głowę, zanim zwałił się na metalowy pokład. W locie instynktownie obrócił się, tak by nic sobie nie połamać. Manewr okazałby się skuteczny, gdyby okrętem tak nie trzęsło.

Walnął czołem o podłogę. Przed oczami ujrzał gwiazdy. Ale żył. I chyba został w jednym kawałku. Podpierając się na łokciach, powoli unióśł głowę i rozejrzał dookoła.

Kiepsko to wygląda.

Jako oficer powinien starać się ogarnąć całą sytuację, a nie koncentrować się na szczegółach. Nie było to łatwe; wkoło leżeli ranni, niektórzy jęczeli z bólu. Skoro wybuch rozerwał podłogę w jadalni, to znaczy, że dolne pokłady...

Z czoła spłynęła mu do oczu krew. Zamrugał, by odzyskać ostrość widzenia. W powietrzu unosiły się kłęby pyłu. Albo dymu. Z trudem dźwignął się na nogi i zaczął szukać wzrokiem swych kompanów. Poczul ucisk w piersi. Tam! Pod pogiętą kupą żelastwa! Czy to nie...

Światło zamigotało i zgasło. Po chwili zapaliły się zamontowane na ścianach żółte lampy awaryjne.

- Clark? Poruczniku? To ty?

- Tak, Jimmy. - Marcus opadł na kolana. Zawsze miał doskonały wzrok, w dodatku niczym sowa świetnie widział w nocy. Nie potrzebował lampy, by zorientować się, że Robinson nie zdoła o własnych siłach wstać. - Jak się czujesz?

- Nie mogę poruszyć nogami. Myślisz, że zламаłem kręgosłup? - spytał takim tonem, jakby zastanawiał się, czy wieczorem spadnie deszcz.

Marcus wziął głęboki oddech - co było błędem, bo natychmiast przeszył go w klatce ból - i popatrzył na dziwnie poskręcane ciało przyjaciela.

- Nie. Myślę, że złamałeś obie nogi. Zaraz wezwę pomoc.

Garcia! - ryknął.

- Jesteśmy, poruczniku. - Garcia i Buzz wyłonili się z ciemności.

- Gdzie Jacobs? - spytał Marcus.

- Rozwalił sobie ramię. I chyba połamał zebra. Zaprowadziliśmy go do ambulatorium.

- W porządku. Sprowadźcie mi tu sanitariusza. I nosze.

- Robi się - oznajmił Garcia i rozpląnął się w mroku. Po pięciu minutach sanitariusz obejrzał Robinsona i uzyskał telefonicznie zgodę, aby przetransportować go na pokład słoneczny. Odłożywszy telefon, podał Marcu-sowi kartkę papieru pokrytą ciągiem cyfr.

- Wasza droga ewakuacyjna. Odczyta pan? Marcus zerknął na kartkę. Cyfry oznaczały różne korytarze, drzwi, włazy.

- Jasne.

Sanitariusz odprężył się, zadowolony, że nie ma przed sobą głąba i że nie musi nic tłumaczyć.

- To dobrze. Jeszcze jedno. Dowódca obrony przeciwawaryjnej potrzebuje czterech ludzi na siódmce.

- Mogę posłać trzech. Buzz...

Spec od środków, wybuchowych natychmiast ruszył we wskazanym kierunku.

- Ja i Garcia zgłosimy się, jak tylko przeniesiemy Robinsona na pokład słoneczny. - Marcus spojrział na przyjaciela, który leżał na noszach. - To co, Jimmy? W drogę?

- Czuję, że wcale mi się ta podróż nie spodoba.

- Wolałbyś utonąć?

Mimo że droga ewakuacyjna prowadziła z dala od ognia, po korytarzach niósł się huk, trzaski, jęki rannych, syk wody, ryk płomieni, wydawane krzykiem polecenia ludzi walczących o to, by okręt nie poszedł na dno. Wijące się po podłodze szlauchy wysysały wodę z wnętrza statku i wypływały ją za burty.

Marcus z Garcia szli ostrożnie, żeby się o nic nie potknąć i nie pośliznąć. Gdzieś tam coś się wciąż żarzyło, płonące śmieci fruwały w powietrzu. Nagle Marcus przystanął jak skamieniały. Przed oczami pojawił mu się obraz wielkich płomieni, ciemnej wody i małej przerażonej dziewczynki o bladej twarzy i mokrych czarnych włosach, która patrzy na niego wyczekująco.

Potrząsnął głową. Nie znał żadnych ciemnowłosych dziewczynek. Jego siostra Honey jest blondynką.

Garcia podszedł do włazu. Biorąc się w garść, Marcus delikatnie opuścił nosze na pochyły pokład. W trakcie uciążliwej wędrówki Jimmy stracił przytomność. Ocknąwszy się, jęknął z bólu, po czym chwycił Marcusa za nadgarstek.

- Wracasz tam?

- Muszę.

Robinson pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Uważaj na krypton - mruknął, gdy jego przyjaciel ponownie zanurzył się w ognistych bebeczach statku.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Praca to doskonałe lekarstwo. Stawia na nogi lepiej niż środki pobudzające, poprawia nastrój skuteczniej niż prozac. Nie powoduje skutków ubocznych w postaci otepienia, senności czy też drgawek.

I w przeciwieństwie do tabletek, nie przestaje działać po pięciu czy dziesięciu godzinach.

Samantha Barnes, pełniąca obowiązki ambasadora Stanów Zjednoczonych w Republice Delmonico, przyciągnęła do siebie kolejny stos dokumentów. Jedyna rzecz, jakiej praca nie mogła jej zapewnić, to dobry, długi sen. Ale za wszystko trzeba płacić. Dopóki personel nie cierpi z powodu jej bezsennych nocy, Samantha była zadowolona.

Powitała uśmiechem pokojówkę, która przyszła zabrać tacę z nietkniętym śniadaniem. Potem uprzejmym skinieniem głowy podziękowała swojemu asystentowi, kiedy położył przed nią plan jej pobytu w Waszyngtonie oraz przegląd prasowy.

Rzuciła pobieżnie okiem na tytuły artykułów: „Po kradzieży w Banku Światowym prezydent usiłuje rozwiać obawy inwestorów”; „Impas w negocjacjach bliskowschodnich”; „Idealnie zaprojektowane dzieci wynikiem programu rządowego?”

Przy ostatnim tytule uniosła zdziwiona brwi.

- Skąd czerpiemy informacje, Philipie? Z brukowców?

- Ta o dzieciach jest z „Washington Post” - zaprotestował Philip Scott, przyglądając się swojej szefowej. - Znów siedziała pani całą noc?

Nie całą, ale prawie. Tyle miała zaległości. Siłą woli Samantha rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Skądże! Po prostu wstałam trochę wcześniej. Nie potrafię pracować w łóżku jak... - Psiakość, jak się nazywała ta dramatopisarka, która za rządów Eisenhowera była ambasadorem we Włoszech? - Jak Clare Boothe Luce - dokończyła triumfalnie.

Jej świetna pamięć nie zrobiła na Philipie wrażenia. Skrzywił się na widok tacy ze śniadaniem, która właśnie zniknęła za drzwiami.

- Nic pani nie zjadła.

Nie czuła smaku jedzenia. Odkąd Stan... Przerwawszy tę myśl, pośpiesznie zanotowała coś na marginesie swojego harmonogramu.

- Wypiłam kawę.

- Za dużo pani pije tych kaw.

- Philipie, proszę cię, nie zrzedź.

Mężczyzna wziął z biurka stos listów, które przygotowała do wysłania.

- Nie zrzedzę. Po prostu chciałbym, żeby od czasu do czasu coś pani przekąsiła.

- O wpół do drugiej jestem umówiona na lunch z senatorami... - zerknęła do kartki - Dobsonem i Twitchellem, a wieczorem mam prośzoną kolację u Ivesonów. Spokojna głowa, nie umrę z głodu.

- Jak znam życie, będzie pani opowiadać o europejskiej integracji ekonomicznej -i zachęcać do inwestowania w Delmonico. Nawet pani nie tknie jedzenia.

Samantha uśmiechnęła się smutno. Po raz pierwszy w życiu ktoś martwi się o to, że może schudnąć.

- Nie mogę zmarnować okazji, Philipie. Nie zapominaj, że pełnię obowiązki ambasadora. Nie chcę, żeby ludzie krytykowali prezydenta za to, że dokonał niewłaściwego wyboru, powierzając mi to stanowisko. Większość członków Komisji Zagranicznej krzywo patrzy na kobiety u władzy.

- Tak? A Madeleine Albright? A Condoleezza Rice?

- Obie są profesorami, obie są ode mnie starsze i obie są znacznie bardziej doświadczone.

- Co z tego? To dzięki pani wiedzy i umiejętnościom doprowadzono do porozumienia z Delmonico.

Pokręciła przecząco głową.

- Ja tylko dokończyłam to, co rozpoczął mój mąż.

Na swojego ambasadora w Delmonico prezydent mianował bogatego przemysłowca Stanleya J. Barnesa. Przed rokiem Stan zginął w wypadku samochodowym. Jego śmierć nie tylko zburzyła świat Samanthy, ale również obróciła wniwecz starania czynione przez Stany Zjednoczone, aby odseparować Republikę Delmonico od Rebelii, a tym samym przybliżyć ją do Unii Europejskiej i NATO.

Kiedy więc Waszyngton szukał odpowiedniego człowieka, który mógłby zastąpić zmarłego Stanleya Barnesa, Samantha postanowiła

dokończyć dzieło męża. Z wdziękiem, uporem i wiarą w sukces doprowadziła do tego, że przedstawiciele obu zwaśnionych stron usiedli do stołu i zaczęli rozmawiać.

Zwycięstwo! - wołały tytuły gazet.

Zwykły fuks! - sarkali niedowiarkowie i krytycy. Cud! - uznała Samantha. Z całego serca pragnęła, aby osiągnięte z takim trudem porozumienie stało się faktem.

- Halo... szefowo...

Zobaczyła, że Philip świdruje ją wzrokiem. Boże, czy o coś ją pytał?

- Przepraszam, zamyśliłam się. Co mówiłeś?

- Dzwoniła sekretarka Marta Tynana, żeby przypomnieć o kolacji w piątek w Białym Domu.

- Świetnie, dziękuję.

Cieszyła się na myśl o spotkaniu ze swoim starym przyjacielem. Ale na razie musi skupić się na pracy. Kartkę z planem zajęć odsunęła na bok i ponownie sięgnęła po przegląd prasy. Nagle zdała sobie sprawę, że Philip wciąż stoi przy jej biurku.

- Coś jeszcze? - spytała.

- Tak, drobna sprawa dotycząca bezpieczeństwa. -Słucham?

- W WB boją się, że podczas pobytu w Stanach może być pani narażona na atak ze strony agentów Rebelii.

Wydział ds. Bezpieczeństwa w Departamencie Stanu zajmował się ochroną amerykańskich placówek dyplomatycznych na całym świecie. Ale nie tylko; dbał również o bezpieczeństwo Samanthy w

czasie jej wizyty w Waszyngtonie. W tym celu przydzielił jej do ochrony agenta Thomasa T. Walkera.

- Wiem. Agent Walker jasno dał mi do zrozumienia, że muszę ściśle z nim współpracować i dokładnie przestrzegać wszystkich jego poleceń.

- Walker uważa, że sobie poradzi - rzekł Philip Scott - ale najwyraźniej jego szefowie postanowili wzmocnić środki bezpieczeństwa.

- To znaczy? - spytała znużonym tonem Samantha, konstatując, że żadne środki bezpieczeństwa nie zdołały uchronić Stana. - Dostanę psa obronnego?

- Lepiej. Porucznika Evansa z jednostki specjalnej Navy SEALs. Facet jest komandosem, służy w jednej z najbardziej elitarnych, najlepiej wyszkolonych jednostek w całej armii Stanów Zjednoczonych. Walkerowi to się nie podoba.

Wcale jej to nie zdziwiło. Walker sprawiał wrażenie człowieka, który nie lubi, jak ktoś podważa jego kompetencje.

- Rozumiem. I co? Podzielili się obowiązkami? - spytała żartem.

- Podejrzewam, że agent Walker nie potrafi się niczym z nikim dzielić - stwierdził kwaśno Philip. - Tak jak dotąd będzie pani towarzyszył na każdym kroku. Drugą osobą towarzyszącą będzie porucznik Evans.

Nie za dużo szczęścia naraz? - pomyślała. Jak ma wykonywać swoją pracę, rozmawiać z ludźmi, zachęcać ich do zadawania pytań i

wyrażania myśli, jeżeli nieustannie będzie miała u boku dwóch goryli, w tym jednego w mundurze piechoty morskiej?

- Może powinnam się spotkać z tym Evansem...

- Spotka się pani, spotka - zapewnił ją asystent. - Wspólnie z panią wybiera się dziś na lunch z senatorami.

Zadanie nie było zbyt podniecające - w przeciwieństwie do samej pani ambasador.

Kiedy drzwi się otworzyły i do salonu weszła Samantha Barnes, Marcus Evans odruchowo wypiął pierś. Dziś rano, przy niechętej współpracy Walkera, dokładnie obejrzał budynek, sprawdził wszystkie przejścia, schody, drogi ewakuacyjne.

Odziany w elegancki biały mundur powinien czuć się swobodnie w hotelu, w którym zatrzymywały się osoby należące do elity towarzyskiej i politycznej Stanów Zjednoczonych. A jednak dusił się, jakby brakowało mu powietrza.

Może winę ponosi wystrój salonu - duże kanapy i fotele obite wzorzystą tkaniną, stojący w rogu fortepian oraz srebrne misy wypełnione suchymi płatkami kwiatów - który przypominał mu dom rodziców w Conover Pointe.

Lub agent Walker, który łypał na niego gniewnym wzrokiem, jakby przed chwilą on, Marcus, odlał się na wspaniały perski dywan. Albo pani ambasador Barnes, która samym swoim pojawieniem się sprawiła, że temperatura w pokoju podniosła się o kilka stopni.

Chryste, co za laska! Żadne dziewczątko. Pełna figura, wcięta gdzie trzeba, i gdzie trzeba wypukła. W kącikach oczu - drobne

zmarszczki mimiczne. Wysoka, zgrabna, a na dodatek ruda! Czego można więcej chcieć? Ubrana w dopasowany, jasnoszary kostium składający się ze spódnicy do kolan i krótkiego zakietu. Strój dość konwencjonalny, nieciekawym, ale to, co pod nim...

Marcus opamiętał się. Nie wypada wybałuszać oczu.

- Dzień dobry. - Obdarzyła go uprzejmym uśmiechem. -

Porucznik Evans, prawda?

Głos pasował do reszty; był głęboki, ochryply, seksowny.

- Do usług - odparł Marcus.

- Z Navy SEALs?

Poczuł lekki zawód. Członkowie Navy SEALs niczym gwiazdy rocka mieli rzesze wielbicielek. Czyżby pani ambasador była jedną z nich? Czy dlatego powierzono mu to zadanie? Bo pani ambasador chciała poznać słynnego komandosa?

- Tak, proszę pani.

- Czym się pan zajmował, zanim pana tu skierowano?

Zawahał się. Heroiczna walka załogi „Stokera” ratującej okręt od utonięcia trafiła na pierwsze strony gazet. Na szczęście jego skromny udział w całym wydarzeniu został pominięty.

- Właśnie wróciłem z misji w Zatoce Perskiej.

- Czyli obecne zadanie to spora odmiana? Nie da się tego ukryć, skonstatował.

- Owszem - rzekł. - Praca trochę innego kalibru.

Tak powiedział, z wyraźnie zmieszaną miną, jego dowódca, komendant Woods. Praca innego kalibru i tymczasowa. Trzy

miesiące, góra pół roku. Dopóki James Robinson, przebywający obecnie w szpitalu wojskowym w Bathesdzie, nie wyzdrowieje. Reszta jednostki została w tym czasie skierowana na obóz kondycyjny w Little Creek.

Z początku Marcus podejrzewał, że wyznaczono go do nowego zadania z powodu ojca; że może starszy użył swych wpływów. Ale komendant przysiągł, że ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

- No cóż, poruczniku... - Samantha Barnes rozciągnęła usta w uśmiechu, ukazując rząd pięknych zębów.

- Mam nadzieję, że czas spędzony ze mną zleci panu szybko i przyjemnie.

Szybko? Czyżby już chciała się go pozbyć?

I przyjemnie? Hm, wiedział, jak mogłaby mu umilić zadanie. Tak czy owak, był wdzięczny ślicznej pani ambasador, że w obecności nieprzychylnego mu agenta Walkera nie zaczęła go wypytywać o kwalifikacje.

Musiał przyznać, że Walker znał się na swojej robocie. Wykonywał ją niezwykle sumiennie, z podziwu godnym oddaniem. Kiedy opuścili hotel, dokładnie sprawdził ulicę, czekającego na zewnątrz szarego lincolna oraz kierowcę. Ambasador Barnes zajęła miejsce z tyłu i zaczęła przeglądać jakieś papiery.

Walker usiadł z przodu, obok kierowcy, gdzie miał najlepszy widok na trasę i, gdyby pojawiło się niebezpieczeństwo, największą swobodę działania. Wydał kierowcy polecenie, które ma jechać do

domu senatora, potem wskazał mu, gdzie ma zaparkować i uzgodnił, o której powinien wrócić.

- Może dalej pan dotrzyma towarzystwa pani ambasador? - zwrócił się do Marcusa.

Oczekiwał, że Marcus się spieszy, ale się pomylił.

- Chętnie.

Wysiadłszy z limuzyny, Marcus rozejrzał się wkoło, po czym skinął do kierowcy, że może otworzyć drzwi. Mimo że w skupieniu wypatrywał wszelkich podejrzanych oznak - uchylonego okna, tworzącego się korka na jezdni, włączęgi opartego o ścianę domu - nie omieszkał zauważyć, jak spódnica pani ambasador podjeżdża wyżej, odsłaniając kawałek zgrabnych ud. Tętno mu wyraźnie przyśpieszyło.

Skup się, nakazał sobie w myślach.

Przy granitowych schodkach prowadzących do wejścia odsunął się na bok, by przepuścić kobietę przodem. Nie tylko uda miała ponętne: Pośladki również. Nie, wcale się nie gapił. W przeciwieństwie do Walkera. A to sukinkot! Marcus ustawił się za Samantha, blokując mu widok.

Skośnooka służąca otworzyła drzwi i zaprowadziła ich na taras, za którym rozciągał się ukwiecony ogród. Walker pozostał na zewnątrz; przypuszczalnie spodziewał się, że w eleganckim świecie Marcus będzie się czuł obco, a wówczas zrozumie, że nie ma wystarczających kwalifikacji do ochrony osoby z kręgów dyplomatycznych. Nie wiedział, że Marcus dorastał w podobnym domu, w podobnym otoczeniu.

Senatorowie John Dobson i Dick Twitchell stali na tarasie, pod pergolą porośniętą różami. Typowe waszyngtońskie szczury, pomyślał Marcus. Znał te typy. Widywał je, kiedy odwiedzał swoją siostrę, która pracowała w podziemiach Białego Domu. Zawsze nienagannie-ubrani, opaleni dzięki przechadzkom po polu golfowym, wysportowani dzięki systematycznym wizytom w kongresowej siłowni, elegancko ostrzyżeni przez najlepszych fryzjerów. Na statku byłiby oficerami.

Lub przynętą dla rekinów.

Ambasador Barnes dokonała prezentacji. Marcus skinął uprzejmie głową. Dobson, gospodarz przyjęcia, przywitał go z wyraźnie zaskoczoną miną. Obaj senatorowie nie kryli niezadowolenia. Kiedy podeszli bliżej, by uścisnąć mu rękę, Marcus dojrzał stojący nieopodal stół z trzema nakryciami.

Hm, i co teraz? Ma udać się do kuchni, jeść ze służbą? Czy ustawić się za plecami pani ambasador niczym kelner albo lokaj? Z opresji wybawiła go Samantha Barnes.

- Porucznik Evans to jeden z bohaterów ze „Stokera” - oznajmiła, ujmując go pod rękę.

Zesztywniał, ale kiedy poczuł miękkość jej piersi i zapach cudowniejszy od zapachu róż, odprężył się.

- Byłam zachwycona, kiedy okazało się, że może mi dziś towarzyszyć.

No dobrze, a więc uważnie śledzi wszystkie wydarzenia. Albo, wbrew temu co sądził, prasa szerzej opisała jego udział w akcji

ratowniczej, albo - gdy przydzielono go do jej ochrony - pani ambasador poprosiła o dokładne informacje na jego temat. Tak czy owak, jej słowa wywarły wrażenie na obu senatorach. Zaczęli wygłaszać jakieś patriotyczne banały, a w tym czasie służąca szybko dołożyła czwarte nakrycie.

Marcus nie lubił być w centrum uwagi; czuł się wówczas jak niedźwiedź w ogrodzie zoologicznym.

Odetchnął z ulgą, gdy w końcu usiedli do stołu. Senatorowie skupili uwagę na pani ambasador, o nim zapomnieli. Odpowiadało mu to. Dobrze wiedział, że nikogo nie olśni swoim intelektem.

Panował dokuczliwy upał. Krzesło Marcusa znajdowało się w słońcu, na pozostałą część stołu padał cień. Senatorowie Dobson i Twitchell zdjęli marynarki. Samantha Barnes, która powiesiła żakiet na oparciu krzesła, siedziała w cienkiej zielonej bluzce. Dekolt i ręce miała blade, nieopalone. Chryste, co za skwar! Marcus pociągnął łyk mrożonej herbaty.

Samantha, zajęta rozmową, nawet nie tknęła zupy. Wciąż perorowała z zapalem, kiedy służąca postawiła przed nią talerz z sałatką z homara. Dobson z Twitchellem przysłuchiwali się z uwagą. A przy okazji pewnie zerkali w dekolt swojej atrakcyjnej rozmówczynie.

- Potrzebujemy Delmonico. To swoisty pomost między Bałkanami a resztą Europy.

- Nie bardzo mi się to podoba. - Twitchell pokręcił głową. - Na DeBruzkiję, tego wariata w Rebelii, każda nasza obecność w Delmonico podziela jak płachta na byka.

- Nie szkodzi. - Samantha przysunęła się bliżej. - Po pierwsze, zacieśnienie kontaktów między Delmonico i Stanami Zjednoczonymi doprowadzi do jeszcze większej izolacji Rebelii na arenie międzynarodowej, a po drugie, trzeba pamiętać o strategicznym położeniu Delmonico nad morzem Adriatyckim. Oznacza to łatwiejszy dostęp do celów militarnych. Po trzecie zaś...

- Moim zdaniem - Twitchell nadział na widelec kawałek homara - nie powinniśmy wspierać finansowo i militarnie jakiejś nieliczącej się, dawnej komunistycznej republiki.

Samantha Barnes zacisnęła usta.

- Musimy wywiązywać się z naszych zobowiązań - odrzekła, nie okazując irytacji.

- Wysyłając amerykańskich żołnierzy na jakieś zadupie? Nie rozumiem, co tym sposobem mielibyśmy osiągnąć.

Marcus odłożył serwetkę na stół.

- Moglibyśmy udowodnić, że nie rzucamy słów na wiatr - oznajmił.

Widelec z homarem zawisł w powietrzu.

- To znaczy?

Samantha kopnęła Marcusa w kostkę.

- Porucznikowi chodzi o to, że zawsze gotowi jesteśmy bronić demokracji. Prawda, poruczniku?

- Prawda, pani ambasador.

- I słusznie - poparł go Dobson. - Kto ma ochotę na deser?

Samantha zasunęła szybę oddzielającą pasażerów od kierowcy. Wiedziała, że jadący z przodu agent Walker będzie niezadowolony, ale trudno. Ma parę kwestii do omówienia z najnowszym członkiem swej ochrony, a nie chciała ich poruszać przy osobach trzecich i wprawiać Marcusa w zakłopotanie.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła.

Siedział obok, z czapką na kolanach, przystojny, wytworny, jakby pozował do zdjęcia na plakat zachęcający młodych do wstępowania do wojska i marynarki. Od roku Samantha żyła wyłącznie pracą; zmysły miała przytępione, nie widziała otaczających ją ludzi. Porucznik samą swoją obecnością zachwiał jej stabilnym światem, nadkruszył mur, za którym się skryła.

- Oczywiście, proszę pani.

Westchnęła w duchu. Czy on musi być tak zabójczo przystojny? I taki młody? Mógłby prawie być jej... no nie, jednak nie synem, uznała, widząc dojrzałość i powagę w jego oczach. Ale był na tyle młody i silny, że czuła się przy nim jak stara, sterana życiem kobieta.

- Pańskie słowa skierowane do senatora Twitchella...

- To ten, który pozjadał wszystkie rozumy?

Z trudem powstrzymała się od przyznania mu racji.

- ...były nie na miejscu. W przyszłości wolałabym, żeby nie wyrażał pan głośno swoich opinii na temat rozmieszczenia

amerykańskich wojsk w Europie. Nie rozumie pan różnych zawiłości z tym związanych.

- Z całym szacunkiem - oznajmił uprzejmie Marcus

- ale akurat na sprawach związanych z wojskiem to ja się znam.

I faktycznie, znał się jak mało kto.

- Ależ ja tego bynajmniej nie kwestionuję - broniła się Samantha. - Może na wojskowości się pan zna, ale nie na polityce.

- Zgoda, punkt dla pani - rzekł z uśmiechem. - Coś jeszcze?

Oszołomiona spojrzeniem jego niebieskich oczu policzyła w myślach do trzech.

- Tak, mam pytanie. Kiedy się zegnaliśmy, dlaczego wsunął się pan pomiędzy mnie a senatora Dobsona?

Marcus Evans wzruszył nieznacznie ramionami.

- Bo stał za blisko. Prawie na panią napierał. Poczowała, jak się rumieni. Jej też się nie podobało, kiedy senator objął ją w pasie, a potem nieznacznie przesunął dłoń w dół. Nie przypuszczała jednak, że ktoś jeszcze to zauważył. Z doświadczenia wiedziała, że zamiast ostrej reprymendy lepiej udawać, iż niczego się nie dostrzega.

- Istotnie, zachował się mało elegancko - przyznała.

- Ale czasem po prostu trzeba zignorować czyjeś złe maniery.

Wolałabym, aby towarzysząc mi na różnych -spotkaniach, był pan jak najmniej widoczny.

Porucznik potrząsnął głową.

- Nic z tego.

- Słucham? - zdumiała się.

- Mogę trzymać język za zębami i nie wyrażać swoich opinii - odrzekł Marcus - ale jestem pani ochroniarzem. Jako ochroniarz nie mogę stać spokojnie i patrzeć, jak jakiś palant obmacuje panią po tyłku.

Zatkało ją. Takiej reakcji się nie spodziewała.

- Pracuję w służbie dyplomatycznej, poruczniku. Sama potrafię pilnować własnego tyłka. Pana zadaniem jest chronić mnie przed poważniejszymi zagrożeniami. Czy to jasne?

Nawet nie raczył jej odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ostatnią osobą, jaką Marcus spodziewał się ujrzeć, kiedy otworzył drzwi swego pokoju hotelowego, był agent Thomas T. Walker. No, może nie ostatnią. Przedostatnią.

Ostatnią była urocza pani ambasador, która chętna i naga odwiedziła go w nocy - we śnie.

Departament Stanu wynajął całe piętro hotelu. Marcusowi przydzielono ciasny, duszny pokoik przy windzie towarowej i maszynie do lodu. Żeby miał na oku korytarz, jak oznajmił Walker. Może faktycznie o to chodziło. Podejrzewał jednak, że Walker po prostu chce go jak najdalej odsunąć od Samantha. Dlatego zdziwił się, gdy nazajutrz rano agent zastukał do jego drzwi.

Na widok Marcusa, który stanął w progu na bosaka, odziany w same bokserki, Walker wykrzywił ironicznie usta.

- Przeszkadzam w gimnastyce?

W gimnastyce? Nie, Marcus nie robił żadnych pompek. Drzemał. Lecz uznał, że nie ma sensu wyprowadzać Walkera z błędu. Mnóstwo ludzi, nawet jego koledzy z Navy SEALs, sądziło, że bez przerwy ćwiczy. On jednak nie musiał ćwiczyć. Zawsze był doskonale umięśniony. Pewnie taką wysportowaną sylwetkę odziedziczył po ojcu, ale ponieważ był dzieckiem adoptowanym, tylko się tego domyślał.

Otworzył drzwi na oścież.

- Chcesz wejść?

- Nie. - Agent ponownie zerknął na jego goły tors. - Musisz się ubrać.

- W porządku.

- Nie spytasz dlaczego?

Marcus podniósł koszulę z podłogi.

- Bo pani ambasador się gdzieś wybiera i mam jej towarzyszyć?

- Tak, po zakupy. Ale to wasze ostatnie wspólne wyjście.

Drań, pomyślał Marcus. Wie coś, o czym ja nie wiem. I korci go, żeby mi o tym osobiście powiedzieć, bo inaczej mógł po prostu zatelefonować.

- W takim razie chyba się również ogolę.

- To ci nie pomoże - rzucił Walker. - Dzwonił Jerry Baxter z WB. Dziś o trzeciej chce cię zobaczyć u siebie w biurze.

- A kim, do licha, jest Jerry Baxter? - zdziwił się Marcus.

- Agent specjalny Baxter koordynuje ochroną ambasador Barnes w czasie jej wizyty w Waszyngtonie.

Marcus sięgnął po spodnie od munduru.

- I chce się ze mną zobaczyć, bo...?

- Nie domyślasz się?

Owszem, domyślał się. Najwyraźniej jego słowa o pilnowaniu tyłka pani ambasador zezłościły Samantha bardziej, niż dała to po sobie poznać. Poczul się dziwnie zawiedziony. Po pierwsze dlatego, że źle ją ocenił: sądził, że miałaby na tyle odwagi, by sama wygarnąć

mu prawdę, a po drugie dlatego, że wszystko wskazuje na to, że po dzisiejszej wyprawie na zakupy już się nie zobaczą.

Ochrona ważnej osobistości nie jest zadaniem, o jakim zawsze marzył. Zaś ochrona tej konkretnej osoby wiąże się dodatkowo z pewnymi niedogodnościami. Samantha Barnes onieśmiała go swoją wiedzą i inteligencją. Była kobietą upartą i zdeterminowaną, a takie zawsze mają własne zdanie i nie lubią słuchać zaleceń. Ponadto wzbudzała w nim pożądanie, a to zdecydowanie utrudnia pracę. Powinien się cieszyć, że zostanie odsunięty od tego zadania. Ale przeszkadzała mu świadomość, że już pierwszego dnia zawałił robotę. I że już nie będzie miał okazji, aby się wykazać.

Nie mówiąc o tym, że zwyczajnie w świecie miło jest patrzeć na tak ponętne kształty.

- Coś ci mówiła? Ambasadorowa? Walker prychnął pod nosem.

- Nie musiała. To chyba dla wszystkich oczywiste, że tu nie pasujesz.

Oczywiste? Czego się spodziewał? Czy gdziekolwiek pasował? Nigdzie.

Właściwie tylko wśród kumpli z jednostki czuł się jak w domu. Tak, należy do Navy SEALs; wojsko jest jego rodziną.

Podniósł spodnie i zaczął się ubierać.

Powinnam częściej wychodzić, bywać wśród ludzi, pomyślała Samantha. Stała w przymierzalni, spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Policzki miała zaróżowione, oczy lśniące z podniecenia. To jest aż żenujące.

Mimo skończonych trzydziestu sześciu lat czuła się jak dwunastolatka kupująca pierwszą w życiu szminkę. Odkąd została żoną ambasadora, a tym bardziej później, po jego śmierci, musiała się ubierać odpowiednio do okazji. Chociaż szafy miała pełne, to jednak kupno sukni na piątkowe przyjęcie w Białym Domu sprawiało jej niekłamaną przyjemność.

Nic dziwnego, uznała po chwili; w końcu niecodziennie chadza na kolację do prezydenta. Odwróciła się bokiem do lustra. Tak, jedwabna suknia w kolorze kawy wygląda doskonale. Samantha cieszyła się też na myśl o spotkaniu ze swoim starym kolegą szkolnym, Mattem Tynanem. Wprawdzie niedawno się zaręczył, ale zawsze doceniał urodę i elegancję kobiet.

Odwróciła się w drugą stronę. Idealnie. Tak, ma prawo czuć się zadowolona. Wciągnęła brzuch, wypięła pierś i wyszła z przymierzalni. Na zewnątrz stało lustro z dwoma skrzydłami dające obraz całej sylwetki.

Biedny Marcus czekał cierpliwie wśród wieszaków pełnych koktajlowych i wieczorowych strojów. Stał zwrócony do niej tyłem, lecz albo spostrzegł ją w lustrze, albo usłyszał szelest odsuwanej kotary, bo odwrócił się i napotkał jej wzrok. W jego oczach dojrzała żar.

Przeszył ją dreszcz. I natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia. To niewybaczalne! Na miłość boską, facet jest jej ochroniarzem. Ma strzec ją przed niebezpieczeństwem. Coś go do niej ciągnie? Nic z tego! Takie rzeczy nie zdarzają się w jej świecie. Zresztą, pomijając

kwesnię zależności służbowej, porucznik Marcus Evans jest dla niej za młody. Stan, kochany, cudowny Stan cieszący się doskonałym zdrowiem, zawsze dbający o kondycję, w chwili śmierci miał pięćdziesiąt dwa lata. Ten młodzian liczy sobie najwyżej trzydzieści.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu, a ona poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

- Dlaczego pani zawsze ubiera się na ciemno? Akurat takiego pytania się nie spodziewała.

- Ta suknia nie jest ciemna - sprzeciwiła się.

- Jest brązowa.

- Kawowa. Wzruszył ramionami.

- Ale i tak jest ciemna.

- Wcześniej przymierzałam zieloną - oznajmiła. Nie mogła uwierzyć w to, że wdaje się w rozmowę na temat ciuchów z przystojniakiem w mundurze.

- Ciemnozieloną.

Miał rację. Psiakrew. Uniosła butnie brodę.

- Celeste powiedziała, że ładnie w niej wyglądam.

Celeste była chudą jak patyk, prostą jak trzcina właścicielką butiku o kruczoczarnych włosach i twarzy tak wypacykowanej, jakby przed chwilą wyszła z salonu kosmetycznego.

- To ta szczapa w czerni? - spytał Marcus.

- To ta kobieta, która mi doradzała.

- No właśnie. Jest kobietą. I nie znosi kolorów. Samantha ugryzła się w język. Nie zamierzała pytać, co bycie kobietą ma

wspólnego z lubieniem lub nielubieniem kolorów. Jeszcze by sobie pomyślał, że z nim flirtuje.

- No dobrze, poruczniku. A pana zdaniem na co powinnam się zdecydować? Na jaskrawą czerwień?

- Czemu nie?

- Dlatego, że czerwień gryzłaby się z moimi włosami. A poza tym istnieje duże ryzyko, że w czerwieni wystąpi Pierwsza Dama.

- No tak. - Po chwili wskazał wieszak. - A ta? Wstrzymała oddech. „Ta” była mieniącą się, jasno-błękitną kreacją z jedwabiu, obcisłą, bez rękawów, nawet bez ramiączek, wyszywaną maleńkimi perłami i cekinami. Suknia w sam raz dla królowej. Dla bogini. Od biedy dla kobiety, która cały wolny czas spędza na siłowni, dbając o ciało, a nie siedzi przy biurku, czytając raporty na temat zanieczyszczenia Tangrisu.

- Chyba nie — odparła, wypuszczając powietrze.

- Dlaczego nie? Przecież jest bardzo ładna.

Samantha uznała, że nie ma sensu tłumaczyć mu, dlaczego akurat ta suknia nie wchodzi w grę. Nie mogąc się jednak oprzeć pokusie, zdjęła ją z wieszaka.

- Nie zmieszczę się - rzekła, wchodząc z powrotem do przymierzalni.

No cóż, jednak się zmieściła. Powoli obróciła się przed lustrem. Wygląda fantastycznie; wcale nie wyzywająco. Musiałaby się tylko pilnować, aby za dużo nie jeść, co nie stanowi problemu. Ani zbyt głęboko nie oddychać. Uśmiechnęła się do swojego odbicia.

Nie, wykluczone. Nie wyjdzie za kotarę pokazać się porucznikowi Evansowi. Jest jej ochroniarzem, a nie doradcą w sprawach mody. Ściągnęła suknię, po czym ruszyła na poszukiwanie Celeste.

- Nie spodobał się pani mój wybór?

Kiedy rozmawiała z właścicielką butiku, Marcus odszedł parę kroków w stronę drzwi. Spoglądał w głąb korytarza, jakby kogoś szukał.

- Przeciwnie, spodobał - przyznała Samantha. - Do tego stopnia, że ją kupiłam.

Popatrzył na nią z pytaniem w oczach: więc dlaczego mi się nie pokazałaś? Ale nie zadał pytania na głos, za co była mu wdzięczna, bo nie umiałaby na nie odpowiedzieć.

Prawdę mówiąc, chciała się pokazać, chciała się przejrzeć w jego oczach, zobaczyć w nich zachwyt...

Nie, jest dla niej stanowczo za młody. Lub ona dla niego za stara. Dzieli ich różnica wieku, stanowiska. Nie wypada, żeby pani ambasador zadawała się z ochroniarzem, a poza wszystkim innym wciąż oplakuje śmierć męża.

Ale suknię kupiła. Wyciągnęła przed siebie rękę z wieszakiem. Suknia osłonięta była pokrowcem, który ozdabiał srebrny napis z nazwą sklepu.

- Mógłby pan to ponieść? Potrząsnął przecząco głową.

- Nie jestem od noszenia.

Pięknie, pomyślała. Nie zadawaj się z gnojkami.

- Oczywiście - powiedziała urażona. - Rozumiem. Uśmiechnął się.

- Chyba jednak pani nie rozumie. Moim zadaniem jest zapewnienie pani ochrony. Obserwowałem uważnie Walkera. Zawsze na służbie obie ręce ma wolne. Żeby w razie czego mógł błyskawicznie zareagować.

- Aha. To... - chciała powiedzieć „przerażające” - świadczy o pana profesjonalizmie.

- Dziękuję. - Nie spuszczał z niej oczu. - Czy to znaczy, że nie muszę się już obawiać nagany? Że mi pani wybaczyła?

- Wybaczyła? Nie wiem, o czym pan mówi.

- O moim dzisiejszym spotkaniu z szefem WB. - Widząc jej nic nie rozumiejące spojrzenie, ciągnął: - Po południu mam się stawić w biurze Baxtera.

- Nie mam pojęcia, do czego pan zmierza. Uniósł zdziwiony brwi.

- Więc nie złożyła pani na mnie zażalenia? Za moją wczorajszą uwagę o obmacywaniu tyłka?

- Nie. - Zaczerwieniła się. - Mówiłam panu, że z takimi sprawami umiem sobie radzić sama.

- Ciekawe... Zmarszczyła czoło.

- Jeśli mogłabym w czymś pomóc...

Wyglądała słodko, gdy patrzyła na niego z takim zatroskaniem w oczach. Po chwili przypomniał sobie, że politycy potrafią kłamać jak z nut. Z drugiej strony, Samantha Barnes sprawia wrażenie osoby

szczerej i prawdomównej. Skoro twierdzi, że żadnej skargi nie składała...

Zatem o co chodzi z tym wezwaniem do Baxtera?

Agent specjalny Jerry Baxter był mężczyzną w średnim wieku, ubranym w ciemny garnitur, białą koszulę i wąski krawat, jak złoczyńcy w „Matriksie”. Miał duży, wygodny gabinet, bystre spojrzenie i szeroki uśmiech.

Może uśmiech był zasługą gabinetu. Lub na odwrót. W każdym razie zachowywał się nadzwyczaj przyjaźnie jak na faceta, który wyraźnie ma zastrzeżenia do jego, Marcusa, pracy.

- Pewnie się pan zastanawia, po co go wezwałem - zaczął, zajmując miejsce w fotelu.

- Owszem.

- Wie pan, że obecna administracja uważa osiągnięcie porozumienia z Delmonico za wyłączną zasługę Samantha Barnes, która po śmierci swojego męża kontynuowała negocjacje?

- Tak, wiem. - Pamiętał, że była wdową. Zastanawiał się, od jak dawna.

- Generał DeBruzukija z Rebelii sprzeciwia się porozumieniu. Od lat pierze w Delmonico brudną forszę i prowadzi stamtąd akcje terrorystyczne. Zarówno w Delmonico, jak i w Stanach istnieją grupy, które osiągają z tego tytułu pokaźne zyski. I tak jak DeBruzukija, nie chcą żadnych zmian.

Marcus skinął głową.

- Otrzymaliśmy raporty, z których wynika, że na ambasador Barnes szykuje zamach zarówno tajna policja Rebelii, jak i element przestępczy w Delmonico.

- Dlaczego? Porozumienie zostało ratyfikowane. Przecież zabójstwo pani Barnes nie wpłynie na zmianę polityki zagranicznej rządu Delmonico.

- Kto wie? Ambasador Barnes ma doskonałe kontakty z prezydentem Delmonico; właściwie tylko dzięki temu porozumienie stało się możliwe. Podejrzewam, że jej śmierć odbiła się szerokim echem. Członkowie rządu mogliby się wystraszyć, niektórzy zaczęliby naciskać na zmianę pewnych postanowień.

Marcus siedział bez ruchu, pogrążony w myślach. Dla Baxtera Samantha Barnes jest dyplomata, dla niego zaś piękną kobietą, której widok wywołuje w nim dreszcze.

- Podjął pan, oczywiście, stosowne kroki, żeby zapewnić pani Barnes maksimum bezpieczeństwa, prawda? - spytał Marcus, patrząc na agenta.

- Naturalnie. Wzmocniliśmy ochronę ambasady w Delmonico. A pana i agenta Walkera przydzieliliśmy do ochrony pani ambasador w Waszyngtonie. Jednakże...

- Baxter zrobił znaczącą pauzę - najnowsze informacje zdają się wskazywać, że te środki mogą okazać się niewystarczające.

Marcus poczuł, jak żelazna obręcz zaciska mu się na piersi.

- Dlaczego?

Baxter wbił wzrok w leżący na biurku notes, po czym wyciągnął rękę i przesunął spinacz o ułamek centymetra w prawo.

- Ponieważ wygląda na to, że we własnym biurze mamy szpiega.

- Szpiega?

- Tak. Jest wśród nas zdrajca - przyznał z żalem agent.

- Walker? - spytał Marcus. To by tłumaczyło niechęć i wrogość, jaką tamten mu okazywał.

Baxter pokręcił bezradnie głową.

- Tego niestety nie wiem.

- Może warto go zaarrestować? Prewencyjnie?

- Nie mając pewności, nie chcę podejmować takich kroków.

Musimy najpierw dowiedzieć się czegoś więcej, spróbować przeniknąć wroga.

W Marcusa wstąpiła złość.

- Tu chodzi o życie Samantha Barnes! Podczas gdy pańscy ludzie będą „przenikać” wroga, ona...

- Będzie całkowicie bezpieczna. Mamy plan...

- Jaki?

- Zaufany człowiek ulokuje Samantha Barnes w bezpiecznej kryjówce. Dopóki nie zidentyfikujemy zdrajców, nikt poza nim i mną nie będzie znał jej miejsca pobytu.

- A ten człowiek... - zaczął Marcus, ale nie musiał kończyć.

Wiedział. Inaczej po co by go przydzielono do ochrony Samantha? Po co by go Baxter wzywał?

Baxter potwierdził jego przypuszczenia.

- Siedzi naprzeciwko mnie - rzekł. - Jest pan z zewnątrz, poruczniku. Nie ma pan żadnych powiązań z naszym biurem. Tylko panu mogę ufać.

- To samo mógłby pan powiedzieć o każdym z moich kolegów z jednostki. Dlaczego nie przydzielili pan do tej roboty kilku facetów? Pani Barnes miałyby znacznie lepszą ochronę.

- Może tak, może nie. Nie wiemy, kto chce się jej pozbyć, czy są to pojedyncze osoby, czy grupa osób, kto nimi kieruje, jak daleko i jak wysoko sięgają ich macki.

- W jaki sposób zamierza pan to odkryć?

- Wolałbym to zachować w tajemnicy. Moim zadaniem jest koordynacja dochodzenia, a pańskim, poruczniku, ochrona pani ambasador. - Uśmiechnął się gorzko. - Hektor Protektor to pan. Hektor? Protektor? O czym ten facet gada?

- Jak w tej rymowance dziecięcej - dodał Baxter, widząc wyraz zdumienia na twarzy Marcusa. - Zna pan wierszyk o Hektorze?

- Nie.

Baxter odchrząknął i zaczął cicho recytować:

- Hektor Protektor strój nosił zielony, Hektor Protektor miał królowej służyć do ochrony; lecz król go nie polubił, nie polubiła królowa, więc go wyrzucili: won, Hektor, ze dwora.

Zaraz, zaraz, co się dzieje? Marcusowi zakręciło się w głowie. Przez moment czuł się zdezorientowany. Kto tu oszalał? On czy Baxter? Jacyś dranie czyhają na życie Samantha Baxter, a facet, któremu podlega jej ochrona, recytuje wierszyki? Odbiło mu, czy co?

Oprócz wierszyka coś jeszcze głądził. O zachowaniu wszystkiego w tajemnicy, o zaufaniu, o tym, o tamtym, ple, ple, ple.

Marcus usiłował się skupić, ale przychodziło mu to z trudem.

Ten Hektor Protektor całkiem zbił go z tropu.

- ...a więc ważne jest, aby nikt nie podsłuchał naszych rozmów.

No dobrze. Facet wreszcie zaczyna mówić do rzeczy. Marcus wyprostował się w fotelu.

- Rozumiem. Więc jak będziemy się porozumiewać? Baxter odprężył się, jakby osiągnął zamierzony cel.

- Na pewno nie telefonicznie.- To zbyt ryzykowne. - Obróciwszy się, sięgnął po coś, co leżało obok na stoliku. Oczom Marcusa ukazał się płaski laptop. - To dla pana. Codziennie będzie się pan logował. Jako użytkownika wpisze pan „Hektor”, jako hasło „Protektor”.

- I co dalej?

- Nic. Patrzyć. Na ekranie pojawi się plansza z rysunkiem. Brak zmian na planszy oznacza, że nie ma żadnych zmian w dochodzeniu. Kiedy zaś pojmiemy zdrajców, plansza zniknie i otrzyma pan polecenie, aby przywieźć panią ambasador z powrotem do Waszyngtonu.

- Rozumiem, że wszystko odbywa się za jej przyzwoleniem?

- Nie, Samantha Barnes o niczym nie wie. Pańskim zadaniem będzie ją powiadomić. - Baxter przesunął spinacz o kolejne dwa centymetry w bok. - Ale dopiero gdy dotrzecie do kryjówki.

Marcus jęknął w duchu.

- Co mam jej powiedzieć?

- Wszystko jedno, byleby przystała na współpracę z nami.

Psiakrew. Wolałby z powrotem wczłgać się w parne, duszne bebecchy „Stokera”, niż tłumaczyć uroczej pani ambasador, że dla własnego dobra została porwana.

Jest jednak odpowiedzialny za bezpieczeństwo Samantha Barnes. W dodatku Baxter na niego liczy. A on, Marcus Evans, jeszcze nigdy nikogo nie zawiódł. Oderwawszy wzrok od laptopa, popatrzył Baxterowi w oczy.

- Kiedy mam ją wywieźć z miasta?

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZECI

Porucznik Evans sprawiał wrażenie spiętego. Przynajmniej tak jej się wydawało. Po raz kolejny zerknęła ukradkiem na jego profil. Nie umiała go rozszyfrować. Zazwyczaj się uśmiechał; teraz usta miał zasznurowane, spojrzenie zamyślane, jakby nieobecne.

Prawdę mówiąc, zdziwiło ją, że zwraca uwagę na takie szczegóły. W końcu co ją obchodzi, czy facet jest spięty czy nie? Oparła się wygodniej o skórzane siedzenie. Ma ważniejsze sprawy na głowie.

Dziś wieczorem wybiera się na skromną kolację dla czterdziestu osób do ambasady Holzbergu, wschodniego sąsiada Delmonico. Wiedziała, że ambasador Holzbergu będzie próbował przekonać ją, że Holzbergczycy to dumny i niezależny naród. Ona zaś zamierzała uzmysłwić swemu gospodarzowi, że jeśli jego kraj nie zacieśni więzów ze Stanami, wkrótce może uzależnić się od generała DeBruzkiji z Rebelii.

Kwestia pokoju w Europie Wschodniej - tym powinna się teraz zajmować, a nie rozważaniami na temat humoru czy samopoczucia swojego przystojnego ochroniarza.

Nie mogła spytać porucznika, czym się tak kłopotczy, albowiem świadkiem ich rozmowy byłby zarówno kierowca limuzyny, jak i siedzący obok niego agent Walker.

Nie chciała zaś zasuwac okna dzielącego przód samochodu od jadących z tyłu pasażerów, tym bardziej że Walker nieustannie obserwował ją w lusterku wstecznym.

Limuzyna zatrzymała się przed budynkiem ambasady. Na oświetlonych schodach czekali odziani w czerwone marynarki lokaje oraz pracownicy ochrony w ciemnych garniturach. Walker wysiadł pierwszy, zaraz po nim Evans, który - poważny i skupiony - podał Samancie rękę.

Obserwując jego zaciśnięte usta, Samantha pomyślała sobie, że może został ranny na „Stokerze” i rana wciąż daje mu się we znaki. A może spotkanie z szefem Wydziału Bezpieczeństwa poszło nie najlepiej? Albo posprzeczał się z dziewczyną? Hm, ciekawe, czy ma jakąś dziewczynę. Na pewno tak. Weź się w garść, nakazała sobie w duchu. Co ją opętało? Dlaczego snuje jakieś romantyczne wizje? Czyżby dlatego, że jest samotna, że od śmierci męża z nikim się nie spotyka, że nie ma żadnego życia towarzyskiego ani erotycznego?

Zacisnęła powieki. Po chwili z zadumy wyrwał ją głos Evansa:
— Proszę pani...?

Otworzyła oczy. Posławszy swym dwóm ochroniarzom przyjazny uśmiech, poprawiła cienki szal, który zsuwał się jej z ramion, i dumnym krokiem ruszyła przed siebie.

Zaraz mu ucieknie. Musi ją powstrzymać. Teraz. Natychmiast. Pokręcił zdezorientowany głową.

Wrócili do hotelu. Godzina była już późna i Samantha Barnes zamierzała udać się na spoczynek. Marcus przeczyścił gardło.

- Przepraszam, czy mógłbym z panią zamienić słowo?

Przystanąła w drzwiach salonu, a na jej twarzy odmalował się wyraz zdumienia. Pewnie, pomyślał Marcus, zastanawia się, w jaki sposób uprzejmie mnie spławić.

Stojący obok agent Walker skrzywił się z niezadowoleniem, lecz Samantha ciepło się uśmiechnęła. W jej policzkach ukazały się dwa rozkoszne dołeczki.

- Oczywiście, poruczniku. Napije się pan kawy?

- Dziękuję, z przyjemnością.

Walker zachmurzył się jeszcze bardziej. Minąwszy go bezsłowa, Marcus ruszył za kobietą do jej prywatnych pokoi.

Mieszkała w hotelu nieco ponad tydzień, salon jednak nie nosił żadnych śladów jej obecności. Owszem, na pianinie leżały nuty, a na stoliku stopy gazet i papierów, lecz wszystko to sprawiało neutralne wrażenie. To już kajuty marynarzy mają więcej charakteru, przemknęło mu przez myśl. Przypomnił sobie pomieszczenia, w których przebywała jego siostra: buty pod krzesłem, kolorowe pisma na podłodze, zdjęcia na biurku, a tu nic, żadnych zdjęć, żadnych osobistych akcentów.

Może trzyma zdjęcie męża w sypialni na szafce nocnej?

Może go tam zaprosi?

A może powinien iść z wizytą do psychiatry? Usiadła na obitej aksamitną tkaniną kanapie. Obok na niskim stoliku stał dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą, przykryty serwetką talerzyk z ciasteczkami oraz pojedyncza filiżanka. Samantha uniosła dzbanek.

- Jaką pan pije?

- To pani filiżanka - zaprotestował Marcus.

- Dopiero wstałam od stołu. Nie jestem głodna ani spragniona kofeiny. - Podała mu parujący napój. - Czarną?

- Może być czarna, chociaż wolę słodką blondynkę. To znaczy z mlekiem i dwiema kostkami cukru - wyjaśnił, widząc zdziwienie w jej oczach.

Dodała jedno i drugie. W jej policzkach znów pojawiły się dołeczki. Czekał, aż Samantha pierwsza poczęstuje się ciastkiem. Ponieważ najwyraźniej nie miała takiego zamiaru, sam się poczęstował.

Przez chwilę siedział w fotelu, rozkoszując się ciszą i widokiem pięknej pani ambasador, której rude włosy idealnie współgrały z bielą jej szyi i zielenią poduszek na kanapie. W powietrzu unosił się zapach perfum i kawy. Tak, jest to znacznie przyjemniejsze niż niebezpieczny rejs wzdłuż wybrzeży Iraku.

- Co mogę dla pana zrobić, poruczniku? - spytała tym swoim zmysłowym, lekko schrypniętym głosem.

Co mogła zrobić? Przeszył go dreszcz. Wiele rzeczy, bardzo wiele. Ale nie zamierzał o nich mówić; mógłby wszystko popsuć. Kiedy czekał wieczorem przed ambasadą Holzbergu, miał wiele czasu, aby przeanalizować powierzone mu zadanie. Rozważając najróżniejsze opcje, doszedł do wniosku, że bez względu na to, co twierdzi Baxter, sam nie da rady zapewnić Samancie bezpieczeństwa. Potrzebuje pomocy Jimmy'ego Robinsona.

- Wie pani, że płynąłem na „Stokerze”, tym okręcie, który wpadł na minę?

- Tak. - Skinęła głową. - Był o tym duży artykuł w „Washington Post”, a inna gazeta zamieściła zdjęcie, na którym pan... chyba to był pan... stoi na pokładzie, patrząc, jak helikopter zabiera jednego z pańskich ludzi.

- Cholera, teraz wszystko rozumiem. — Westchnął ciężko.

- Co pan rozumie?

- Dlaczego rodzina zaczęła do mnie wydzwaniać. -Jako komandos biorący udział w tajnych misjach rzadko czytał prasę; złościło go, że dziennikarze przekręcają fakty. - Nie wiedziałem o artykule i zachodziłem w głowę, czego ode mnie może chcieć mój brat.

Samantha uniosła brwi.

- Nie jesteście sobie bliscy?

Nie, nie byli sobie bliscy. Jeśli chodzi o wiek, dzieliły ich dwa lata, jeśli chodzi o temperament - lata świetlne. Marcus, którego Evansowie adoptowali, kiedy był dziesięcioletnim chłopcem, nie pamiętał nic ze swojego wcześniejszego życia. Ale miał wrażenie, jakby przez całe dzieciństwo i młodość usiłował dorównać pierworodnemu synowi Evansów.

- Różnimy się - odparł, nie wdając się w szczegóły, po czym uśmiechnął się szeroko. - Brat jest bardzo poważnym człowiekiem. W przeciwieństwie do siostry, która przysłała mi śpiewający telegram.

Przechwycił go jeden z oficerów łącznościowych, a potem wszyscy na statku sobie ze mnie żartowali.

- Dlaczego? Ludzie często wysyłają śpiewające telegramy.

- Ale mnie zaśpiewała goła baba! - Zaczerwienił się po uszy. -

Striptizerka w stroju pielęgniarki. Stroju oczywiście szybko się pozbyła.

Samantha z trudem powstrzymała śmiech.

- Siostra musiała się bardzo o pana martwić. Może i tak; nie przyszło mu to do głowy. To on zawsze martwił się o młodszą siostrzyczkę, nigdy na odwrót.

- Pewnie tak. Ale nie o tym chciałem z panią rozmawiać.

Nie zadawała pytań ani nie ponaglała go. Siedziała uśmiechnięta, z rękami na kolanach, swymi niebieskimi oczami wpatrując się w jego twarz. No, no. Rzadko spotykał ludzi tak uprzejmych i cierpliwych, którzy spokojnie czekali, nie zmuszając go do pośpiechu.

- Chodzi o to... Ten facet na zdjęciu, którego zabiera helikopter, to mój przyjaciel.

Samantha wciąż milczała,

- Przebywa obecnie w szpitalu w Bathesdzie. Obie nogi ma zmiążdżone. Chciałbym wybrać się do niego z wizytą.

- Ależ oczywiście - zgodziła się Samantha. - Kiedy? Jutro?

Poproszę Walkera, żeby załatwił mi...

- Prawdę mówiąc - rzekł Marcus, przerywając jej w pół słowa - miałem nadzieję, że pojedzie pani ze mną. Żeby... żeby podnieść człowieka na duchu.

Zmrużyła oczy.

- Naprawdę pan sądzi, że moja obecność mogłaby podnieść na duchu pańskiego przyjaciela?

No dobrze, teraz musiał uważać, co powie. Ambasador Barnes nie jest idiotką. Jimmy'emu dwie rzeczy mogłyby poprawić nastrój: parę skrętów i zapewnienie lekarza, że jest zdrow jak rydz. Samantha przypuszczalnie się tego domyśla.

Marcus wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą. Mnie by na pewno podniosła.

- W takim razie wybiorę się z panem. Spoglądając jej w oczy, poczuł się jak ostatni drań.

Jest dla niego taka miła, a on ją beczelnie okłamuje.

Dla jej własnego dobra, powtarzał w duchu. Nie może zostawić Samanthy Barnes samej z Walkerem. Nie wie przecież, czy facet jest godzien zaufania. A bezpieczeństwo może jej zapewnić tylko w jeden sposób: nie spuszczać jej z oczu. Czyli jednak nie kłamie; faktycznie czułby się lepiej, gdyby towarzyszyła mu do szpitala.

Mimo wszystko ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Philip wytrzeszczył ze zdumienia oczy, zupełnie jakby Samantha mu oznajmiła, że zamierzą nabyć parę papużek nierozłączek.

- Jaki mają sens odwiedziny u rannego majtka, jeżeli nie zgadza się pani na obecność fotografa?

- Taki, że ów majtek został ranny, kiedy służył ojczyźnie w Zatoce Perskiej - odparła cicho, obserwując rumieniec zakwitający na twarzy asystenta. -I z jakiegoś powodu ma ochotę spotkać się ze mną. Zresztą może to nie on ma ochotę, lecz jego przyjaciel chce mu umilić pobyt w szpitalu. Wszystko jedno. Uważam, że mogę poświęcić godzinę na wizytę u rannego człowieka.

- Pani program jest napięty...

Tak było zawsze. Praca pomagała wypełnić pustkę, jaka towarzyszyła jej od śmierci Stana. Ale po raz pierwszy od dawna Samantha miała ochotę zrobić coś, czego nie było w programie. Coś nieplanowanego. Zachować się spontanicznie.

- Philipie, jest sierpień. W sierpniu w Waszyngtonie panuje tropikalny upał. Kto tylko może, wyjeżdża z miasta. Chyba nic strasznego się nie stanie, jeżeli godzinę czy dwie przeznaczę na wizytę w szpitalu, prawda?

Asystent uniósł ręce w geście rezygnacji.

- Oczywiście, tylko niech mi pani pozwoli zamówić fotografa. Ranny marynarz miałby zdjęcie na pamiątkę.

Samantha pokręciła przecząco głową.

- Jeśli zechce, podpiszę mu się na gipsie. Starczy. Nie zamierzam biedaka wykorzystywać do własnych celów.

- A jeśli on chce wykorzystać panią?

- Po co? Do czego? Na miłość boską, Philipie. Facet leży w szpitalu wojskowym w Bathesdzie. W tym samym szpitalu, w którym,

gdy zachodzi potrzeba, leczy się prezydent. Tam naprawdę mają doskonałe warunki.

- Nie mówię o rannym, tylko o Evansie. Jestem gotów się założyć, że on czegoś od pani chce.

Może chce, pomyślała Samantha. I ku własnemu zdziwieniu odkryła, że wcale jej to nie przeszkadza.

- W takim razie dowiem się co.

- Obawiam się, że... - Urwał.

Ciekawe, co zamierzał powiedzieć? Że Samantha igra z ogniem? Że straciła obiektywizm? Że postradała zmysły?

Niewykluczone. Bardzo możliwe. Kusiła ją perspektywa spędzenia popołudnia z młodym, przystojnym ochroniarzem. Przecież nie zamierzają robić nic złego. Nie wymykają się gdzieś we dwoje, by uprawiać szalony seks. Wybierają się do szpitala wojskowego, by odwiedzić rannego żołnierza. Chwalebne. Niewinne.

- Nie martw się, Philipie. Nic mi nie będzie - oznajmiła stanowczym tonem, próbując przekonać o tym zarówno swojego asystenta, jak i siebie.

Bo cóż mogłoby się zdarzyć? Flirt? Romans? To absurd.

Marcus wiedział, w którym momencie ambasador Samantha Barnes spostrzegła go przy samochodzie. Wciągnęła powietrze; jej oddech stał się szybszy, oczy bardziej lśniące. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że ta kobieta autentycznie cieszy się na jego widok.

Wrażenie to prysło po jej pierwszych słowach.

- Nie jest pan dziś w mundurze?

Idący krok za nią Walker wyszczerzył złośliwie zęby. Marcus zerknął na swoją czystą koszulę i dżinsy, po czym popatrzył Samancie w twarz.

- Uznałem, że jedziemy do szpitala prywatnie, nie służbowo - rzekł. - Ale jeśli pani przeszkadzają dżinsy, mogę się zaraz przebrać w mundur.

- Nie, nie. - Oblała się rumieńcem. - Chodzi mi o to, że... może ja jestem niestosownie ubrana. Za oficjalnie.

Miała na sobie jeden z tych swoich komplecików: głęboko wycięty z przodu żakiet i spódnicę kończącą się sporo nad kolanem. Hm, chętnie zdarłby z niej wszystko, spódnicę, żakiet, potem zacisnął ręce na jej szczupłej talii, gładził plecy, biodra...

Walker wciąż łypał na niego nieprzyjaznym okiem.

- Moim zdaniem świetnie pani wygląda - oznajmił Marcus, otwierając drzwi limuzyny. - Lepiej niech pani wsiądzie. Stojąc na chodniku, stanowi pani idealny cel.

Schyliła się i posłusznie zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Marcus nie mógł oderwać od niej oczu.

- Pani ambasador nie powinna nigdzie jeździć bez pełnej obstawy - powiedział gniewnie Walker.

- Czy ja dobrze zrozumiałem? - Marcus, uniósł brwi. - Nie będziesz nam towarzyszył?

- Uznałam, że to bez sensu - z wnętrza wozu dobiegł głos Samanthy. - Od czasu ataku terrorystów na wieżowce w Nowym Jorku szpital w Bathesdzie podlega ścisłej ochronie.

- Szpital tak, ale najpierw trzeba do niego dojechać.

- Spokojna głowa, dojedziemy - odrzekł Marcus, patrząc na Walkera ponad drzwiami limuzyny. - Przecież agenci Rebelii nie wiedzą, dokąd się wybieramy.

- Chyba że nas z bliska obserwują.

Albo mają informacje od ciebie, dodał w myślach Marcus.

Cholera!

- Dobra. Chcesz jechać? Wsiadaj. Walker okrążył wóz.

- Chcę - oświadczył, siadając z przodu koło kierowcy. Po chwili zatrzasnął drzwi.

Marcus zajął miejsce z tyłu koło pani ambasador i również zatrzasnął drzwi. Samantha odczekała, aż limuzyna ruszy, po czym pochyliła się i zasunęła dźwiękoszczelną szybę oddzielającą kierowcę od pasażerów.

- Może mi pan. wyjaśnić to, co przed chwilą miało miejsce?

Wyjaśnić? Psiakrew. Co ma jej powiedzieć? Że dwaj mężczyźni, których wyznaczono jej do ochrony, nie mają do siebie za grosz zaufania?

„Pańskim zadaniem będzie ją powiadomić - powiedział mu Baxter. - Ale dopiero gdy dotrzecie do kryjówki”.

Potarł ręką twarz.

- Obsikujemy drzewa. To znaczy zaznaczamy swoje terytorium - dodał, widząc zdumione spojrzenie Samantha. - Walkerowi nie podoba się, że przydzielono mnie do tej roboty, a mnie nie podoba się, że psuje nam randkę.

Roześmiała się. Miała cudowny śmiech, niski, gardłowy, taki jak Kathleen Turner.

- Wycieczkę do szpitala trudno nazwać randką.

- To prawda - przyznał z powagą. - Zwłaszcza gdy z przodu siedzą James i J. Edgar Hoover.

W jej policzkach ukazały się dołeczki.

- Kierowca ma na imię Eric.

Podobało mu się, że zna imiona ludzi, którzy dla niej pracują.

- Poza tym randka i tak nie wchodziłaby w grę.

Słusznie. Tak jest lepiej. Nie powinien się dekoncentrować.

Zadanie wymaga od niego skupienia, tym bardziej że przez kilka dni będą tylko we dwoje...

Nie potrafił jednak przemóc ciekawości.

- Dlaczego? - spytał.

- Bo... - Zmieszała się. - Choćby dlatego, że dzieli nas zbyt duża różnica wieku.

- Przepraszam, a ile ma pani lat?

- Wolałabym nie...

- Niech się pani przyzna - poprosił. - No, ile?

- Trzydzieści sześć - oznajmiła takim tonem, jakby powiedziała: sześćdziesiąt trzy.

Zdziwił się: wyglądała sporo młodziej.

- A ja trzydzieści trzy. Wytrzeszczyła oczy.

- Niemożliwe.

Nie wiedział, czy czuć się mile połączony, czy urażony.

- Możliwe. Wkrótce będę mógł przejść na spoczynek, bo komandosi wcześniej...

- Dlaczego pan to robi? - przerwała mu.

Czuł się nieswojo. Nie lubił mówić o sobie, tłumaczyć się. Pierwszy dzień szkoły zawsze był dla niego koszmarnym przeżyciem. Tak, proszę pani, jestem adoptowany. Nie, proszę pani, nie pamiętam nazwiska mojej wychowawczynie z przedszkola. Nie pamiętam swoich rodziców biologicznych ani swojego prawdziwego imienia.

W marynarce takie rzeczy nie miały najmniejszego znaczenia. Tam liczyły się umiejętności, to, co człowiek potrafi, a nie to, skąd się wywodzi.

Wzruszył ramionami.

- Bo jestem silny, mam dobrą kondycję... Samantha powiodła po nim wzrokiem.

Siad, piesku, nakazał sobie w myślach Marcus; nie podniecaj się.

- Widzę - rzekła, przygryzając wargę. - Ale nie pytałam, jak pan sobie daje radę, tylko dlaczego pan to robi.

- Bo ktoś musi - odparł lekkim tonem. - Trzeba bronić prawdy, honoru, ojczyzny. I paru innych spraw.

- To bardzo szlachetne. - Uśmiechnęła się. - Ciekawa jestem... kontynuuje pan tradycję rodzinną? Czy pański ojciec był wojskowym?

- I ojciec, i brat - przyznał. Adoptyjny ojciec i brat.

- Też służyli w marynarce?

- Tak. - Wyjrzał przez okno.

- W Navy SEALs?

Co to, cholera? Gra w dwadzieścia pytań?

- Nie, wstąpienie do Navy SEALs było moim pomysłem. To elitarna jednostka działająca na lądzie, w powietrzu i na wodzie. Przyjmują samych najlepszych. Trzeba przejść piekielnie trudne półroczne szkolenie. Dziewięćdziesiąt procent chętnych odpada. To dopiero początek; potem człowiek jeździ tam, gdzie nikt inny nie chce jechać, wykonuje misje, - których nikt inny by się nie podjął.

- No właśnie. Dlaczego pan to robi?

- Bo potrafię. Bo jestem w tym dobry. Bo to lubię. Pewnie te same powody podałyby pani, gdybym ją spytał, dlaczego jest ambasadorem.

- Nie, ja po prostu kontynuuję pracę mojego męża. Odziedziczyłam to stanowisko po nim.

Może i odziedziczyła, ale widział ją w akcji. Praca sprawiała jej autentyczną przyjemność; była jej pasją, a nie obowiązkiem. Marcus wyszczerzył zęby.

- Pani kocha to, co robi. Jesteśmy podobni. Popatrzyła na niego gniewnie, jakby ją obraził. Jakby czerpanie przyjemności z pracy było czymś grzesznym.

- Wcale nie jesteśmy - oznajmiła krótko.

Wciąż się uśmiechał. Kiedy się złościła, oczy płonęły jej dzikim blaskiem.

- Prawda, honor, ojczyzna - powtórzył cicho.

- Zgadza się. Ale ja nie jestem komandosem. Do mnie nikt nie strzela.

Natychmiast spoważniał.

Do mnie nikt nie strzela? Mylisz się, kochana.

Scandalous

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie myśl, że nie doceniam widoku - rzekł siedzący na wózku James Robinson. - Tylko nogi mam niesprawne, reszta działa bez zarzutu. Ale wyjaśnij, dlaczego ją tu przywiozłeś?

Znajdowali się na tarasie, skąd obserwowali spacerującą po trawie Samanthę, jej zgrabną sylwetkę ukrytą pod ciemnym kostiumem oraz gęste rude włosy połyskujące ogniście w słońcu. Zostawiła ich samych, bo chciała obejrzeć ogród. Tak powiedziała, Marcus jednak domyślił się, że raczej chodziło jej o to, by przez chwilę mógł porozmawiać z przyjacielem.

Był jej za to wdzięczny. I zamierzał w pełni wykorzystać okazję.

- Nie mogę jej zostawić.

- Nigdy nie miałeś z tym problemu - zauważył Jimmy. Marcus zaczerwienił się. Cieszył się, że stoi z tyłu, za wózkiem, więc przyjaciel nie widzi jego twarzy.

- Naprawdę nie mogę - rzekł. - Muszę ją chronić.

- W takim razie przywiozłeś ją pod właściwy adres. Teren jest tak strzeżony, że mysz się nie przeciwie.

- Wiem. Ale tu przecież nie zostaniemy.

- Boisz się, że w hotelu...

- Nie o to chodzi. Muszę ją umieścić w bezpiecznym miejscu.

- Gdzie?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Dlaczego?

Marcus zacisnął mocniej dłonie na uchwytach wózka.

- Tego też ci nie mogę zdradzić. Jimmy nie oburzył się, nie zaprotestował.

- Co ci potrzeba? - spytał.

- Weźmy taką sytuację hipotetyczną... Musisz kogoś chronić.

Oczywiście hipotetycznie.

Jimmy wskazał na swoje nogi, obie w gipsie.

- Absolutnie hipotetycznie. Co to za ochroniarz? Marcus uśmiechnął się.

- No dobra. Więc chronisz kobietę przed złoczyńcami. Ale sprawa się komplikuje, bo po twojej stronie jest zdrajca. Komuś zależy na tym, żeby ci się nie powiodło.

- Rozumiem.

- Dostajesz od szefa polecenie, żeby ukryć kobietę w bezpiecznym miejscu. Ale jeśli wśród naszych jest zdrajca, to czy miejsce, które szef ci wskazuje, na pewno jest bezpieczne?

- Nie jest - odparł Jimmy. - Trzeba ukryć kobietę w miejscu, którego nikt nie zna.

- To samo sobie pomyślałem. Gdybyś był tym hipotetycznym ochroniarzem i miałbyś przyjaciela, któremu mógłbyś ufać, przyjaciela, którego rodzina ma dom niedaleko stąd...

- W Wirginii.

- Położony jednak na uboczu...

- Zgadza się, bo to farma.

- Dom, który stoi pusty...

- Odkąd parę lat temu rodzice przeszli na emeryturę i przenieśli się na Florydę, o czym wiesz, bo pomagałeś temu przyjacielowi zorganizować przeprowadzkę.

Napięcie zaczęło opuszczać Marcusa.

- Sądzisz, że ten przyjaciel pozwoliłby mi zaszyć się tam na kilka dni?

- Dać ci klucz? - zapytał Jimmy. Marcus odetchnął z ulgą.

- Nie. Nie chcę cię w to mieszać. Lepiej, jak się włamię. W ten sposób, gdyby ktoś cię...

- Bez obaw, nic mi nie będzie. Od dwóch lat miejsce świeci pustką. Poza najbliższą rodziną nikt nie wie o farmie. Należała do rodziny matki, więc moje nazwisko nawet nie figuruje w żadnych papierach.

- A co z wodą, gazem...?

- Woda jest ze studni, elektryczność czasem wysiada, ale w stodole stoi zapasowy generator. Niestety, dom znajduje się w dość opłakanym stanie.

- Nie szkodzi.

- Jak tam dotrzecie? Bo chyba nie taksówką?

- Nie myślałem o tym - przyznał Marcus. - Wiesz, parę dni temu kupiłem samochód. Z ogłoszenia. Dobrze by było, gdyby ktoś go za mnie odebrał.

- I gdzie podstawił?

To było niesamowite. Nie musiał Jimmy'emu nic tłumaczyć; przyjaciel czytał w jego myślach.

- Na końcu parkingu przy stacji metra Dunn Loring.
- Kiedy?
- W najbliższy piątek. Jimmy potarł brodę.
- Sam niestety nie dam rady. Wolisz Garcie czy Buzza?

Marcus zadumał się. Jego ludzie stacjonują obecnie w Little Creek w Wirginii, jakieś trzy godziny drogi stąd. Buzz bez chwili wahania przyjechałby, by pomóc przyjacielowi. Z drugiej strony, Garcia jest specem od broni.

- Garcie - zdecydował. Z tylnej kieszeni wyjął złożoną kopertę i dyskretnie podsunął ją Jimmy'emu. - Tu jest kluczyk; niech go wsunie pod dywanik. I lista potrzebnych mi rzeczy.

Jimmy uniósł pytająco brwi.

- Mówimy o rzeczach, których nie można kupić w narożnym sklepiku?

- Zgadza się. Pieniądze też tam są. Na wszelki wypadek.

- W porządku, Clark.

Przyjaciele wymienili uścisk dłoni. Koperta przeszła z jednej ręki do drugiej.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy zobaczyła, jak mężczyźni podają sobie ręce - jeden wysoki, szeroki w ramionach, doskonale umięśniony, drugi drobny, czarnoskóry, na wózku inwalidzkim. Ogarnęło ją wzruszenie. W świecie, w którym żyła, uścisk dłoni nic nie znaczył. Uścisk dłoni, na który teraz patrzyła, był wyrazem sympatii, przyjaźni, zaufania.

Skierowała się na taras. Nagle Marcus obrócił się. Zauważył ją. Zawahała się; coś w jego spojrzeniu, w jego ruchach, sprawiło, że poczuła się nieswojo. Ale po chwili rozciągnął usta w uśmiechu i jej niepokój znikł.

- Gotowa do drogi? - spytał.

- Jeżeli już skończyliście... - odparła, odwzajemniając uśmiech.

- Skończyliśmy? Co, Jimmy?

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Znow przeszyły ją ciarki. I ponownie odniosła dziwne wrażenie, jakby nie została dopuszczona do jakiejś tajemnicy.

Boże, co w tym dziwnego? - zganiła się. Przecież razem jeździli na misje, byli towarzyszami broni, przyjaciółmi.

- Tak jest - odparł drobny Murzyn, po czym przeniósł wzrok na Samanthę. - Miło mi, że pani przyszła.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziała szczerze Samantha. - Odwieźć pana do pokoju?

- Nie, zostanę tu chwilę dłużej. Taka ładna pogoda... Marcus zacisnął dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Trzymaj się, Jimmy.

- Ty też, Clark.

- Clark? - zdziwiła się, kiedy szli korytarzem. Może jej się przywidziało, ale miała wrażenie, że pod opalenizną Marcusa pojawił się rumieniec.

- To moje przezwisko. Większość chłopaków z Navy SEALs dostaje jakiś przydomek podczas półrocznego obozu.

- Pański przyjaciel nie dostał?

- Dostał.

- "Jimmy"? To imię, a nie przezwisko.

Marcus odchrząknął. Był wyraźnie speszony. Strasznie jej się to podobało; wyglądał tak słodko.

- Jimmy to od Jimmy'ego Olsena. Tego dziennikarza, który kumpłował się z Lois Lane i Clarkiem Kentem.

- A pan jest Clarkiem! Supermanem. Teraz rozumiem. Nawet to do pana pasuje.

Faktycznie. Podobnie jak Superman, porucznik Marcus Evans miał czarne włosy, niebieskie oczy, kwadratową szczękę, umięśnione ciało...

- Błagam, niech pani nie...

Ale ona za dobrze się bawiła, żeby zważać na jego błaganie.

- I co? Czy tak jak Superman, jest pan szybszy od kuli?

- Pokazać pani? - spytał, podejmując grę. Teraz ona zaczerwieniła się po uszy.

- Czyli przyjaźnicie się od czasu obozu szkoleniowego?

Oczy lśniły mu intensywnym blaskiem, pozwolił jednak Samancie na odwrót.

- Tak. Podczas ćwiczeń na wodzie instruktorzy podzielili nas na drużyny. Mnie przydzielono Jimmy'ego.

Dziwną tworzyli parę, pomyślała.

- Z początku Jimmy był w zespole Smurfów, a ja w Dryblasach. Powoli ludzie zaczęli się wykruszać. Nie wytrzymywali morderczego

wysiłku. Ze Smurfów został jeden Jimmy. Instruktorzy musieli zrobić przetasowanie. No i Jimmy wylądował na mojej łajbie.

- Podejrzewam, że wiele panu zawdzięcza. - Samantha uśmiechnęła się. - Jest sporo od pana słabszy.

- Tylko fizycznie. Gdyby nie on, wielokrotnie dałbym plamę. Trudno jej było sobie wyobrazić, aby Superman nie mógł się obejść bez pomocy Smurfa. Ale przecież Marcus nie ma powodu, żeby ją okłamywać.

- Naprawdę? - spytała, licząc, że poda jakiś przykład.

- Tak. Żeby dostać się do Navy SEALs, nie wystarczy być najszybszym czy najsilniejszym. Ważne są również hart ducha i odporność psychiczna. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Bez Jimmy'ego nie poradziłbym sobie. Nie byłbym dziś w siłach specjalnych.

Jego wyznanie i spojrzenie zaparły jej dech. Marcus Evans nie jest aroganckim, pewnym siebie oficerem, jacy się często zdarzają. Różni się też od polityków, z którymi stykała się zawodowo; ci byli wykształceni, zadufani, pretensjonalni.

Od niej również dzieli go bardzo dużo. Skończyła z wyróżnieniem uniwersytet Stanforda. Pracę magisterską obroniła w Harvard School of Diplomacy. Obce jej były problemy, o jakich mówił Marcus.

Z drugiej strony wiedziała, co to znaczy samotność. I właśnie ją dojrzała teraz w oczach Marcusa.

Wypuściła z płuc powietrze.

- Pewnie panu brakuje Jimmy'ego, prawda? Zacisnął zęby.

- Nawet pani nie wie, jak bardzo - odparł cicho.

Dzisiejszego wieczoru w niczym nie przypominała zrozpaczonej wdowy. Wzięła głęboki oddech; ten drobny ruch wystarczył, aby maleńkie koraliki i cekiny naszyte na niebieską suknię od Donatelli Versace rozbliły światłem. Wyglądała fantastycznie. Czuła się znakomicie.

Opuściwszy sypialnię, przeszła do salonu. Marcus Evans poderwał się na nogi. Serce zabiło jej mocniej.

- Mam nadzieję, że nie czekał pan zbyt długo?

- Nie. Jestem... - Urwał zmieszany. Zakręciło się jej w głowie.

- Jest pan...? - Liczyła na to, że usłyszy „oczarowany”, a w najgorszym razie „pod wrażeniem”.

- .. przed czasem - rzekł z uśmiechem. - Tak się spieszyłem, że kwiatek do butonierki zostawiłem w domu.

- Nie tylko kwiatek, także mundur - stwierdziła. Zamiast białego munduru, który zawsze nosił, miał na sobie ciemny garnitur oraz ciemną bawełnianą koszulkę. Podobnie ubierali się policjanci w serialu „Miami Vice”, tyle że oni woleli pastele.

- Skoro zastępuję Walkera, uznałem, że ubiorę się stosownie do roli.

Nagle spostrzegła, że istotnie są sami.

- A gdzie jest agent Walker?

- U siebie w pokoju. Po lunchu źle się poczuł. Albo złapał jakiegoś wirusa, albo coś mu zaszkodziło.

- Ojej! - Zmartwiła się. - Może trzeba wezwać lekarza?

- Nie sędę. Jeśli się zatrul, to do rana powinno mu minac. Chce pani, zebym poprosil WB o przyslanie kogos na jego miejsce?

- Sądzi pan, że to konieczne?

- Nie wiem. Ma pani mnie, ale może to za mało?

- Nikogo więcej mi nie trzeba. - Ugryzła się z język. Boże, jak to zabrzmiało? - Przynajmniej na dzisiejszy wieczór.

Nie to chciała powiedzieć. Marcus uśmiechnął się.

- Cieszę się.

- Agent Walker pewnie miałby nam za złe, gdybyśmy poprosili o zastępstwo.

- Pewnie tak - przyznał Marcus, otwierając drzwi.

- Poza tym jedziemy do Białego Domu, a chyba nie ma bardziej strzeżonego miejsca na świecie.

Niechcący musnęła łokciem jego ramię. Było ciepłe i twarde. Marcus nie zareagował.

- Zresztą właściwie nic mi nie grozi. Uśmiech znikł mu z twarzy.

- Myli się pani. Grozi.

Przeszył ją dreszcz. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że chętnie zgładziłby ją zarówno DeBruzkija, jak i przestępcy, którzy popierali jego reżim. Koalicja. Sami się tak nazwali. Ale nie potrafiła skupić się na generale i jego podejrzanych poplecznikach, kiedy serce waliło jej tak mocno. Znacznie większe zagrożenie stanowi porucznik Marcus Evans. Jego bliskość wytrącała ją z równowagi, atakowała jej zmysły.

Wsiadł za nią do windy. Samantha liczyła metr siedemdziesiąt wzrostu, miała na nogach szpilki, mimo to czuła się jak kruszyna. Marcus przewyższał ją o głowę, ale nie tyle chodziło o wzrost, co o siłę, jaką emanował. Wciągnęła w nozdrza zapach kremu do golenia i wody kolońskiej. Świat zawirował jej przed oczami.

Miała ochotę wcisnąć twarz w jego marynarkę, wdychać zapach jego ciała, skóry. Boże, ratuj!

Lustrzane drzwi windy zasunęły się. Samantha przymknęła powieki, by nie patrzeć sobie w oczy.

To niemożliwe, aby zadurzyła się w swoim ochroniarzu. Owszem, jest uroczym mężczyzną, sumiennym, obowiązkowym, z poczuciem humoru, w dodatku fantastycznie zbudowanym. Odkąd przyznał się, ile ma lat, przestała jej przeszkadzać różnica wieku. W końcu trzy lata to nie tak dużo.

Tylko że Marcus Evans nie był w jej typie.

Ona poruszała się w kręgach waszyngtońskiej elity. Zawsze fascynowali ją starsi mężczyźni. Inteligentni, odcytani, doświadczeni. Mężczyźni mający władzę. Tacy jak Stan.

Może w tym tkwi problem. Ma trzydzieści sześć lat; Stan nie żyje od trzynastu miesięcy, jest samotna. Brakuje jej widoku drugiej szczoteczki w łazience, wspólnego picia porannej kawy i dzielenia się uwagami na temat przeczytanych w gazecie artykułów, ciepłego ciała, do którego można się w nocy przytulić. Tak, brakuje jej Stana. I seksu.

Otworzyła oczy, zaskoczona własnym odkryciem.

No dobrze. Teraz, gdy uświadomiła sobie, w czym problem, może w sposób dojrzały zastanowić się, co z tym fantem począć. Wciągnęła powietrze. Marcus pachnie wspaniale. Nie, nie tędy droga, zganiała się w duchu.

Drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie. Ruszyli do wyjścia. Nie szli pod rękę, nawet nie szli koło siebie. Marcus wyprzedzał ją o jakieś pięć kroków. Dyskretnie badał wzrokiem stojące w holu fotele i kanapy, przyglądał się pracownikom recepcji, elegancko odzianym gościom czekającym na taksówki. Doceniała jego profesjonalizm. To oczywiste. Po chwili pomógł jej wsiąść do limuzyny, a sam zajął miejsce za kierownicą.

- A gdzie Eric? - zdziwiła się.

Obejrzał się przez ramię. Widziała jedynie zarys jego profilu, resztę twarzy pokrywał cień.

- Nie pojawił się. Może dopadł go ten sam wirus co Walkera?

Uspokoila się.

- Całe szczęście, że pan się uchronił - zażartowała. -

- Nigdy nie choruję. To co, wystarczę pani za kierowcę?

- Zna pan drogę?

- Chyba trafię do Białego Domu. Ale jeżeli pani woli, mogę zadzwonić po innego...

- Nie, nie trzeba. Nie chciałabym się spóźnić.

- O której zaczyna się przyjęcie? Zbliżała się siódma.

- Kolacja jest o dziewiątej. Przypuszczam, że będę siedziała koło Marta. - Doradca prezydenta Matt Tynan był jej starym przyjacielem i

politycznym sprzymierzeńcem. Razem chodzili do szkoły średniej, potem po latach, ku obopólnej radości, spotkali się w Waszyngtonie. - Chciałabym jednak dotrzeć na miejsce sporo wcześniej, żeby porozmawiać z paroma osobami. Później robi się taki tłok, że trudno kogokolwiek wypatrzeć.

- W takim razie nie traćmy czasu.

Kolistym podjazdem dojechał do ulicy, po czym zgrabnie włączył się w ruch. Samantha oparła się wygodnie o miękkie, skórzane obicie. Zazwyczaj obok niej siadywał Marcus. To niesamowite, jak bardzo w ciągu zaledwie kilku dni przyzwyczała się do jego bliskości. Sama na tylnym siedzeniu czuła się... po prostu samotna.

Co jest absurdem. Takim samym jak słynne stwierdzenie Clintona, że pałac marihuanę, nie zaciągał się. Bo przecież zawsze kręciło się wokół niej mnóstwo ludzi. Personel hotelowy, personel ambasady, sekretarki, asystenci, ludzie szukający rekomendacji, rady, podwyżki.

Wypuściła wolno powietrze z płuc. No dobrze, w większości to byli jej pracownicy. Stykała się z nimi na co dzień. Ale zna przecież także mnóstwo innych osób. Dyplomatów, kolegów po fachu, którzy cenią jej zdanie i często zwracają się o pomoc. Znużona pokręciła głową.

To są koledzy, znajomi. Ale ma również całkiem spore grono przyjaciół. Przyjaciół płci męskiej. Jakoś nigdy nie potrafiła zaprzyjaźnić się z kobietą. Żadnej nigdy się nie zwierzała. Z

mężczyznami zaś łączyła ją prawdziwa przyjaźń. Jedną z najbliższych jej osób był Ethan Williams, z którym przed wieloma laty, tuż po przyjeździe do Waszyngtonu, miała parę randek. Przymuszczałnie spotka dziś Ethana wraz z jego piękną młodą żoną Kelly.

Spotka też swojego najstarszego i najbliższego przyjaciela, Matta, który wciąż pozostaje w stanie kawalerskim. Nagle przypomniała sobie, że przecież Matt niedawno zaręczył się z Carey, swoją śliczną, młodą asystentką. Hm, same pary. Każdy ma żonę, narzeczoną, partnerkę. Tylko ona, Samantha, jest sama jak palec. Kolacja w Białym Domu bez Stana... Przygryzła wargę. Nie może sobie pozwolić na roztkliwianie się. A jeśli chodzi o Biały Dom, chyba już powinni dojeżdżać na miejsce?

Wyjrzała przez okno. Zawsze ją w Waszyngtonie wożono, trochę się jednak orientowała w topografii miasta.

- Chyba niesłusznie wjechaliśmy na autostradę - zauważyła.
- Wybrałem inną trasę - odparł Marcus, nawet nie odwracając głowy. - Na wypadek gdyby ktoś chciał urządzić na panią zasadzkę.
- Czy to nie był zjazd prowadzący do Centrum Kennedy'ego? - spytała zaniepokojona.
- Słucham?
- Pytałam, czy... - Nagle urwała; coś ją olśniło. - Zgubił się pan, prawda?
- Nie ufa mi pani?
- Nie wiem. - Uśmiechnęła się. - Może lepiej zajrzeć do planu miasta?

- Nie trzeba. Zaraz dowiozę panią do celu.

Ogarnęły ją wątpliwości. Miała wrażenie, że opuszczają Waszyngton i wjeżdżają do Wirginii. Zmrużywszy oczy, usiłowała dojrzeć jakieś napisy. Po chwili mignął jej zjazd na autostradę 1-66. Nawet gdyby w tym momencie zawrócili, do Białego Domu dotarłaby najwcześniej o ósmej.

Przyjrzała się uważnie krótko ostrzyżonemu mężczyźnie za kierownicą. Jest wojownikiem, żołnierzem, komandosem. Potrafi przedostać się za linię wroga, poruszać się sprawnie po obcym terenie. Czy jazda po stolicy własnego kraju naprawdę przekracza jego umiejętności?

Najwyraźniej. Rozczuliło to Samanthę. Upłynęło kolejnych pięć minut. Światła miasta pozostawały w tyle.

- Może jednak powinniśmy zapytać kogoś o drogę? - odezwała się, nie wierząc, że Marcus posłucha.

Stan był taki sam. Wolał błędzić, niż przyznać się, że nie wie, którądy należy jechać.

Ale porucznik Marcus Evans zaskoczył ją. Skręcił na parking nieopodal stacji metra.

- Tu staniemy.

Rozejrzała się po pustym, słabo oświetlonym placu. Większość ludzi, którzy zostawiali tu samochody, a resztę drogi pokonywali metrem, wróciła już z pracy do domu. W oddali zobaczyła kilka pojazdów. Może Marcus zamierza zejść na peron i tam zasięgnąć informacji?

Minął budynek stacji i podjechał na sam koniec parkingu, gdzie stał ciemny, nie rzucający się w oczy wóz.

Samantha wyteńczyła wzrok. Nikogo w pobliżu nie dostrzegła. W samochodzie też nikt nie siedział, ani z przodu, ani z tyłu. Poczowała, jak do jej serca zakrada się strach.

Marcus odwrócił się do niej.

- Musimy wysiąść - oświadczył.

Żeby spytać o drogę? - pomyślała. Ale kogo?

- Dlaczego?

- Nie mogę pani zostawić samej - wyjaśnił.

No tak. Poza tym przecież mu ufa. Powinna mu ufać. Jest jej ochroniarzem. Ale...

- A nie lepiej podjechać gdzieś dalej?

- Jesteśmy na miejscu. - Ściągnął marynarkę i podał ją

Samancie. - Proszę włożyć.

- Nie jest mi zimno - sprzeciwiła się.

- Proszę włożyć - powtórzył. - Pani suknia za bardzo mieni się w ciemności.

No to co? Po chwili jednak przypomniała sobie, że Marcus zna się na swojej pracy i pewnie nie chce, aby ona, Samantha, stanowiła tak widoczny cel.

Bez słowa wsunęła ręce w rękawy marynarki, która pachniała męską wodą kolońską. Jedwabna podszewka była ciepła w dotyku. Samantha zadrzała.

- No dobrze - powiedział usatysfakcjonowany. Wsiadłszy z limuzyny, otworzył tylne drzwi. - Idziemy.

- Dokąd?

- Musimy... O psiakrew.

- Co się stało?

Obejrzała się za siebie. Elegancko ubrana para w średnim wieku przechodziła nieopodal, kierując się do zaparkowanego dwa rzędy dalej lexusa.

Samantha otworzyła usta, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Dobry wieczór, nazywam się Samantha Barnes; czy mogliby mnie państwo podrzucić do Białego Domu?

Marcus zacisnął ręce na klapach marynarki i pociągnął lekko do siebie. Samantha wpadła mu prosto w ramiona.

- Staraj się, żeby to wyglądało autentycznie - szepnął jej do ucha i zaczął namiętnie ją całować.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie mogła oddychać. Nie była w stanie myśleć.

I nie zamierzała odwzajemniać tego pocałunku. Nie należała do kobiet, które bezceremonialnie się poklepuje lub ściska.

Onieśmielająca - tak ją określił pewien chłopak w szkole średniej. Nie było to miłe. Chłopcy woleli umawiać się na randki z ładnymi, sympatycznymi dziewczynami, a nie z kimś, kto onieśmiela.

Tak było w szkole i na studiach. Onieśmielała chłopców, potem mężczyzn. Dlatego tak bardzo się zdziwiła, kiedy Marcus bez żadnego uprzedzenia chwycił ją w ramiona. Zdziwiła się i oburzyła. Jakim prawem? Zacisnęła dłonie w pięści. Serce biło jej jak szalone, krew pulsowała w skroniach.

Tak, była oburzona. A może... Nie, to, co czuła, na pewno nie było strachem. Nie bała się. W takim razie...

Delikatnie musnął wargami jej policzek, płatek ucha. Zadrżała. Powoli traciła kontrolę. Jego włosy pachniały szamponem, od ciała bił żar. Usta miał gorące, oddech parzący. O Boże, nie, nie...

Otworzyła usta. Żeby wziąć oddech? Żeby zaprotestować? Nie była pewna. Marcus przesunął palcem po jej górnej wardze, potem po dolnej. Palec miał słony smak.

- Cii - szepnął, całując ją w szyję. - Wczuj się w rolę. Postaraj się mi pomóc.

Zamurowało ją. Wszystkiego się spodziewała, ale...

- Pomóc? Nie rozumiem. Uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Chcemy, żeby ci mili państwo wsiedli do swojego lexusa i odjechali. Jeżeli zobaczą całującą się parę, na pewno do nas nie podejda. Może nawet odwróca wzrok i nie będą się za bardzo gapić.

- Ale...

Przytulił ją mocniej.

- Musimy wypaść bardziej przekonująco - rzekł ochryple. - Spróbujmy jeszcze raz.

Wiedziała, że coś jest nie tak. Że nie powinna stać na ciemnym parkingu i całować się ze swoim ochroniarzem. Zamierzała się sprzeciwić, stanowczo zażądać wyjaśnienia, a potem kazać natychmiast zawieźć się do Białego Domu.

Marcus schylił ponownie głowę, zasłaniając jej widok rozgwieżdżonego nieba. Świat zawirował jej przed oczami. Tak, zaraz się sprzeciwi, zaraz każe się odwieźć na przyjęcie.

Ale jeszcze nie teraz. Rozchyliła wargi. Oboje mieli przyśpieszony oddech. Była podniecona. Od śmierci Stana nie całowała się z żadnym mężczyzną. A tak namiętnie nie całowała się nigdy w życiu. Ani ze Stanem, ani z nikim innym.

Kochany Stan był... hm, przeciętnym mężczyzną -przeciętnej urody, średniej budowy ciała, średniego wzrostu, średniej wagi, w średnim wieku.

Marcus przeciwnie - był bardzo wysoki, bardzo silny, bardzo namiętny. Nie uznawał półśrodków. Obejmował ją mocno, całował z żarem. Odwzajemniała wszystkie jego pieszczoty, jakby chciała

przejąć od niego siłę, żywotność i zapał, ogrzać się jego ciepłem, zapłacić pustkę w swym sercu.

Przygniótł ją do samochodu. Jęknęła cicho z rozkoszy. Boże! Było jej tak dobrze! Nagle zawstydziła się. Próbowwała uwolnić się z jego objęć, on jednak przesunął ręce w dół jej pleców i chwycił ją za biodra, przycisnął do siebie.

- Doskonale - szepnął, starając się dodać jej otuchy. - Nareszcie jesteśmy wiarygodni.

Wiarygodni? Oblała się rumieńcem. Czowała, jak w jej brzuch wbija się jego twardy członek. Musi wziąć się w garść. Nawet jeżeli nie jest w stanie zapanować nad sytuacją, powinna chociaż zapanować nad sobą. Jest dorosła, nie powinna się zachowywać jak rozochociona nastolatka.

- Chyba odjeżdżają... - wychrypiała i natychmiast odchrząknęła.
- Możesz mnie już puścić.

Obejrzał się za siebie. Ona też popatrzyła w kierunku oddalającego się lexusa.

- Na pewno? - spytał, delikatnie gładząc jej pośladki. Wciągnęła z sykiem powietrze. Nie, nie puszczaj! - błagała w myślach.

- Tak, na pewno.

- Dobra. - Uścisknąwszy ją po raz ostatni, cofnął się dwa kroki. -
Ruszajmy.

Przeszył ją dreszcz. Usiłowała skupić się na rzeczywistości.

- Do Białego Domu?

Gdy Marcus się zawahał, Samanthę ogarnął niepokój.

- Nigdzie nie jadę - oznajmiła - dopóki nie powiesz mi, co się dzieje.

No, nareszcie! Pogratulowała sobie w duchu stanowczej, zdecydowanej postawy. Marcus pokręcił głową.

- Nie traćmy czasu. Mamy najwyżej godzinę, zanim ktoś zauważy twoją nieobecność. Potem trudno mi będzie wywieźć cię niepostrzeżenie.

- Wywieźć? Dokąd?

- Nie możesz mi zaufać?

Wczoraj, a nawet jeszcze trzy kwadransy temu odpowiedziałaby, że mu ufa. Ale teraz nikomu nie ufała, zwłaszcza jemu. Nie, zwłaszcza samej sobie. Skrzyżowała ręce na piersiach.

- A powinnam? Dlaczego?

- Bo... - Podrapał się ręką po szyi.

Samantha wystraszyła się. Jeżeli on wspomni o pocałunku, wtedy...

- Bo nie masz wyboru - dokończył.

- Oczywiście, że mam! - oburzyła się. Napotkał jej wzrok.

- Nie, nie masz - oznajmił cicho.

Uwierzyła mu. Pomimo że wieczór był ciepły, a ją dodatkowo grzała marynarka, zaczęła dygotać.

Marcus wyciągnął z kieszeni kluczyki, po czym ujmując Samanthę za łokieć, podprowadził ją do ciemnego samochodu stojącego nieopodal limuzyny. Otworzył drzwi i zapraszającym

gestem wskazał miejsce na przednim siedzeniu. Żeby mieć ją na oku?
Żeby nie czuć się jak szofer?

- Wsiadaj.

Nagle coś ją tknęło. Wcale nie chciała znać odpowiedzi, ale musiała spytać:

- Gdzie Eric?

Podczas jej pobytu w Waszyngtonie Eric wszędzie ją woził.
Jeżeli Marcus wyrządził mu krzywdę...

- Nic mu nie jest.

- Gdzie Eric? - powtórzyła.

- W schowku na miotły koło męskiej toalety na dolnym poziomie hotelowego parkingu. Ale nie widział mnie. Kiedy nocny stróż go wypuści, pewnie obaj uznają, że Erica napadł jakiś zbir. Czy możesz już wsiąść?

Zdumiona wytrzeszczyła oczy.

- Zbir? To znaczy pobiliś go?

- Nie. Nasadziłem mu na głowę torbę i ukradłem portfel.

Chryste, stojąc na środku pustego placu, stanowisz łatwy cel. Proszę cię, wsiądź do samochodu.

Zniecierpliwienie, które przebijało z jego głosu, podziałało na nią uspokajająco.

- Masz pistolet? - spytała znużona.

- Oczywiście, że tak. - Westchnął. - Przecież wynajęto mnie, żebym cię chronił.

- Miło, że o tym nie zapomniałeś - mruknęła. Posłusznie zajęła miejsce na przednim siedzeniu, a Marcus zamknął jej drzwi i okrążył samochód. Powinnam się bać, pomyślała Samantha. I może się bała. A jednocześnie czuła się tak, jakby uczestniczyła w jakiejś surrealistycznej farsie. Na wszelki wypadek pociągnęła za klamkę u drzwi.

- Centralny zamek - wyjaśnił Marcus, zapinając pas. - Dla twojego bezpieczeństwa - dodał, widząc jej zagniewaną minę. - Nie chciałabym, żebyś zrobiła coś głupiego.

- Głupiego? Na przykład zaufała ci?

- Nieładnie, pani ambasador. - Wcisnął pedał gazu.

- Daruj sobie tę panią. Nie wiem, jak się powinien zwracać porywacz do porwanej, ale...

- To nie jest porwanie - rzekł przez zęby.

Zmrużywszy oczy, przeczytała widoczny w oddali napis z nazwą stacji metra. Dunn Loring-Merrifield. Nigdy nic nie wiadomo, może ta informacja kiedyś się jeszcze przyda?

- Nie? A co?

- Ochrona.

- Przed kim mnie tak chronisz?

- Przed Rebeliantami.

- Spodziewasz się, że...

- Spodziewam się kłopotów.

Wiedziała, że ostrożności nigdy nie za dużo, ale jakoś nie mieściło się jej w głowie, że ze strony Rebeliantów coś może jej grozić w Ameryce.

- Myślisz, że chcą mnie zgładzić?
- Nieważne, co myślę. Ważne, jakie otrzymałem instrukcje.
- Od kogo? Od Walkera? Milczał. A to oznaczało jedno.
- Walker nie wie, gdzie jestem, prawda?
- O to chodziło - odparł Marcus. - Minimalizacja ryzyka.

Minimalizacja ryzyka? Wcale jej się to nie podobało. Wyjrzała przez okno, usiłując zapamiętać trasę. Po obu stronach drogi rosły proste wysokie drzewa. Serce waliło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- DeBruzkija od początku sprzeciwiał się porozumieniu - rzekła, starannie dobierając słowa. - Rozumiem, że należy zachować pewne środki ostrożności, ale chyba nie warto popadać w przesadę.

- Nie tylko DeBruzkija stanowi zagrożenie. Sojusz z Ameryką jest również nie na rękę tej potężnej grupie przestępczej.

- Koalicji? Wiem. W Rebelii piorą brudną forszę, prowadzą handel bronią...

- Właśnie. A ty chcesz im przeszkodzić. Samantha wyprostowała się.

- Każda praca wiąże się z ryzykiem. Twoja również.

- Tak. Ale ja potrafię się obronić, ty nie.

- Gdybym potrafiła, nie wsiadłabym z tobą do tego samochodu - odcięła się.

Zacisnął ręce na kierownicy. Nie odpowiedział.

- Jeżeli nie wrócę do Waszyngtonu, jeżeli prezydent nie zatwierdzi mnie na stanowisku ambasadora i jeżeli w przyszłym tygodniu nie wrócę do Delmonico, co wtedy stanie się z porozumieniem?

- O czym ty mówisz?

- Masz rację. Generał DeBruzkija i przywódcy Koalicji nie chcą dopuścić, abym uczestniczyła w negocjacjach. Ale wcale nie muszą mnie zabijać, aby osiągnąć swój cel.

- Innymi słowy...

- Moje zniknięcie odniesie dokładnie taki sam skutek jak moja śmierć. - Odczekała chwilę, aby do Marcusa dotarł sens jej słów, po czym położyła dłoń na jego ramieniu. - Musisz mnie zawieźć z powrotem do Waszyngtonu. Zdajesz sobie sprawę, jakie konsekwencje może mieć moja nieobecność?

Nie odpowiedział, nie zawrócił, nawet nie zwolnił.

Samantha zadumała się. Ile czasu minie, zanim Matt lub Ethan zauważą, że nie pojawiła się na przyjęciu? Ile, zanim któryś z nich zadzwoni do hotelu? Zanim zawiadomi policję albo FBI?

- Musisz zatelefonować - powiedział nagle Marcus. Zamrugła powiekami.

- Gdzie? Do kogo?

- Do swojego asystenta Philipa. Powiesz mu, żeby się nie denerwował. Że nic ci nie jest, po prostu postanowiłaś wyjechać na krótki wypoczynek.

- Zgłupiałaś?

Posłał jej gniewne spojrzenie. Uświadomiła sobie, że go uraziła. Otworzyła usta, by przeprosić, ale nie zdążyła.

- Bynajmniej - odparł spokojnie. - Uważam, że to bardzo dobry pomysł.

Człowiek z żelaza, pomyślała Samantha, przyglądając mu się spod oka, o nerwach ze stali, uporze osła i wrażliwości głazu. Nie warto tracić czasu na przeprosiny.

- Odmawiam. Nie zadzwonię.

- Jak chcesz. Ale jeżeli rząd Delmonico uzna, że wycofałaś się cichcem z negocjacji, wtedy z porozumienia rzeczywiście będą nici. Jeżeli natomiast uprzedzisz, że wyjechałaś na kilka dni, aby odpocząć, nikt się nie obrazi. Piłka nadal będzie w grze.

Psiakrew, on ma rację! Sfrustrowana, pokręciła głową.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego mnie porywasz? Przecież ślubowałaś chronić interesy Stanów Zjednoczonych.

- Na razie chronię ciebie. Wykonuję swą powinność. A ty powinnaś wykonać swoją.

- Jak?

- Niedaleko będzie przydrożny parking, a na nim budki telefoniczne. Wiesz, co masz powiedzieć Philipowi?

- Wiem, co chciałabym powiedzieć. I powiedziałabym, gdybym sądziła, że to cokolwiek da. Ale jako ofiara porwania...

- To nie jest porwanie - zaprotestował.

- Zawrócisz do Waszyngtonu?

- Nie.

- Sam widzisz.

Na tle ciemnego nieba ukazał się jasnoniebieski napis ze strzałką kierującą na parking. Marcus skręcił.

Samantha rozejrzała się. Zobaczyła kilka stolików piknikowych, kosze na śmieci, fontannę z wodą pitną, budkę telefoniczną. Żadnych toalet, żadnych innych samochodów. Rozczarowana, przygryzła wargi.

Marcus podjechał pod budkę, a właściwie pod zamocowany do słupa daszek osłaniający aparat telefoniczny. Uniósłszy nieco biodra, sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Ależ on jest wspaniale zbudowany! Samantha odwróciła szybko wzrok. Co innego podziwiać jego ciało, kiedy poruszali się po jej świecie, a co innego, kiedy siedziała w samochodzie, którym wywoził ją... Dokąd?

- Mam kartę telefoniczną...

- Nie boisz się, że policja zdoła namierzyć, skąd dzwoniłam?

- Nie sędzę. Karta jest z góry opłacona. Poza tym wątpię, aby centrala hotelowa rejestrowała rozmowy. Zresztą, jeżeli to dobrze rozegrasz, Philip niczego się nie domyśli.

- Mylisz się. Mój asystent to bardzo bystry młody człowiek.

- Więc postaraj się być przekonująca.

Jeżeli spełni żądanie Marcusa, będzie współwinna własnego porwania. Jeżeli natomiast dyskretnie da Philipowi znak, aby zawiadomił Departament Stanu - i wiadomość o jej zniknięciu

przedostanie się do prasy - wtedy wszystko, nad czym tak ciężko pracowała, zakończy się fiaskiem.

Ręką ukrytą pod marynarką zaczęła obracać jednym z przyszytych do sukni koralików.

- Co mam mu powiedzieć? - zapytała.

- Co chcesz. Chociaż nie - poprawił się. - Coś, co nie wzbudzi jego podejrzeń.

Koralik mocno się trzymał.

- Wybierałam się na kolację do Białego Domu. Nie wydaje ci się, że bez względu na to, co powiem, Philip i tak nabierze podejrzeń?

- Hm... - Marcus zadumał się. - Powiedz mu, że kogoś poznałaś i że ten ktoś zaprosił cię na weekend.

Cholerny koralik. Jeszcze kilka obrotów. Już prawie go ma.

- Philip wie, że nie należę do kobiet, które wyjeżdżają na weekend z przygodnym mężczyzną.

- Naprawdę?

Zrobiła się czerwona jak burak. Całowała się z tym facetem, tuliła się do niego i jęczała w jego ramionach. Czy tak postępuje osoba, która nie zadaje się z nieznajomymi?

- Naprawdę - odparła stanowczym tonem.

- No dobra. Więc powiedz mu, że czujesz się wypalona i marzysz o chwili wytchnienia. Powinien uwierzyć. Powiedz, że byłaś w drodze do Białego Domu i nagle pomyślałaś sobie, że nie wytrzymasz kolejnego spotkania z zadufanymi politykami, których

nie obchodzi to, że od miesiący pracujesz nad porozumieniem i słaniasz się ze zmęczenia.

- Ale ja... - Drżała na całym ciele.

- Powiedz, że załamałaś się na myśl o jeszcze jednym wieczorze, kiedy musiałabyś grać rolę eleganckiej, uśmiechniętej pani ambasador. I że po prostu musisz spędzić kilka dni w ciszy i spokoju.

W głowie jej szumiało. Z coraz większą zaciętością szarpała koralik; wreszcie oderwała go od sukni.

- To potrwa tylko kilka dni? - spytała głosem nie zdradzającym zdenerwowania.

Marcus wzruszył ramionami.

- Miejmy nadzieję.

Wysiadła z samochodu, by wykonać polecenie. Zdumiała się, jak łatwo poszła jej rozmowa z Philipem; nie sądziła, że asystent okaże się tak łatwowierny.

- Ciągle powtarzam, że nie dba pani o własne zdrowie - odrzekł.

- Odpoczynek dobrze pani robi. Tylko proszę pamiętać o regularnych posiłkach.

Trzymała słuchawkę z dala od ucha, tak by Marcus, który stał tuż obok, słyszał, co Philip mówi.

- A propos posiłków. Dzisiejsza kolacja...

- Zadzwoń w pani imieniu do Białego Domu i przeproszę - oznajmił asystent. - Powiem, że źle się pani poczuła.

Miała pretensje do Philipa, że niczemu się nie dziwi i niczego nie kwestionuje.

- Dziękuję.
- Eric panią zawiezie? - spytał asystent.
- Nie. Chcę być sama. Zresztą nie przyszedł dziś do pracy.
- Naprawdę? - W głosie Philipa zabrzmiała ostrzejsza nuta.
- Pewnie jest chory, tak jak agent Walker.
- No tak. Zatrął się czymś, prawda?
- Chyba tak.
- Poda mi pani swój numer telefonu? Tak na wszelki wypadek.

Marcus napiął mięśnie.

- Jeszcze nie wiem, gdzie się zatrzymam - odparła, myśląc, że przynajmniej w tym momencie nie kłamie. - Postaram się wkrótce zadzwonić.

Marcus zmrużył oczy. Napotkała jego spojrzenie, modląc się w duchu, aby niczego nie wyczytał z jej twarzy.

- Ale poza zmęczeniem na pewno nic pani nie dolega? - spytał Philip.

Jak to nic?! - miała ochotę krzyknąć. Zostałam uprowadzona przez wielkiego, upartego komandosa, który bosko całuje!

- Na pewno, Philipie. Przekaż Mattowi, że żałuję, że nie mogłam poznać jego narzeczonej Carey.

- Oczywiście.

Pożegnali się. Samantha ścisnęła słuchawkę, chcąc ukryć drżenie rąk.

- Gotowa? - spytał Marcus.

Wzięła głęboki oddech, po czym opuściwszy ręce wzdłuż ciała, skinęła głową.

- Gotowa - potwierdziła.

Nie oglądając się za siebie, skierowała się pośpiesznie do samochodu. Marcus poruszał się bezszelestnie. Nawet nie słyszała jego kroków. Kiedy wsiadła, zatrzasnął za nią drzwi, po czym obszedł maskę i zajął miejsce za kierownicą.

- Upuściłaś to - rzekł płaskim, bezbarwnym głosem.

Położył jej coś na kolanach. Małą, lśniąca kulkę. Samantha zamarła. Rozpoznała oderwany od sukni koralik, który rzuciła na ziemię, kiedy rozmawiała przez telefon. Miała to być wskazówka dla policji.

- Pech chciał, że przez cały czas uważnie cię obserwowałem - dodał, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zacisnąwszy gniewnie usta, skupił się na prowadzeniu auta. Psiakrew, o mało nie przeoczył tego koralika!

Na samą myśl o tym oblał go pot. Gdyby nie zauważył... To byłby błąd, a Marcus Evans nie popełnia błędów. Uratował go jego sokoli wzrok.

Oczywiście pojedynczy koralik mógłby sobie długo leżeć w trawie. Wcale nie musiałby nikogo naprowadzić na trop Samantha Barnes. Chyba że ktoś by akurat szukał zaginionej pani ambasador ubranej w wieczorową suknię ozdobioną błyskotkami.

Nigdy nic nie wiadomo; lepiej być ostrożnym. Może Philipa coś jednak tknęło? Może jej kumple, Matt albo Ethan, zawiadomili FBI? Może policja uznała, że istnieje związek między kierowcą Samantha wepchniętym do schowka na hotelowym parkingu a jej przemożnym i niespodziewanym pragnieniem ucieczki od cywilizacji?

Sprawę z Erikiem powinien był jakoś rozsądniej załatwić. Niepokoiło go co innego: to, jak zniknięcie Samantha wpłynie na losy porozumienia pomiędzy Stanami a Republiką Delmonico. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? A przede wszystkim dlaczego nie pomyślał o tym Baxter?

Było zbyt wiele niejasności, zbyt wiele niedopracowanych szczegółów. Trudno, żeby on sam mógł wszystko przewidzieć. Lecz dopóki Baxter nie znajdzie zdrajcy, powodzenie misji zależy od niego, Marcusa.

W porządku. Odtąd skupienie i pełna mobilizacja. Żadnych rozrywek, żadnych pocałunków. No, chyba że ona pierwsza zacznie. Zerknął w bok. Siedziała z odwróconą głową, jakby nie chciała na niego patrzeć. Może uda mu się ją przekonać, że nie jest taki zły? Będzie miał na to co najmniej kilka dni. I nocy.

Na samą tę myśl przeszył go dreszcz. Psiakrew. Właśnie takich dystrakcji powinien unikać. Nie oddawać się marzeniom. Wtedy znika czujność, a zagrożenie rośnie.

A więc byłoby lepiej i bezpieczniej, gdyby Samantha czuła do niego niechęć i złość. Gdyby z dzikiej, namiętnej kobiety, która z takim żarem odwzajemniała jego pocałunki, przemieniła się z powrotem w chłodną panią ambasador. W drugą Madeleine Albright. Tyle że Madeleine Albright nie miała tak płomiennie rudych włosów ani tak ponętnych warg. I nigdy nie wzbudzała w nim pożądania.

Ponownie zerknął w bok. Nie, piękna kobieta w lśniącej wieczorowej sukni w niczym nie przypomina surowej, poważnej sekretarz stanu.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział.
- Czyli gdzie? - Sprawiała wrażenie zmęczonej.
- Zamieszkamy w domku na farmie. Daleko mu do Ritza, ale przynajmniej będziesz bezpieczna. Nikt cię tu nie znajdzie.
- Mam się cieszyć?
- Gdyby mnie próbowali dopaść szpiedzy z Rebelii i zamachowcy z Koalicji, to bym się cieszył.
- Marcus, ty naprawdę w to wierzysz?

- W co?

- Że grozi mi niebezpieczeństwo?

- Inaczej bym cię tu nie przywiózł.

- Nie przyszło ci do głowy, że mogę być bardziej zagrożona na tym pustkowiu?

Wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Baxter kazał mu wywieźć Samanthę z Waszyngtonu. Niby słusznie; nieznany wróg łatwiej mógł ją dopaść w centrum miasta niż na odludziu. Z drugiej strony, gdyby kula wroga najpierw dosięgła jego, Marcusa, wtedy na farmie Samantha byłaby bezbronna, zdana wyłącznie na siebie.

- Powinnaś mi zaufać.

- Trudno ufać porywaczowi - warknęła.

Hm, z ciętym językiem może nie była tak bezbronna, jak mu się zdawało. Ale wróg, strzelając z daleka, nawet nie miałby szansy się o tym przekonać.

- Weź się w garść i nie bądź dzieckiem.

- Co takiego?

Wstąpiła w nią furia. Co on sobie myśli? Samochód skręcił z asfaltowej szosy w wąską, pokrytą koleinami polną drogę, wzdłuż której rosły gęsto drzewa. Samantha nawet tego nie zauważyła. Za kogo on ją ma? Jakim prawem tak do mej mówi?

W ciągu minionego roku pożegnała się z marzeniami o rodzinie. Przeboleła stratę męża. Postanowiwszy kontynuować jego dzieło, rzuciła się w wir pracy. Poświęcała jej każdą chwilę swojego życia.

Dziś, zamiast trafić na kolację w Białym Domu, została uprowadzona. Nie wpadła w panikę, nie załamała się, nie zemdląca ze strachu.

- Nie muszę się brać w garść, panie Rambo - oznajmiła lodowatym tonem. - Doskonale sobie ze wszystkim radzę.

- Świetnie. - Marcus zatrzymał samochód, po czym wyciągnął kluczyki ze stacyjki. - Już.

- Go już?

- Dojechaliśmy.

- Aha.

Zmrużywszy oczy, rozejrzała się uważnie. Zobaczyła stojący wśród drzew piętrowy dom z długą werandą. Biała farba okrywająca ściany połyskiwała w blasku księżyca.

Marcus wysiadł i podniósł maskę wozu, zasłaniając jej widok domu.

- Co robisz?! - zawołała.

- Zabezpieczam się. Żebyś nie dała rady uruchomić samochodu.

Wysoko ocenia moje możliwości, pomyślała ironicznie.

- Kradzieży aut nie uczono mnie na Harvardzie -burknęła.

- Całe szczęście - oznajmił, chowając coś do kieszeni.

- To zaufanie, o którym tyle mówisz... czy nie powinno być obopólne?

- Powinno. Ale przezorności nigdy nie za wiele. -Otworzył jej drzwi.

- A jeżeli będziemy musieli uciekać w pośpiechu?

- Owszem, może się to zdarzyć. - Ujął ją za łokieć. - Samantha, uwierz mi. Nie pozwolę, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda. Przysięgam. Poza tym... - spuścił skromnie oczy - nie ma takiego pojazdu, którego nie uruchomiłbym w ciągu jednej minuty. Krew pulsowała jej w skroniach.

- Czyli, w przeciwieństwie do mnie, pilnie uczęszczałeś na kurs kradzieży samochodów?

Gdy uśmiech rozjaśnił jego twarz, przeraziła się. Tego, że znów straci kontrolę. Że się za bardzo odsłoni. Że ulegnie czarowi swojego... ochroniarza? Porywacza? Wolała się nad tym nie zastanawiać.

Zapalił lampę naftową.

- Włączyłem hydrofor, a rano postaram się uruchomić generator.
- Rozejrzył po mrocznym salonie. - Rozgość się, a ja sprawdzę, co jest na piętrze.

- Nie boisz się, że ucieknę?

- Samochód nie ruszy, a najbliższy sąsiad mieszka ze dwa kilometry stąd. Na tych obcasach daleko nie ujdiesz. Zamiast przedzierać się przez ciemny las i ryzykować spotkanie z niedźwiedziem, lepiej ci będzie ze mną.

Wytrzeszczyła oczy.

- Tu są niedźwiedzie?

No proszę, Samantha Barnes boi się niedźwiedzi! Chichocząc pod nosem, Marcus ruszył na górę. Sprawdził rozkład pokoi, upewnił

się, czy okna są zamknięte. Kiedy po paru minutach wrócił na dół, odeszła mu ochota do śmiechu.

Samantha stała na środku obskurnego salonu bez marynarki, którą położyła na fotelu, wysoka, piękna, zniewalająca. Zaczesane w kok rude włosy połyskiwały ogniście, mieniąca się w blasku lampy suknia opinała jej zgrabne ciało. Odchrząknął.

- W szafie znalazłem czystą bieliznę pościelową, więc nie jest tak źle. Twoja sypialnia to drugie drzwi na lewo. Może chcesz iść na górę i się przebrać?

Posłała mu ironiczne spojrzenie. Wyglądała jak bogini, która kontempluje zemstę.

- Przebrać? Niby w co?

Uniósł torbę, którą zabrał z samochodu.

- Moja siostra mieszka w Georgetown. Pożyczyłem od niej parę rzeczy.

- To miło z jej strony...

- Niezupełnie; wszedłem pod jej nieobecność - wyjaśnił. - Honey pracuje w podziemiach Białego Domu. Pewnie nawet nie zauważy, że jej czegoś brakuje. Kilka innych drobiazgów kupiłem w sklepie.

- Rozumiem - powiedziała cicho Samantha. Nie wykonała ruchu, aby wziąć od niego torbę.

- Zdążysz się przebrać przed kolacją.

- Nie jestem głodna.

- Powinnaś coś zjeść.

- I zjadłabym. Różne wykwintne dania w Białym Domu.

Starał się zagłuszyć wyrzuty sumienia.

- Następnym razem porwę cię po deserze. Dobrze? To co, zjesz zupę?

- Nie jestem głodna - powtórzyła.

- Podgrzeję - rzekł, ignorując jej sprzeciw. - Będzie gotowa, kiedy zejdziesz na dół.

Na jej twarzy odmalowała się irytacja. To dobrze, pomyślał. Lepiej żeby była wściekła niż przygnębiona.

- Powiedziałam, że nie jestem głodna.

- Czyli co? Będziesz odmawiać jedzenia i tracić siły, aż w końcu zemdlejesz? Nic ci to nie da.

- Och, przepraszam najmocniej! Widocznie porwanie nie wzmaga apetytu.

Prychnął pogardliwie.

- Dobra, dobra. Obserwuję cię od tygodnia. Towarzyszyłem ci podczas lunchu z senatorami Głupim i Głupszym. Porwanie nie ma tu nic do rzeczy. Ty nigdy nie masz apetytu. Głodząc się, sama wyrządzasz sobie krzywdę.

- Bez przesady. Utrata kilograma czy dwóch jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

- Ile?

- Co ile?

- Ile tych kilogramów ci ubyło od śmierci męża?

- Nie wiem. - Zmarszczyła czoło. - Kilka.

- Trzy? Cztery?

- Chyba wię... - Urwała. - To nie twój interes.
- Więcej? To o czymś świadczy, nie sądzisz? Może o anoreksji.

Może o depresji.

Samantha westchnęła ciężko.

- Nie jestem anorektyczką. Popatrz na mnie...
- Patrzą - powiedział, wodząc po niej wzrokiem. - Wyglądasz wspaniale. Ale ponad czterokilogramowa utrata wagi...

- Przestań! Jak mam cię przekonać, że się nie głodzę?
- Mogłabyś zjeść talerz zupy.
- W porządku! - Nagle zreflektowała się. - Ale z ciebie

podstępny drań.

Wyszczrzył zęby.

- Przyznaję się bez bicia.

Kąciki warg jej zadrżały, jakby z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Naprawdę nie jestem głodna.

- A ja jestem. Dotrzymaj mi chociaż towarzystwa. Obdarzyła go uśmiechem. Nareszcie! Cudownym promiennym uśmiechem i dwoma uroczymi dołeczkami w policzkach.

- Proszę bardzo. Tylko najpierw się przebiorę. Więc gdzie jest moja sypialnia?

Marcus podniósł torbę, lampę naftową i wskazał głową schody.

- Drugie drzwi na lewo. Pokażę ci.

Kierując jej światło pod nogi, ruszył z nią na górę. Starał się nie wlepić oczu w jej kształtne biodra opięte lśniącym jasnoniebieskim

materiałem. Wyobraził sobie, jak Samantha zdejmuje suknię: zamek błyskawiczny się zacina, więc ona woła go do pokoju i prosi, by jej pomógł.

- Przyniósłbyś mi świecę?

- Słucham? Świecę? - Na szczęście ciemności skryły rumieniec, jaki wypełził mu na policzki. Postawiwszy lampę na zakurzonej szafce nocnej, Marcus cofnął się do drzwi. - Zostawię ci lampę.

- A ty?

- Mam drugą w samochodzie.

- Najpierw musisz dojść do samochodu.

- Świetnie widzę po ciemku.

Nie skłamał. Widział w nocy jak kot. Dlatego często brał udział w nocnych misjach. I dlatego teraz dostrzegał każdy szczegół jej wyglądu: umęczenie wyzierające z oczu, lekko rozchylone wargi, cienki materiał zmysłowo opinający brzuch i uda... Odwrócił wzrok.

- Przebierz się - powiedział ochryple.

Miał nadzieję, że to pomoże. Bał się, że inaczej nie wytrzyma. Bo jak wytrzymać kilka dni, pałając namiętnością do pięknej kobiety, której powinien jedynie strzec?

Zbiegł po schodach i wyszedł na dwór. Chciał ochłonać, przez chwilę pooddychać świeżym powietrzem, a przy okazji wyjąć rzeczy z bagażnika.

W jednej ręce niosąc naftową lampę, drugą ręką trzymając się poręczy, Samantha zeszła na dół. Kierując się zapachem rosołu oraz świeżo parzonej kawy, skręciła w stronę kuchni.

Marcus stał tyłem do drzwi, mieszając zupę w rondlu. Ten spokojny, sielski obrazek psuła jedna rzecz: kabura, w której tkwił pistolet. Na widok broni Samantha wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Zupa gotowa - oznajmił Marcus, obracając się przodem. -
Zapraszam do... O rany!

Zamurowało go. Miała na sobie wąskie ciemne dżinsy oraz kusą, obcisłą jak druga skóra, czerwoną bluzeczkę z wyszytym na biuście srebrzystym napisem: „Buzi Buzi”.

- Tak się ubiera twoja siostra?

- Chryste. - Z trudem oderwał wzrok od piersi Samantha. -
Przepraszam. - W jego oczach pojawił się wyraz rozbawienia. - Po prostu otworzyłem szufladę i chwyciłem parę rzeczy z brzegu. Nie sądziłem, że będą tak... tak...

- Tak krótkie? Tak ciasne? - podpowiedziała.

- Sugestywne.

Popatrzyła w dół. Jedno „Buzi” zachęcało połyskliwie z prawej piersi, drugie z lewej.

- Miałam wybór. Mogłam włożyć czarną bluzeczkę z napisem „Seksowna laska” albo niebieską z napisem „Jestem twoja”.

- Zabiję tę moją siostrzyczkę. Słowo honoru, albo ją zabiję, albo zamknę w zakonie, dopóki nie skończy pięćdziesięciu lat.

Samantha roześmiała się.

- A ile ma teraz?

- Honey? Dwadzieścia trzy.

- W tym wieku takie stroje są dozwolone.

- W tym wieku powinno się mieć więcej oleju w głowie. - Starał się patrzeć jej prosto w oczy. - Oczywiście siostra uważa, że mam poglądy jaskiniowca, a ja uważam, że jej brakuje piątej klepki. Ale na ogół się dogadujemy.

Samantha czuła się speszona strojem tak podkreślającym figurę, a jednocześnie była zadowolona z efektu, jaki wywiera na Marcusie.

- W sumie to dobra dziewczyna - kontynuował. - W dodatku znacznie bystrzejsza, niż się naszym rodzicom wydaje. I na pewno o wiele inteligentniejsza ode mnie.

- Dlaczego tak mówisz?

Wzruszył ramionami, po czym zdjął garnek z palnika.

- Bo to prawda. Siadaj.

- Ale...

- Już dawno pogodziłem się z faktem, że nie jestem bystrzakiem.

- Nie zgadzam się, nie...

- Masz rodzeństwo? - spytał, nalewając jej zupy.

- Nie.

- Więc nie masz skali porównawczej. Jedz.

- Wiesz... - Podniosła łyżkę. - Zawsze marzyłam o dużej rodzinie.

- Serio? A masz dzieci?

Potrafiła doskonale skrywać ból. Stan dał jej tak wiele. Ale nie dał dzieci, o których marzyła.

- Niestety. Mąż i ja... nie poszczęściło nam się.

- Nie myśleliście o adopcji?

Przeciwnikiem adopcji był Stan. Pomyśl o ryzyku, powtarzał. Czy warto dezorganizować sobie życie, przyjmując pod swoje skrzydła dziecko, którego pochodzenie genetyczne jest jedną wielką niewiadomą?

- To nie wchodziło w grę - odparła cicho. Marcus odchylił się na krześle i zmrużył oczy.

- Masz coś przeciwko adopcji?

- Nie. - Nie chcąc być nielojalna wobec Stana, dodała pośpiesznie: - Z drugiej strony to ryzykowne, prawda? Adoptowane niemowlę może mieć utajone problemy zdrowotne, z kolei starsze dzieci wracają pamięcią do przeszłości i...

- O ile ją pamiętają - mruknął pod nosem.

- Słucham?

- Nie, nic. - Odsunął krzesło. - Można ci dolać? Ze zdumieniem zobaczyła, że talerz ma prawie pusty.

- Nie, dziękuję. A ty?

- Ja sobie doleję. - Sięgnął po rondel. Samantha przygryzła wargę.

- Pytałam o dzieci.

Oczy rozbliły mu humorem.

- Panią ambasador interesuje moje prywatne życie? No, no, no.

- Ja... - spieszyła się. - Skoro zanosisz się na to, że spędzimy razem kilka dni, to owszem, chciałabym co nieco o tobie wiedzieć.

- Nie mam dzieci ani żony czy narzeczonej - odparł.

Zaczerwieniła się.

- Po prostu zastanawiałam się, jak to jest. Znikasz bez słowa...
- Dostałem rozkaz - rzekł takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. - Każdy w Navy SEALs poświęca pracy sto procent swojego czasu. Na rodzinę nie ma miejsca.

- Masz coś przeciwko małżeństwu? - spytała, parafrazując jego wcześniejsze pytanie.

Wręczył jej krakersa posmarowanego masłem orzechowym.

- Absolutnie nie - odparł. - Ale chciałbym móc żonie poświęcić przynajmniej tyle samo co pracy.

- To znaczy?

- Sto procent swojego czasu.

- Co się w sumie składa na dwieście procent.

Wzruszył ramionami.

- Na to wychodzi. Zostało ci...

- Co?

- W kąciку ust. Trochę masła orzechowego. Pochyliwszy się nad stołem, przysunął rękę do jej twarzy. Odruchowo cofnęła się.

- Spokojnie - powiedział cicho.

Ponownie zbliżył rękę. Tym razem nie cofnęła się. Postanowiła udowodnić, że panuje nad sobą. Starł palcem resztkę masła z jej warg.

- I po bólu - mruknął. Wypuściła z płuc powietrze.

- Powinnam pójść na górę. Mam sporo...

- Pracy? Chyba nie.

- Zaległości. Rozłożył bezradnie rękę.

Ogarnęła ją panika. Jak mógł jej to zrobić? Porwanie mogła mu od biedy wybaczyć; działał na rozkaz przełożonych. Ale żeby pozbawić ją dokumentów, raportów...

- Niczego na drogę nie zabrałeś? Wstał, żeby uprzątnąć stół.

- Zabrałem. Jedzenie.

- Nic do czytania?

- Bluzeczki Honey pewnie się nie liczą? - spytał żartobliwie.

Miała ochotę czymś w niego cisnąć - pustym talerzem, słoikiem z masłem orzechowym. Oczywiście nie zrobiła tego. Nie było to w jej stylu.

- Niedobrze. Co ja mam robić przez następnych kilka dni?

- Nie wiem. Jeść, spać, grać na pianinie.

I kochać się ze mną... Tego akurat nie powiedział na głos, lecz Samantha miała taką minę, jakby czytała w jego myślach. Nie zamierzała jednak ulec pokusie.

- Jest tu pianino?

- Owszem. Grywasz, prawda?

- Czasem. Ale pewnie to tutejsze jest rozstrojone. Od jak dawna dom stoi pusty?

- Powinnaś spróbować - rzekł Marcus, nie odpowiadając na jej pytanie. - Może jednak da się na nim pograć.

Porwanie i prywatny recital jednego wieczoru? Potrząsnęła głową.

- Nie, lepiej pościelę łóżko. Wstawił pośpiesznie talerze do zlewu.

- Poczekaj, zaraz ci pomogę.

- Nie. Znajac twój gust - wskazała na swoją bluzkę - wolę sama wybrać pościel. Jeszcze bym się obudziła wśród Kaczorów Donaldów i Batmanów.

- Pełna perwersja.

Roześmiała się. Srebrne literki na biuście zafalowały.

- Dobranoc, Marcus.

Patrzył na znikające na schodach światło lampy, wsłuchiwał się w odgłos kroków i starał nie myśleć o Samancie szykującej się spać.

Przyniósł z salonu swój laptop - sprzęt najnowszej generacji, z wbudowanym modemem GSM - i uniósł pokrywę. Przyszło mu do głowy, że jak uruchomi generator i nie będzie zdany na baterie, Samantha będzie mogła do woli buszować po Internecie.

Wpisał umówione z Baxterem nazwisko użytkownika i hasło: Hektor Protektor. Prawie natychmiast na ekranie pojawiła się jakaś śmieszna postać rysunkowa: ubrany na zielono facecik.

Marcus wpatrywał się z rozbawieniem w małą, podskakującą postać. Hektor Protektor strój nosił zielony, Hektor Protektor miał królowej służyć do ochrony. Lecz król go nie polubił...

Nagle uwagę Marcusa przykuły jakieś hałasy. Zmarszczył czoło. Co, do diabła...

Skrzypienie. Dochodzi z góry.

Psiakrew, okno! Samantha próbuje otworzyć okno!

Wyciągnął z kabury glocka i bezszelestnie ruszył w stronę schodów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Obiekt jest w pokoju na piętrze.

Ukryty w mroku mężczyzna patrzył z bijącym sercem, jak kobieta pochyla się nad materacem. Otwarte okno stanowi ułatwienie. Wystarczy teraz pociągnąć za spust.

Strużka potu spływała mu po plecach. Poruszył palcami. Był gotów do oddania strzału. Do wyeliminowania wroga.

Trzask sprawił, że Samantha poderwała głowę. Pomalowana na biało framuga okienna pękła, szyba rozleciała się w drobny mak. Samantha wrzasnęła.

Marcus wpadł przez drzwi niczym jednoosobowa brygada antyterrorystyczna.

- Na podłogę! Już!

Schowwała się za łóżko. Leżała z policzkiem przytkniętym do brudnego dywanu, obserwując nogi Marcusa, który przemierzył pokój. Odlamki szkła skrzypiały mu pod butami.

- Co się stało? Złapałeś go?

- Nie.

Stał przy rozbitej szybie. W ciemnym pokoju, ubrany na ciemno, ledwo odcinał się od czarnego nieba.

- Na miłość boską, nie podchodź do okna! - krzyknęła.

- Nie podnoś głowy. Przyjrzałeś mu się? Oderwała policzek od dywanu.

- Komu?

- Facetowi, który usiłował się do ciebie włamać. Zmarszczyła czoło.

- Nikt się nie próbował włamać.

- Samantho, ktoś próbował otworzyć tu okno. Słyszałem.

Ostrożnie uniosła się na kolana i przygryzła wargę.

- Chyba... chyba mnie słyszałeś. Zastygł w bezruchu.

- Możesz to wyjaśnić? Oczywiście, że może. Nic prostszego.

- Było strasznie duszno. I gorąco: Po... pomyślałam... - zaczęła się jąkać - że... W kuchni siedzieliśmy przy otwartym oknie.

- Więc otworzyłaś je i tu - oznajmił bezbarwnym tonem.

Skinęła głową.

Z taką siłą wetknął broń z powrotem do kabury, że aż się zdziwiła, iż pistolet nie wystrzelił.

- Wiesz, że mogłaś zginąć?

- Wiem. Ktoś do mnie strzelał.

- Nie całkiem. To moja kula trafiła we framugę, a od siły uderzenia pękła szyba.

- Nie rozumiem... Ty do mnie strzelałeś? Skrzywił się.

- Nie. Strzelałem do... Ktoś tu był.

- Mówiłeś, że nikt nie wie, gdzie nas szukać.

- To prawda. A przynajmniej nie powinien wiedzieć. Psiakrew! - wykrzyknął. - Mogłem cię zabić!

Wcale nie był takim nieczułym twardzielem, za jakiego chciał uchodzić. Świadomość, że tak niewiele brakowało, by pozbawił Samanthę życia, dogłębnie nim wstrząsnęła.

Jego zdenerwowanie podziało na nią kojąco. Uzmysłowała sobie, że porucznik Evans nie mógłby jej skrzywdzić.

- Nie mógłbyś, Marcus - powiedziała cicho. - Jesteś zbyt doświadczony. Nie popełniłbyś takiego błędu.

- Mało brakowało.

- Ale żyję. - Podniósłszy się z kolan, obeszła łóżko. - Nic mi nie jest.

- Na razie. - Zacisnął zęby. - Nie możesz tu spać.

- To znaczy, że odwieziesz mnie do Waszyngtonu?

- Nie mogę. - Zwinął dłoń w pięść. - Dopóki nie otrzymam pozwolenia. A otrzymam je dopiero wtedy, kiedy Baxter znajdzie zdrajcę.

Sprawił wrażenie, jakby naprawdę wierzył w to, co mówi. Samantha westchnęła.

- W porządku. Ile jest sypialni w tym domu?

- Nie będziesz się kłócić, protestować? Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Może rano. Na razie potwornie chce mi się spać.

- No dobrze. Są cztery, trzy na piętrze, jedna na parterze. Ta na parterze odpada; nie chcę być daleko od ciebie. Zostają trzy na piętrze.

Mógłbym zmieść szkło i zabić deskami okno, ale...

- Jest późno - dokończyła. - Czyli zostają jeszcze dwie.

- Teoretycznie tak, a praktycznie... Kiedy ich córka wyprowadziła się z domu, Robinsonowie przerobili jej pokój na pracownię krawiecką. Więc...

- Więc z czterech sypialni została nam tylko jedna?

- Z szerokim małżeńskim łóżem. Ale to nie problem. Mogę spać na podłodze.

- Nie zmieścilibyśmy się razem?

Zszokowała go jej propozycja, jednak nie dał po sobie nic poznać.

- Razem?

- No tak. Nie sypiałeś w dzieciństwie u kolegów? W jego głosie pojawiła się nuta wesołości.

- Miła moja, jesteśmy dorosłymi ludźmi...

- A nie żadnymi napalonymi małolatami. Gdybym była twoim kumplem z Navy SEALs...

- W Navy SEALs nie ma kobiet.

- Ale gdybym była mężczyzną...

- Gdybyś była mężczyzną, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

- Czyli tylko z kobietami nie lubisz sypiać? Uniósł brwi, jakby nie dowierzał własnym uszom. Ale palnęła! Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Mylisz się - wyjaśnił cierpliwie. - Z kobietami bardzo lubię sypiać.

Zrobiła się czerwona jak burak. I brnęła dalej:

- To znaczy, tylko ze mną nie chcesz?

- Hm. Pytasz, czy nie chcę się położyć do łóżka z piękną, mądrą i niewiarygodnie seksowną kobietą czuć zapach jej włosów i skóry,

może odwrócić się na drugi bok i objąć ją przez sen? - Udawał, że się nad tym zastanawia. - Nie, nie miałbym nic przeciwko temu.

- Więc...

- Nie wiem, czy potrafiłbym spać koło ciebie jak greczny chłopczyk.

Przyłapała się na tym, że wpatruje się w jego spodnie. Rany boskie, co ty wyprawiasz!?! - zganiła się w myślach.

- Byłoby to dość, że tak powiem, ryzykowne - dodał Marcus.

Jak każdy rasowy dyplomata, umiała szybko rozważyć swoje opcje, skalkulować ryzyko. Nie była hazardzistką, nieznane nigdy jej nie kusilo. Marcusa znała zaledwie od tygodnia, a mimo to... Serce waliło jej jak opętane.

- Ufam ci - powiedziała.

Nie widziała w ciemnościach jego twarzy.

- Obyś nie popełniła błędu.

Leżąc później na nierównym materacu, Marcus oddychał ustami, tak jak go szkolono, cicho wciągając i wypuszczając powietrze. Tyle że wrogiem nie był żaden obcy człowiek, lecz on sam, a raczej jego własne ciało.

Potrafił w ciężkich butach przebiec sześć kilometrów w czasie poniżej dwudziestu sześciu minut. Potrafił przepłynąć w morzu dystans trzech i pół kilometrów w niecałą godzinę. Potrafił poskromić łaknienie, zwalczyć głód, nie zwracać uwagi na ból i zmęczenie. Ale wyczuwając obok siebie Samanthę, nie potrafił zapanować nad pożądaniem.

Przewracał się z boku na bok.

- Nie możesz zasnąć? - spytała cicho.

- Nie przejmuj się. Śpij.

- Czasem pomaga ciepła kąpiel.

Przewrócił się znowu, zmieniając nieco pozycję.

- Jutro sprawdzę, czy woda nie jest skażona.

- Skąd wiesz o takich rzeczach?

Rozmowa była zdecydowanie lepsza od myślenia i snucia fantazji.

- Dorastałem na farmie.

- Twoi rodzice są farmerami?

- Ojciec jest emerytowanym lekarzem wojskowym, specjalistą od mózgu, a mama namiętną bywalczynią ekskluzywnego klubu golfowego w Conover Pointe. Ale oboje latami hodowali konie.

- I wychowywali dzieci - powiedziała z nutą zazdrości

Samantha.

- Tak. Żaden z koni ich nie zawiódł.

Samantha nie zareagowała. Czekala. Mógł dalej mówić albo wyciągnąć rękę i... Mów, głupcze!

- A ja, niestety, nie wyrosłem na genialnego neurochirurga.

- Właśnie tego po tobie oczekiwali?

Nie wiedział. Kiedy Evansowie go adoptowali, miał dziesięć lat. Był wysokim, małomównym chłopcem, któremu nauka przychodziła z trudem, a w nocy śniły się koszmary i który nic nie pamiętał ze swojego poprzedniego życia.

Czasem się zastanawiał, jak to możliwe. Czy popełnił w dzieciństwie coś tak strasznego, że po prostu wymazał z pamięci cały okres przed adopcją? Coś tak strasznego, że gdy został sierotą, nikt z dalszej rodziny nie chciał się nim zaopiekować? Kiedy trafił do Evansów, jeszcze przez jakiś czas zadreślał się myślą, że może jego biologiczni rodzice wcale nie zginęli; może woleli się go pozbyć.

- Nie mówili mi. Ale tata był zawiedziony, kiedy zrezygnowałem ze stypendium sportowego. Mogłem studiować w Maryland na niezłej uczelni, lecz wolałem wstąpić do SEALs.

- Do marynarki, jak twój ojciec?

- I brat. Drew jest pilotem, bierze udział w akcjach poszukiwawczych i ratowniczych.

- Ciebie latanie nie kusilo?

- Nie miałem odpowiednich kwalifikacji, żeby dostać się do akademii w Annapolis.

- Myślę, że zasługi twojego ojca...

- Wiem, pomogłyby, ale nie chciałem być przyjęty po znajomości. Zdecydowałem się na Coronado.

- Świetnie cię rozumiem. Mnie nominowano na ambasadora ze względu na Stana. Ale chciałabym, żeby nominację zatwierdzono ze względu na moje umiejętności i zasługi.

- I tak będzie. To ty wynegocjowałaś warunki porozumienia z Delmonico - przypomniał Marcus.

- A ty wykazałeś się podczas szkolenia.

- O tak. Pół roku mordegi. To najtrudniejszy obóz wojskowy na świecie.

- Tak długo to trwało?

- A twoje studia ile?

- No tak. - Uśmiechnęła się w ciemności i przewróciła na bok.

Poczuł zapach jej perfum. Żeby zająć czymś myśli, wrócił do przerwanej rozmowy.

- Wiesz, ten obóz... zajęcia odbywają się na okrągło. Potworny wysiłek fizyczny i permanentny brak snu. Najpierw pięć tygodni indoktrynacji, potem osiem tygodni tak zwanej rozgrzewki. Następnie osiem tygodni nurkowania, dziewięć działań wojennych na lądzie, trzy tygodnie spadochroniarstwa w Army Airborne w Georgii, kolejnych piętnaście w Naval Special Warfare Centre. Wreszcie, jeżeli do tego czasu nie padło się trupem albo nie zrezygnowało, dostaje się papiery, medal i przydział do jednostki SEAL.

- Chyba się tak nie mordowałeś dla medalu?

- Bardzo mi na nim zależało - przyznał. - To symbol odwagi, hartu, siły, zdolności bojowych na lądzie, w powietrzu i na morzu. Niełatwo na niego zasłużyć. Zresztą - dodał, chcąc rozładować atmosferę - uwielbiam pływać i podkładać miny.

Wybuchnęła tym swoim lekko ochrypłym, gardłowym śmiechem, który przywodził na myśl Kathleen Turner.

- Były takie dni, zwłaszcza podczas rozmów z delegacją z Rebelii, kiedy też miałam ochotę wysadzić coś w powietrze.

- Dlatego my to robimy. Żebyście wy nie musieli.

- Oddałbyś życie za ojczyznę, prawda? - spytała, poważniejąc.

- Na pewno walczyłbym w obronie ojczyzny. A czy oddałbym życie? Chyba trudno byłoby mnie zabić.

- To dobrze.

Pogładziła go po ramieniu. Ten niewinny dotyk przejął go dreszczem. Wsunął poduszkę pod głowę i zamknął oczy. Cholera, musi zasnąć. Da radę. Nauczył się tej sztuczki: zasypiać niemal na rozkaz, budzić się w mig. Podczas krótkiej drzemki można świetnie zregenerować siły.

Rozluźnił mięśnie, opróżnił umysł; skupiony na równomiernym oddychaniu, starał się nie zwracać uwagi na to, że materac się ugina, a zapach perfum ponownie wdziera mu do nozdrzy. Jest komandosem, człowiekiem, który wszystko umie. Ale jednego nie potrafił: wpłynąć na treść swych snów.

W wódzie był najszybszy; nikt go nie mógł doścignąć.

- Mark, chodź! - zawołała jego matka zanurzona po kostki w morzu. Stała na tle olśniewającej bieli piasku, jedną ręką zasłaniając oczy przed blaskiem słońca.

Chłopiec roześmiał się wesoło i zanurkował. Wynurzył się i ponownie zanurkował. Woda była zimna, dno prawie niewidoczne, prąd wartki i silny. Za plecami usłyszał wybuch. Tak szybko? Wiedział, że łódź wybuchnie; mama ich uprzedzała, więc się nie wystraszył, kiedy fala się podniosła.

Było ciemno. Krew dudniła mu w uszach. W pewnym momencie poczuł się trochę niepewnie, ale szybko wziął się w garść. To on jest tym wytrzymałym i silnym, a woda jest jego żywiołem.

Otworzył oczy. W górze dojrzał blask. Przebierając nogami, zbliżał się ku światłu. Wreszcie wypłynął na powierzchnię. Dysząc z wysiłku, wciągnął do płuc powietrze. Udało się! Obrócił się roześmiany i zaczął liczyć unoszące się na wodzie głowy. Jedna, druga, trzecia... Nagle ogarnął go przeraźliwy strach. Gdzie siostra?

Serce podeszło mu do gardła. Otworzył usta, żeby ją zawołać, gdy wtem zalała go fala.

Zakrztusił się; nie mógł zaczerpnąć tchu.

Zakrztusił się.

- Marcus?

Czyjaś drobna dłoń potrząsnęła go za ramię.

- Marcus, obudź się.

Poderwał się. Serce waliło mu jak młotem, pot spływał po skórze. Oszołomiony, zamrugał powiekami. Przed sobą ujrzął w mroku bladą, zatroskaną twarz.

Samantha.

- Nie bój się, to tylko zły sen - powiedziała kojąco. - Nic się nie stało.

Potarł ręką twarz, jakby chciał usunąć z pamięci obraz topieli.

- Przepraszam.

- Często śnią ci się koszmary?

- Nie. Tak. Cholera, myślałem, że już je pokonałem.

- Chodzi o wybuch? Na „Stokerze”?

- Tak. Nie. - Nie chciał o tym mówić. Ale obudził ją w środku nocy; należy jej się słowo wyjaśnienia. -Owszem, pojawia się wybuch, ale... ale on chyba ma jakiś związek z moją siostrą.

- Z Honey?

- Nie. Tą drugą.

- Masz dwie siostry?

Przeniknął go straszliwy ból, zupełnie jakby ktoś ugodził go nożem w serce. Wziął głęboki oddech.

- Nie. Przepraszam. Po prostu...

- Cii, już dobrze - szepnęła.

Był jej wdzięczny, że nie nalega, że nie domaga się odpowiedzi. Bo żadnej nie umiałby udzielić.

- Zdejmij koszulę, jest cała mokra. A potem wracaj spać.

Posłuszny jak małe dziecko uniósł ręce. Kiedy ściągnęła mu przepoconą koszulę, opadł z powrotem na materac i zacisnął powieki. Łóżko się ugięło. Poczul przy swoim łokciu miękkie ciepłe kolano.

Musi jej to powiedzieć, musi jej podziękować.

- Sam...

- Ciii, śpij - szepnęła.

Zasnął. Już więcej nic mu się nie śniło. Rano obudził się podniecony. Samantha leżała na nim, otulając go niby koc.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Obudziła się z dłonią na twardym męskim torsie, nosem wtulonym w umięśnione ramię, nogą przerzuconą przez owłosione udo i łokciem spoczywającym na płaskim brzuchu. Hm, jakie to miłe, pomyślała. Dziwne, ale miłe. Od ponad roku sypiała w łóżku sama. Brakowało jej ciepła drugiego ciała, czyjegoś oddechu, dotyku, nawet sapania. Teraz wolno wciągnęła powietrze, rozkoszując się bliskością mężczyzny. Jego obecność działała na nią pokrzepiająco.

Marcus Evans nie był jednak jej mężem. Skórę miał ciemniejszą, bardziej jędrną. Inaczej pachniał. Tak, zdecydowanie inaczej. Był też wyższy i lepiej zbudowany od Stana. Przesunęła badawczo kolano. Tak, wszystko ma duże.

„Nie wiem, czy potrafiłbym spać koło ciebie jak greczny chłopczyk”, powiedział wczoraj wieczorem.

Uśmiechnęła się pod nosem. Faktycznie, grzecznym chłopcem to on nie był. Grzeczni chłopcy nie miewają takich wzwodów. Poczuała się doceniona jako kobieta.

W nocy, gdy zbudził się zlany potem, pocieszała go, jakby był dzieckiem, którego nigdy nie miała. Lecz dziś rano w niczym dziecka nie przypominał. Nie udawała, że jest zaskoczona lub zgorszona. Zdumiała ją tylko jej własna reakcja. Na podniecenie Marcusa reagowała jak... kobieta.

Oddech miał spokojny, równomierny. Postanowiła zaryzykować. Wolno przesunęła w dół rękę. Nawet nie drgnął. Z bijącym sercem

przesunęła ją jeszcze niżej. Czy powinna...? Nie, zdecydowanie nie. Ale Marcus leżał rozluźniony, jakby wciąż pogrążony we śnie. Zacisnęła dłoń na jego męskości, po czym zerknęła ukradkiem na twarz Marcusa. Przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

- Aha! Przyłapałem cię!

Oblała się rumieńcem. Ale w oczach Marcusa nie było pretensji czy oskarżenia, jedynie radość.

- Coś mi się zdaje, że to ja ciebie przyłapałam. Gdy zaczęła cofać dłoń, powstrzymał ją.

- Nie musisz. Bo gdybyś nie zauważyła, to ja jestem...

Roześmiała się.

- Trudno nie zauważyć. Ale... chyba jednak...

- Co? Za szybko? Skinęła głową.

- Tak, przepraszam. Pewnie kiedy się obudziłeś, pomyślałeś...

- Że umarłem i poszedłem do nieba?

- Nie. Że cię wykorzystuję.

- Bynajmniej. Coś ci zdradzę, Samantha. Kiedy facet się budzi obok pięknej kobiety, której ręka błądzi po jego brzuchu, to naprawdę o niczym nie myśli. A zwłaszcza o tym, że ona go wykorzystuje.

- Przepraszam - powtórzyła.

- Za co?

- Zachowałam się nie fair.

- Możesz mi to wynagrodzić.

- Jak? - Popatrzyła na niego pytająco.

- Pozwolić, abym ja dotknął ciebie. Będziemy kwita. Chyba oszalał, składając jej taką propozycję. A ona chyba oszalała, że go nie wyśmiała.

- Kwita...? Żartujesz, prawda?

- Nie. - Wytrzymał jej spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

- No dobrze. Głupi pomysł. Ale spytałaś „jak”, więc ci odpowiedziałem.

Pomysł rzeczywiście był głupi. I niebezpieczny.

- Ale tylko mnie dotkniesz? - upewniła się. Oczy mu rozbłysły.

- Wolałbym nie tylko, ale od biedy mogę się ograniczyć do dotknięcia.

Przez żaluzje wpadało do pokoju światło słońca.

- Dobrze - szepnęła Samantha.

- Zgadzasz się?

- No wiesz, oko za oko...

- No nie! - wykrzyknął, obdzielając ją tym cudownym, promiennym uśmiechem, który tak bardzo się jej podobał.

Wybuchnęła śmiechem. Miała na sobie majtki i jedną z jego zielonych wojskowych koszulek. Położywszy Smanathę na wznak, Marcus napotkał jej wzrok.

- Mogę ci zdjąć koszulkę? Przełknęła ślinę.

- To chyba nie najlepszy...

- Ty ze mnie zdjęłaś.

Tak się bawią dzieci, pomyślała. Ja pokażę, jeśli ty mi pokażesz. Wiedziała, że nie powinna mu ulegać, ale też nie miała siły się opierać.

- No dobrze... w imię sprawiedliwości.

Coś się zaczepiło i przez moment walczyła z rękawem. Kiedy wreszcie się oswobodziła, w oczach Marcusa ujrzała nieskrywany zachwyty.

- O rany...

- Dziękuję - powiedziała, traktując to jak komplement.

- Jesteś taka piękna. - Potrząsnął głową i przysunął swą opaloną dłoń do jej białej piersi. - Mogę?

Z podniecenia zakręciło się jej w głowie.

- Nie.

Znieruchomiał.

- Nie?

- To znaczy możesz. Nie... nie mam nic przeciwko temu.

Przez moment opuszkami palców pieścił jej gładką skórę, a potem nagle cofnął dłoń.

- No dobrze - oznajmił. - Jesteśmy kwita.

- Wcale nie - zaprotestowała. - Ja badałam i górę, i dół...

Marcus nie wierzył własnym uszom. Ona też sprawiała wrażenie zaskoczony tym, co powiedziała.

- Jeżeli jeszcze raz cię dotknę, nie ręczę za siebie - uprzedził. - Jesteś pewna, że tego chcesz?

Czy naprawdę zastanawia się nad seksem z mężczyzną, który nie jest jej mężem i którego zna niecały tydzień? Z zawodowym żołnierzem, który zamknął w jakiejś komórce jej szofera, a ją zmusił, by zadzwoniła do swego asystenta i opowiedziała mu stek bzdur? Marcus wyrwał ją z zadumy.

- Słuchaj, przepraszam. Nie powinienem...

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu nic o sobie nie wiemy.

- Co chcesz wiedzieć? Pytaj.

Samantha uśmiechnęła się. To jest kontynuacja zabawy w „pokaż”.

- No dobrze. Gdzie się urodziłeś?

Zmarszczył czoło, jakby zadała strasznie skomplikowane pytanie, albo spytała o rzecz nazbyt osobistą.

- Nie wolisz wiedzieć, czy jestem zdrowy? Czy niczym nie zarażam?

Zakryła się prześcieradłem.

- To na pewno ważne, ale... wołałabym usłyszeć o twoim dzieciństwie.

Wstał z łóżka.

- Niestety, nic ci nie mogę powiedzieć.

Urażona patrzyła, jak Marcus wyjmuje z torby dzinsy.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę i już. - Włożył spodnie. - Pójdę obejrzeć generator.

Przytknęła koszulkę do swoich gołych piersi.

- Uciekasz?

- W wojsku nazywamy to taktycznym odwrotem.

Chciała się sprzeciwić. Zażądać, aby został, odpowiedział na jej pytania, zaspokoił jej ciekawość i pożądanie. Ale była dyplomata. I tchórzem. Dlatego się nie sprzeciwiła.

Wrzucił kluczyki do kieszeni, po czym zapiął kaburę.

- Spróbuj się jeszcze trochę przespać.

Przynajmniej nie zaproponował, aby przygotowała im śniadanie. Z drugiej strony, pomyślała, leżąc w ciepłej pościeli, miałyby wtedy jakieś zajęcie. Pokręciła z rezygnacją głową i westchnęła ciężko, następnie odrzuciła kołdrę i wstała.

W oknie wisiała stara, postrzępiona roleta. Samantha podciągnęła ją, wzbijając chmurę kurzu.

Marcus akurat szedł przez podwórze - wysoki, doskonale umięśniony szatyn w dzinsach, koszuli i butach z cholewami. Serce zabiło jej mocno.

„Dorastałem na farmie” - powiedział wczoraj. Więc dlaczego dziś rano nic więcej nie chce o sobie powiedzieć?

Nie rozumiała go, tego przystojnego wojownika o smutnym spojrzeniu i olśniewającym uśmiechu. Chyba głównie to ją powstrzymało przed rzuceniem mu się w ramiona. „Niestety, nic ci nie mogę powiedzieć”. Dlaczego? Co przed nią ukrywa?

No dobrze, udowodni mu, że może jej zaufać. Zejdzie na dół, przygotuje śniadanie, usiądą przy stole i spokojnie porozmawiają. Na miłość boską, skoro udało jej się wynegocjować traktat pokojowy w

Europie Wschodniej, tym bardziej powinna móc się dogadać ze swoim ochroniarzem.

Postanowiła otworzyć okno. Zdołała unieść je na wysokość dwóch centymetrów, dalej coś je blokowało. Pochyliła się, by sprawdzić. Gwoździe. Domyśliła się, że to robota Marcusa.

Ogarnął ją lęk.

Najwyraźniej próbował zabezpieczyć dom. Ale po co? Żeby żaden intruz nie dostał się do środka? Czy żeby ona nie wydostała się na zewnątrz?

Zmarszczył z zatroskaniem czoło.

- Nie tknęłaś śniadania. Nie smakuje ci? Samantha odstawiła kubek na kwiecistą podkładkę.

Włosy miała ściągnięte w koński ogon, spojrzenie chłodne i posępne. Napis na jej koszulce głosił: „Seksowna laska”, lecz jej mina zdawała się mówić: wara ode mnie! - Może być.

- Bo do mleka i jajek w proszku trzeba się przyzwyczaić. Ale teraz, kiedy już mamy prąd i działa lodówka...

Uniosła brwi.

- To co? Pojedziemy po zakupy?

- Nie.

Wypiła łyk kawy. Nie odezwała się.

- Jeśli się nudzisz, możesz pograć na pianinie.

- Grałam. Jest kompletnie rozstrojone.

- Na moje ucho brzmi całkiem nieźle.

- Kilka klawiszy się zacina. Bez nich trudno cokolwiek zagrać. -
Uśmiechnęła się smętnie. - Zwłaszcza jeśli gracz wyszedł z wprawy.

- To długo nie potrwa, Samantha - powiedział, starając się ją
pocieszyć. - Wkrótce złapią tych, którzy próbują cię wyeliminować.

- Mnie stale ktoś będzie próbował wyeliminować - odrzekła. -
Póki istnieje Koalicja i dopóki DeBruzkija utrzymuje się przy władzy.

Słusznie. Marcus to samo powiedział Baxterowi.

- Przynajmniej pozwól Baxterowi wykryć zdrajcę. Pochyliła się
nad talerzem.

- Muszę koniecznie wrócić do Delmonico na dalsze rozmowy.
Zaplanowane są na przyszły tydzień.

- Przykro mi. - Popatrzył na nią ze współczuciem. - Nie masz
wyboru.

Opuściła wzrok. Siedziała, grzebiąc widelcem w jajecznicy.

- Może grzanek?

- Nie, dziękuję.

- Nie lubisz grzanek?

- Lubię.

- Czyli nie chodzi o jedzenie. Coś ci dolega czy po prostu nie
masz humoru?

Zirytowana odłożyła widelec.

- Nie przyszło ci do głowy, że zwyczajnie w świecie mogę nie
być głodna?

- Nie - przyznał. - Ja zawsze jestem głodny.

Po raz pierwszy od wstania z łóżka uśmiechnęła się.

- Bo jesteś w ciągłym ruchu.

- Dobrze. Po śniadaniu wybierzemy się na spacer.

- Dokąd? - spytała z błyskiem zainteresowania w oczach.

Posmarował grzanekę miodem i podał ją Samancie.

- Do studni.

- Sądzisz, że nie pokonam tych kilkunastu metrów, jeśli nie uzupełnię zapasów energii?

- Studnia znajduje się dalej, niż myślisz. Nie kilkanaście metrów stąd, a co najmniej kilkaset.

Samantha zlizwała z palców miód. Milczała.

- A potem zabiorę cię nad staw.

- Nad staw? Cóż to będzie za ekscytująca wyprawa! Uśmiechnął się.

- Nigdy nic nie wiadomo. Może wpadniesz do wody i będę miał okazję poćwiczyć swoje umiejętności ratownicze.

Sztuczne oddychanie metodą usta-usta? Samantha zmrużyła oczy.

- Twoje niedoczekanie, żołnierzu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Uwaga na stopień - ostrzegł Marcus.

Szopa, w której znajdowała się studnia, była mrocznym, ponurym pomieszczeniem. Przez szpary między blaszanym dachem a drewnianymi ścianami wpadała do środka odrobina światła, która pozwalała dojrzeć zwisające z sufitu ogromne pajęczyny. W rogu coś zaszeleściło.

Samantha wzdrygnęła się. Nie znosiła węży, pajaków, ciemności. Biorąc głęboki oddech, postąpiła jednak krok do przodu. Deska pod jej nogami zatrzeszczała.

- Zostań przy drzwiach - rozkazał Marcus.

- Dlaczego? - Przystanąła.

- Studnie bywają zdradliwe. Ta ma około metra średnicy i żadnej obudowy służącej jako zabezpieczenie. Łatwo się pośliznąć i wpaść.

- A ty? Nie wpadniesz?

- Nie. Ja mam tu trochę miejsca. Poza tym widzę w ciemnościach.

Oczy Samanthy też powoli przyzwyczajały się do mroku. Tuż za deską, na której stała, zobaczyła okrągłą betonową pokrywę zasłaniającą otwór studni. W rogu leżało plastikowe wiadro, kiedyś jaskrawo pomarańczowe, teraz szare od kurzu i brudu. W drugim rogu leżał stos liści.

Marcus schylił się, otoczył ramionami betonową pokrywę, po czym uniósł ją z taką łatwością, jakby była z puchu. Kiedy położył ją

obok metalowego zbiornika, oczom Samantha ukazała się głęboka dziura w ziemi.

Po chwili z leżącego u swych stóp plecaka wydobył butelkę i zwój sznura.

- Co robisz?

- Raz do roku studnię należy odkazić.

Nie podobało jej się, że Marcus tak beztrusko pochyła się nad dziurą. Z jednej strony sterczała jakaś rura, której mógł się przytrzymać, ale...

- Dezynfekujesz wodę?

- Tak, a przy okazji chcę wziąć próbkę. Upewnić się, czy jest zdatna do picia.

Samantha odwróciła wzrok. Bała się patrzeć.

- A jeśli nie? Przecież piliśmy kawę.

- Przyrządzoną z wody butelkowanej. - Wyprostował się, a Samantha odetchnęła z ulgą. - Przywiozłem kilka baniaków, ale woda ze studni przydałaby się, gdybyśmy... - Urwał i zatkał butelkę z pobraną próbką.

- Musieli zostać dłużej? - dokończyła.

- Tak.

- Słuchaj, nie wątpię w twoje kompetencje, ale czy nie sądzisz, że gdyby coś mi groziło, ktoś by wymyślił jakiś lepszy plan? Przydzielił mi ochronę albo...

- Właśnie ci ją przydzielono - odrzekł Marcus, wskazując kciukiem na siebie.

- No dobrze, a potem wysłano nas na jakąś starą, opustoszałą farmę, gdzie nie ma wody, elektryczności, jedzenia, telefonu, po prostu niczego?

- Prąd i wodę już mamy. A o jedzenie się nie martw. Z głodu nie umrzesz.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Śniadania i obiady to akurat najmniejsze moje zmartwienie.

Powiedz, czy to miejsce nie wydaje ci się dziwne jak na kryjówkę?

Marcus ponownie schylił się nad betonową pokrywą.

- Nie, bo sam je wybrałem.

- Jak to?

- Uznałem, że skoro po Departamencie Stanu krąży zdrajca, to kryjówki, które podlegają Baxterowi, nie są do końca bezpieczne. - Zakrył pokrywą dziurę w ziemi. - Więc przywiozłem cię tutaj.

- To był twój pomysł?

- Tak - odparł, przerzucając plecak przez ramię.

- I nikt nie wie, gdzie jesteśmy?

- Mówienie komukolwiek miałoby się z celem. Zaciśnięła zęby.

Nie wpadnie w histerię. Nie rozplacze się, nie zacznie krzyczeć, tupać, nie straci nad sobą panowania.

- Czyli nie tylko agent Walker nie wie, gdzie mnie szukać, ale w ogóle nikt?

Marcus skinął głową i ruszył w jej kierunku.

- Na to liczę.

- Czyś ty oszalał?

- Mam nadzieję, że nie.

Dojrzała dziwny błysk w jego oczach. Nie, przecież to nie może być prawda. Marcus żartuje.

- Proszę cię, wróćmy do Waszyngtonu...

- Myślisz, że bez ciebie świat się zawali?

- Świat nie, ale porozumienie z Delmonico...

- Przecież zostało podpisane, prawda? Przez rząd Delmonico i naszego prezydenta?

- Tak, ale...

Marcus zamknął drzwi szopy.

- A więc porozumieniu nic nie grozi. Opuściwszy mroczne pomieszczenie, ruszyli przed siebie słoneczną ścieżką. Samantha poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Bała się tkwić na odludziu z Marcusem; nie tyle jego się bała, co siebie, własnych emocji.

- No, nie denerwuj się - powiedział łagodnie.

Otoczył ją ramieniem. Z początku chciała mu się wyrwać, ale potem pomyślała: po co? Jest znacznie od niej silniejszy; jej protesty na nic się nie zdadzą. Zresztą nie miała ochoty dłużej walczyć. Oparła głowę o jego klatkę piersiową, przyknęła oczy. Chciała wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Ale doświadczona przez los wiedziała, że marzenia rzadko się spełniają. Nie tak dawno temu marzyła o tym, by zestarzyć się u boku Stana...

Zacisnęła ręce na koszuli Marcusa. Pocałował ją lekko w czoło.

- Biedna myszka...

- Nie jestem żadną biedną myszką - zaprotestowała. - Po prostu... nie znoszę bezczynności.

Praca pomagała przetrwać najgorsze chwile. Przekonała się o tym w ciągu ostatniego roku. Zajęty umysł stanowił znacznie lepsze lekarstwo od tabletek, które lekarz jej przepisał.

- W takim razie może byś mi pomogła złowić kolację?

Uniosła głowę.

- Słucham?

- Dawniej w tutejszym stawie było mnóstwo ryb, głównie sumów. Pewnie nadal w nim żyją. Moglibyśmy zjeść na kolację smażoną rybę.

- Proponujesz mi wędkowanie?

- Masz coś przeciwko temu?

- Nigdy nie trzymałam wędki w ręku. Nie poradzę sobie.

- Skarbie, nie będziemy uprawiać spinningu. Po prostu wrzucimy żyłkę z robakiem do wody i poczekamy, aż się któraś rybka skusi.

Niewątpliwie Samantha była jedną z najbardziej inteligentnych kobiet, jakie znał. Teoretycznie jej mądrość i wiedza mogłyby go przytłaczać lub deprymować. Na szczęście tak się nie działo. Imponowała mu intelektualnie, pociągała fizycznie. Podobało mu się, jak marszczy czoło, podobał mu się sposób, w jaki zaciska wargi, kiedy nad czymś дума.

Tak jak to robi teraz.

- Co? - spytała podejrzliwie, czując na sobie jego wzrok.

- Nic. Po prostu wyglądasz rozkosznie.

- Bzdury opowiadasz - mruknęła.

Wzruszył ramionami. Nie zamierzał się z nią kłócić. Ale Samantha najwyraźniej miała ochotę na niewielką sprzeczkę.

- Nigdy nie wyglądałam rozkosznie.

- Bez przesady. A jako mała dziewczynka? Na pewno byłaś rozkosznym rudzielcem z cudownymi dołeczkami w policzkach. Założę się, że wszyscy chłopcy za tobą szaleli.

Zarumieniła się. Nie potrafił odgadnąć, czy sprawił jej przyjemność, czy ją zdenerwował.

- Mylisz się - rzekła. - Mali chłopcy wcale za mną nie przepadali. Lepiej od nich rzucałam piłką do kosza i za dużo mówiłam na lekcjach.

- Ja lubię, jak mówisz.

- Teraz to co innego. Ale w szkole miałbyś mnie za tajona. Za zarozumiałą mądralę.

- A ty mnie za tępego sportowca.

- Nie jesteś tępy.

- A ty nie jesteś zarozumiała. - Wziął ją za rękę. - Żaden kujon nie ma tak gładkiej skóry. Ani tak lśniących włosów. Ani tak boskiego ciała.

Usiłowała oswobodzić rękę. Nie puszczał.

- Nie musisz mi prawić komplementów.

- Wiem. - Podniósł jej dłoń do ust i złożył na niej pocałunek. -

Może zwyczajnie w świecie chciałbym ci coś ofiarować?

- Na przykład? - Koniuszkiem języka oblizwała wargę. Wiedziała, co usłyszy: pomoc, ochronę, wsparcie. Marzyła jednak o czymś całkiem innym.

- Na przykład... masaż? - zaproponował.

- Jeszcze się tak dobrze nie znamy - odparła ze śmiechem, zabierając rękę.

Jeszcze? Czyżby to znaczyło, że kiedyś...

- No dobra. Więc pozostajmy przy wędkowaniu.

- Uprzedzałam cię, że kiepski ze mnie rybak. Zerknął na nią spod daszka czapki bejsbolowej. Znikła chłodna, opanowana pani ambasador. Stojąca obok młoda kobieta o radosnych włosach, które w promieniach słońca wydawały się płonąć, ubrana w obcisłe, umazane błotem dzinsy, była, jak głosił napis na jej koszulce, seksowną laską.

- Przecież jesteśmy tu niecałą godzinę.

- Ale do tej pory powinnam była już coś złowić. Uśmiechnął się.

- Jak na osobę, która w butach na wysokich obcasach potrafi przez pięć godzin stać na ambasadzkich przyjęciach, jesteś wyjątkowo niecierpliwa.

Pociągnęła za żyłkę.

- Myślałam, że cała zabawa polega na tym, żeby jak najszybciej złowić rybę.

- Owszem, ryba jest ważna. - Marcus opuścił daszek niżej na czoło, po czym wyciągnął się wygodnie. - Ale równie ważny jest relaks.

- Jestem zrelaksowana.

- Wiesz, przypominasz mi moją siostrę...

- Pewnie bym ją polubiła. Przyznaj się, czy nią też rządysz, czy tylko ja wyzwalam w tobie takie instynkty?

Powiódł spojrzeniem po jej twarzy.

- Tylko ty - odparł lekkim tonem. - Za dużo mówisz.

- Przedtem twierdziłeś, że to ci nie przeszkadza! -oburzyła się.

- Mnie absolutnie nie. - Podparł się na łokciu. - Ale ryby odstrasza.

- Zmyślasz.

- Nie. One wyczuwają niskie częstotliwości. Kiedy się złościś albo irytujesz, nie podpływają.

- Robisz mnie w konia.

- Mogę ci to udowodnić — powiedział rozbawiony.

- Akurat!

- Naprawdę. Odpręż się i zobaczysz, że zaraz coś złowisz.

Przewróciła oczami.

- Pomogę ci - zaproponował.

Nie sprzeciwiła się, kiedy zabrał jej wędkę i wetknął ją pomiędzy głaz i wyrzuconą na brzeg kłodę. Ale sprzeciwiła się, kiedy ujął ją delikatnie za ramiona.

- Nie, nie chcę...

- Ciii. - Kciukami zaczął rozmasowywać jej kark.

- W porządku, wierzę ci. Już mi niczego nie udowadniaj. Będę milczeć jak trusia.

Nie przerywając masażu, zgarnął jej z ramion włosy.

- Marcus, naprawdę możesz... - Nagle jęknęła cicho.

- Co? Przestać?

- Och, nie. - Opuściła głowę. - Jeżeli teraz przestaniesz, zabiję cię.

Roześmiewszy się, kontynuował masaż. Samantha prężyła się jak kot, mruzczała cicho. Korciło go, żeby przesunąć rękę gdzie indziej, żeby przywrzeć ustami do jej karku, potem pchnąć ją na trawę i...

Psiakrew! Czuł się jak młody marynarz, który po długim rejsie schodzi na ląd i od razu kieruje się do filipińskiego burdelu. Weź się w garść, stary. Przestań się napalać!

Starał się oddychać spokojnie. Siebie nie oszukał, ale chyba udało mu się uśpić czujność Samantha, bo nie odepchnęła go, nie kazała mu zabrać rąk.

Wreszcie masaż dobiegł końca.

- Już. Teraz jesteś odprężona.

Żyłka drgnęła. Marcus rzucił się do wędki, zanim ryba ją porwała.

- Ale refleks! - pochwaliła go Samantha. Pociągnął lekko. Wędka stawiała opór. Ryba musiała ważyć co najmniej ze dwa kilogramy.

- A nie mówiłem, że wyczuwają nastrój? Samantha wstała i otrzepała spodnie.

- Akurat ta się pomyliła.

- Dlaczego? - spytał, wyciągając zdobycz z wody.

- Bo wciąż drzę z niecierpliwości.

- W porządku. Oporządzę rybę, a potem porozumiem się z Baxterem. Może już...

Pokręciwszy z uśmiechem głową, zatrzepotała rzęsami. Seksowna laska. Tak, to określenie idealnie do niej pasuje.

- Nie o to mi chodziło - szepnęła ochryłym głosem, po czym wspięła się na palce i pocałowała Marcusa w policzek. — Do zobaczenia w domu.

Odeszła, kołysząc uwodzicielsko biodrami, a on stał nad brzegiem, walcząc z rybą i własnym pożądaniem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sądziła - ba, miała nadzieję! - że po tym, co się wydarzyło nad stawem, Marcus przybiegnie za nią do domu, podekscytowany, spragniony czegoś więcej niż smażonej ryby.

Tak się jednak nie stało.

Owszem, za jakiś czas zjawił się w kuchni. I owszem, był spragniony. Pierwsza rzecz, jaką zrobił, to otworzył lodówkę i wyjął butelkę wody mineralnej.

Był też podekscytowany. Gorliwie zabrał się do czyszczenia ryby. Potem zabił deskami rozbite okno, sprawdził instalację wodno-kanalizacyjną, elektryczność, następnie zaproponował Samancie spacer starym leśnym szlakiem. Wynajdował dla niej różne zajęcia niczym sumienna babysitterka dla swojej znudzonej pociechy.

Godzinna wędrówka po łąkach i lasach dobrze jej zrobiła. Samantha poczuła się świeża, wypoczęta, pełna energii i ochoty do życia. Po kolacji Marcus na godzinę zostawił ją samą, wyjaśniając, że musi zająć się własnymi sprawami.

Samantha postanowiła rozruszać palce. Zasiadła do pianina i zagrała kilka swoich ulubionych utworów - „Dla Elizy” Beethovena, „Światło księżycy” Debussy'ego, parę piosenek z repertuaru Janis Joplin. Wyszła jednak z wprawy, poza tym złościły ją zacinające się klawisze. Po godzinie poddała się i podreptała do kuchni.

Przez moment stała w drzwiach, patrząc, jak palce Marcusa śmigają po klawiaturze komputera. Nie podobało jej się, że ją porwał,

ale wierzyła, że działał w dobrej wierze. Że zależy mu na tym, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Całą swoją postawą udowodnił jej, że jest człowiekiem silnym, szlachetnym, honorowym. Ale może odrobinę za bardzo honorowym? Może za bardzo powściągliwym?

Obejrzał się przez ramię. Z ekranu padał dziwny zielonkawy blask, który oświetlał połowę jego twarzy; druga połowa pozostawała w cieniu.

- Ładnie grasz.

- Widocznie słoń ci nadepnął na ucho - powiedziała z uśmiechem.

- Chcesz czegoś? - spytał po chwili. Tak. Ciebie.

- Nie, ja tylko... Porozumiałeś się z Baxterem?

- Tak. Nic się nie zmieniło. Na razie nie możemy wracać.

Wcale nie chciała wracać. Zgoda, tęskniła za pracą, która codziennie niosła z sobą nowe wyzwanie i nadawała sens jej życiu. Ale nie tęskniła za stresem i emocjonalną pustką. Odkąd poznała Marcusa, zapragnęła czegoś innego; wiedziała, że poprzednie życie nie będzie jej już satysfakcjonowało.

- Hm, coś trzeba wymyślić - szepnęła. Popatrzył na nią z przerażeniem.

- Niczego nie wymyślaj. Ma być tak, jak jest.

- Boi się pan, poruczniku?

Wcisnął kilka klawiszy, po czym zamknął komputer.

- Może. Czy pani ambasador ze mną flirtuje? Westchnęła ciężko.

- Owszem, ale chyba kiepsko mi idzie, skoro musisz o to pytać.

Odchylił się na krzesło.

- Idzie ci całkiem nieźle. Ledwo nad sobą panuję. Zadrzała.

- Przepraszam, nie chciałam... no wiesz... cię prowokować.

- Bez przesady. - Wyprostował krzesło. - Wbrew temu, co mówią dziewczynom napaleni chłopcy, niemożność zaspokojenia pożądania jeszcze nikogo nie zabiła.

Przypomniawszy sobie, jak Matt Tynan usiłował ją namówić na pieszczoty w porsche swojej macochy, roześmiała się cicho.

- No dobra. Powiedz mi, jak on się nazywał. Jeśli go kiedykolwiek spotkam, rozkwaszę mu nos.

Nienawidziła przemocy, ale reakcja Marcusa ją ubawiła.

- Nie musisz. Po pierwsze, nie dałam się skusić, a po drugie, wciąż jesteśmy przyjaciółmi.

- Ale nazwisko możesz mi zdradzić.

Zawahała się. Potem jednak uznała, że po dwudziestu latach nie ma to większego znaczenia, tym bardziej że do niczego między nią a Mattem nie doszło.

- Matt Tynan.

- Ten facet z Białego Domu?

- Tak, doradca prezydenta do spraw polityki zagranicznej.

- Myślisz, że wszędzie chodzi z obstawą?

- Nie ma obstawy. - Kąciki ust jej zadrzały. - A niedawno zaręczył się z bardzo miłą dziewczyną, więc niczego mu nie rozkwaszaj.

Marcus udał, że się zastanawia.

- No dobrze. Niech się facet cieszy.
 - Co za wspaniałomyślność! - stwierdziła z lekką ironią w głosie.
 - Zauważ, proszę, że ja nie wygrażam twoim szkolnym sympatiom.
 - Zauważyłem. I trochę mi przykro z tego powodu. A sympatię miałem jedną. Niejaką Kimberly Williams.
 - Tylko jedną? - zdumiała się Samantha. - Pewnie poważnie traktowałeś tę znajomość.
 - Bardzo poważnie - potwierdził.
 - A ona?
 - Kim nie mogła mi darować, że zamiast przyjąć stypendium sportowe wolałem wstąpić do Navy SEALs. Ona sama podjęła studia na uniwersytecie stanowym w Maryland. Miała wysoki iloraz inteligencji.
 - Ale nie była zbyt mądra. Uniósł pytająco brwi.
 - Skoro pozwoliła ci odejść... Rozpromienił się.
 - Starasz się, kotku, podbudować moje ego?
 - Twoje ego jest w świetnej formie - odparła i zdobywając się na odwagę, dodała: - Twoje ciało też.
- Zacisnął ręce na krawędzi stołu.
- Samantho, czego chcesz? Spełnię każdą twoją prośbę. Poczula przyjemne mrowienie w całym ciele.
 - Chciałabym... Boże, nie wiem. Chyba chciałabym mieć naście lat i chodzić do szkoły. Trzymać się z chłopakiem za rękę, całować, tak by to do niczego więcej nie prowadziło.
 - Mówisz jak grzeczna, cnotliwa panienska.

- Taka byłam - przyznała speszona.

Odsunął się z krzesłem od stołu i poklepał po kolanie.

- Chodź do mnie. Troszeczkę pogrzezemy. Spodnie miał opięte.

Widziała, że jest podniecony.

Gdyby była mądra, odwróciłaby się na pięcie i poszła na górę.

Gdyby była mądra...

Nagle przypomniała sobie własne słowa. Że Kimberly nie była zbyt mądra, skoro pozwoliła Marcusowi odejść. Szybciutko, żeby się nie rozmyślić, usiadła mu na kolanach. Marcus zaś, objąwszy Samanthę w pasie, delikatnie pocałował ją w skroń, potem w ucho, kark i dalej.

Z początku opierała się nieśmiało, bądź co bądź była grzeczną dziewczynką, ale usta i ręce Marcusa miały wyjątkowy dar przekonywania. Wkrótce przestała się opierać i cieszyła z każdego pocałunku, z każdej pieszczoty. Całkiem niespodziewanie jej ciałem wstrząsnęła seria dreszczy.

- Ach! - szepnęła szczęśliwa. Nagle jednak ogarnęły ją wyrzuty sumienia. - A ty?

- Mną się nie przejmuj.

- Ale...

- Żadnych ale. Jesteś przecież grzeczną dziewczynką. Popatrzyła na niego zmieszana.

- Chyba już nie jestem.

- Jesteś. Najgrzeczniejszą i najpiękniejszą. Przygryzła wargi.

- Marcus, zrobisz coś dla mnie?

- Co takiego?

- Czy dzisiejszej nocy też mógłbyś ze mną spać? Objął ją mocniej.

- Spać?

Wiedziała, o co pyta, ale nie umiała odpowiedzieć.

- Ja... Nieważne. To nie fair z mojej strony.

- Nie myśl w kategoriach fair, nie fair. Powiedz, czego chcesz, Samantha?

- Boże, dlaczego po prostu nie mogę pójść z tobą do łóżka?

- Może dlatego, że potrzebujesz więcej czasu? Że nie jesteś gotowa?

- Przecież cię pragnę...

- I wzajemnie. Co zapewne nie uszło twojej uwagi. Nie, nie uszło...

- Wiesz, minął dopiero rok od śmierci Stana... Przez chwilę milczał. Nie przytulił jej mocniej, ale i nie wypuścił z objęć.

- Bardzo go kochałaś? - spytał wreszcie.

- Tak. Czasem się sprzeczałyśmy. - Cały rok poprzedzający jego śmierć spierali się w kwestii adopcji. - Ale nie wyobrażałam sobie życia bez niego. Łączyła nas niesamowicie silna więź. Może dlatego, że nie mieliśmy dzieci? A może dlatego, że całe moje życie obracało się wokół Stana i jego kariery? On powtarzał, że jestem jedyną rodziną, jakiej potrzebuje. - Zawahała się, po czym wzięła głęboki oddech i dodała: - Któregoś dnia miał wygłosić przemówienie w Izbie Handlowej. Jadący z naprzeciwka człowiek stracił panowanie nad

kierownicą. - Oczy zaszyły jej łzami, głos się załamał. -I to koniec, nie mam już Stana.

- Ale masz mnie - rzekł łagodnie Marcus. – Mogę być przy tobie całą noc, grzecznie utulić cię do snu i jeszcze zaśpiewać ci kołysankę.

Wiedziała, że nie powinna go tak wykorzystywać.

- Dziękuję - szepnęła.

Tej nocy oboje długo nie mogli zasnąć. Samantha leżała w łóżku, świadoma każdego skrzypnięcia, oddechu, każdego najmniejszego ruchu. Powietrze w pokoju było nagrzane, a od ciała Marcusa dodatkowo bił żar. Dziwnie się czuła, wiedząc, że wystarczy przewrócić się na bok...

Zasypiała i budziła się. W pewnym momencie wydawało jej się, że jest sama; że Marcus wstał i zszedł na dół. Ale już po chwili objął ją w pasie i przytulił do siebie.

Szkoda, że tak piękna kobieta musi umrzeć.

Mężczyzna bezszelestnie wędrujący w ciemnościach nie miał jednak wyboru; zadanie należy wykonać. Ona jest wrogiem. Ale coś mu mówiło, że muszą istnieć większe zagrożenia. Nie bardzo mu się również podobało to, jak ma ją zabić.

Gdyby ją spotkał w lesie, mógłby poderżnąć jej gardło albo wpakować kulę między oczy. Miał przypięty do nogi nóż myśliwski i zawieszoną na ramieniu kaburę z glockiem. Śmierć nastąpiłaby w ciągu paru sekund.

Umie zabijać. Jest w tym dobry. Nie potrafił jednak zabić jej, gdy smacznie spała w łóżku.

Szedł w mroku, zbliżając się do swego celu. Może nie musi zabijać jej w łóżku. Znajdują się na starej farmie pełnej pułapek. Ta kobieta mogłaby przecież mieć nieszczęśliwy wypadek.

Tak, wystarczy to sprytnie zaaranżować.

Kiedy się obudziła, leżała w łóżku sama. Nic nowego, pomyślała, starając się ukryć rozczarowanie. Od trzynastu miesięcy budzi się sama w łóżku. Tylko wczoraj, kiedy otworzyła oczy, leżała przytulona do Marcusa.

Brakowało jej dziś Marcusa, jego uścisków. Na sam widok jego fantastycznie zbudowanego ciała kręciło się jej w głowie. Pewnie tak czuła się Lois Lane, gdy w ramionach Supermana leciała nad Nowym Jorkiem.

Samantha zamyśliła się. Pragnie Marcusa, ale jej uczucia sięgają głębiej. Podziwia jego kompetencję i obowiązkowość. Lubi jego towarzystwo oraz ironiczne poczucie humoru, odpowiada jej jego szczerość, lojalność, wyrozumiałość.

Popatrzyła na wgniecenie na poduszce. Jeśli jest taki szczery i lojalny, to gdzie się podziewa? Przeszył ją dreszcz. Jeżeli jej coś grozi, to jemu też. Przypomniała sobie jego słowa: „potrafię się obronić, ty nie”.

W domu panowała cisza jak makiem zasiał.

Może Marcus jest w kuchni i przygotowuje śniadanie? Może jest w stodole? Może pojechał kupić mleko i jajka?

W powietrzu nie unosił się zapach parzonej kawy. Na farmie nie ma zwierząt, które trzeba by nakarmić lub wydoić. Wstawszy z łóżka,

Samantha wciągnęła spodnie i podeszła do okna. Samochód stał przed domem.

No cóż, Marcus może być gdziekolwiek. Może... leżeć pod drzewem, trafiony przez snajpera z Rebelii. Nie, to bzdura. Przecież nikt nie zna ich adresu.

Pożyczyła sobie jedną z koszulek Marcusa. Jeżeli mają zostać tu dłużej, poprosi go, aby podłączył pralkę i suszarkę. Drzwi do łazienki po drugiej stronie korytarzyka były otwarte. Zajrzała do środka. Pusto.

Z bijącym sercem zeszła na dół.

Marcusa nie było w obskurnym salonie ani w kuchni. Na stole nie leżała kartka z informacją, dokąd poszedł i o której wróci. Samantha uśmiechnęła się pod nosem. Może nie zostawił listu, za to posprzątał.

Wszystko ładnie, brakuje tylko kwiatów na stole i dziecięcych rysunków przypiętych do lodówki. Poczowała klucie w sercu. Problemu dzieci nie rozwiąże. Ale kwiatów mogłaby nazrywać.

Tak, pójdzie na spacer. Nic jej tu nie grozi. Gdyby groziło, Marcus nie zostawiłby jej samej. Na wszelki wypadek postanowiła jednak napisać na kartce parę słów. „Nie denerwuj się, poszłam na spacer. Niedługo wrócę”. Krótko i rzeczowo. Ale co z podpisem? Uniwersalne „Z poważaniem” przecież nie pasuje. Dumiała, dumiała, w końcu nie mogąc wymyślić nic sensownego, po prostu podpisała się swoim imieniem.

Trawnik koło domu porastały mleczce, koniczyna, chabry. Nieco dalej rosły liliowce, a jeszcze dalej stokrotki i trybula. Zaraz, zaraz, a fuksja? Chyba widziała ją przy szopie ze studnią.

Może tam jest Marcus? Może znów sprawdza wodę?

Ruszyła wąską ścieżką, licząc na to, że znajdzie Marcusa, a przy okazji zerwie kilka gałązek fuksji. Mimo że dorastała w mieście, bez trudu rozpoznała kardynała, który przysiadł na gałęzi, potem zobaczyła dwie wiewiórki ganiające po drzewie. Uśmiechnięta doszła do szopy.

Drzwi były lekko uchylone. Zbliżyła się do nich.

- Marcus?

Brak odpowiedzi. Może jej nie słyszy? Niewykluczone, bo pompa pracuje dość głośno.

Położyła rękę na drzwiach i je pchnęła. Nawet nie drgnęły. Coś blokowało je od dołu. Przytrzymując kwiaty brodą, żeby mieć dwie wolne ręce, pchnęła jeszcze raz - z całej siły. Drzwi otworzyły się z hukiem.

Wpadłszy z impetem do szopy, Samantha wyrzuciła przed siebie ręce, by osłonić twarz, zanim wyląduje na betonowej płycie zakrywającej wylot studni.

Pokrywy nie było.

Kurczowo uczepiła się krawędzi studni, ale wiedziała, że to próżny wysiłek. Palce się ześlizgiwały. Powoli osuwała się w dół.

- Marcus!

Kamyki i ziemia sypały się jej na twarz. Przestała walczyć.
Czuła się tak, jakby z ogromną prędkością pędziła przez czarny tunel.
Wreszcie runęła do lodowatej wody.

Krzyknęła. Przyszył ją straszliwy ból. Moje nogi, pomyślała.

Na górze, w otwartych drzwiach szopy, przez które wpadało
światło słoneczne, leżały rozsypane kwiaty.

Scandalous

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Drzwi kuchenne były otwarte. Marcus wpatrywał się w tkwiący w zamku klucz. Nic z tego nie rozumiał. Głowę by dał, że wychodząc rano z domu, zamknął drzwi. Najwyraźniej jednak tego nie zrobił. Cholera, za dużo w ostatnim czasie popełnia błędów. Chyba że po jego wyjściu Samantha otworzyła drzwi.

Lub zabójca. . Włosy zjeżyły mu się na głowie.

Tylko nie panikuj, rozkazał sam sobie. Wydobywszy z kabury glocka, wsunął się bezszelestnie do domu. Kuchnia jest pusta. A zatem Samantha jest na górze, pewnie wciąż smacznie śpi. Pokonując po dwa stopnie naraz, wbiegł na piętro, po czym zatrzymał się przed drzwiami sypialni.

Spokojnie. Bo ją wystraszysz.

Serce waliło mu młotem. Przystąpił próg i zajrzał do środka. Miał nadzieję, że zobaczy Samanthę na łóżku, jej rade włosy rozrzucone na jasnej poduszce. Ale łóżko było puste. Łazienka też. Poczul dziwny ucisk w piersi. Miał ochotę w coś walnąć, zacząć przeklinać. Sprawdził, czy nikt nie próbował wyważyć okna, czy w pokoju nie ma śladów walki.

Nic nie dostrzegł, toteż wrócił na dół.

W prowizorycznej kieszeni utworzonej ze związanych pól koszuli miał cztery dojrzałe brzoskwinie. Dziś rano udał się do sadu za stodołą, licząc na to, że znajdzie coś, co pobudzi apetyt Samanthy.

Bardziej wyrafinowany facet zerwałby dla niej kwiaty.

Inteligentniejszy - nie zostawiłby jej samej.

Z brzoskwiniami na brzuchu nie mógł uganiać się za potencjalnym zabójcą. Skierował się więc do kuchni. Położywszy na stole cztery czerwonożółte kule o delikatnej aksamitnej skórcie, nagle spostrzegł opartą o cukiernicę kartkę. „Nie denerwuj się, poszłam na spacer. Niedługo wrócę. Samantha”.

Odetchnął z ulgą. Nie denerwuj się? Boże, w trakcie ostatnich pięciu minut postarzał się najpewniej o dziesięć lat!

„Poszłam na spacer”? Dokąd? Którędy? Nad staw? Psiakrew!

„Niedługo wrócę”? Czyli kiedy? Za dziesięć minut? Za godzinę?

Dygotała z szoku i zimna. Ma szczęście. Nie skrzyła karku, nie utopiła się. Może się jednak zdarzyć, że zamarznie na śmierć, woda bowiem jest lodowata. Zęby jej dzwoniły, przenikał ją nieludzki ziąb. Oplotła się ciasno ramionami, by jak najwolniej tracić ciepło. Myśl pozytywnie, nakazała sobie.

Przynajmniej nie będzie musiała kłaść kompresów z lodem na urazy. Poza tym woda sięgała jej po pachy, czyli jest na tyle głęboka, że złagodziła upadek, a na tyle płytka, że daje się w niej normalnie stać. Kolejne plusy. Teraz należy tylko wymyślić, jak się wydostać.

- Hej tam! Halo! Słyszysz mnie ktoś?

Głos Samanthy odbijał się o ściany studni. Choć brzmiał donośnie, miała świadomość, że nikt jej nie usłyszy.

W górze widziała jasny krąg światła, skrawek betonowej pokrywy oraz przysadzistą metalową pompę, od której odchodzi rura.

Rura przypuszczalnie sięga dna studni. Hm. W Samanthę wstąpiła nadzieja. Może zdoła wdrapać się po niej na górę?

Wyprostowała ramiona. Ręce się jej trzęsły, zęby dzwoniły, palce miała zdętwiałe z zimna. Zaczęła obmacywać śliskie mokre ściany. Znalazłszy metalową rurę, zacisnęła na niej dłonie i zaczęła ją badać. Hm, niezbyt gruba, o średnicy najwyżej trzech centymetrów. Samantha zawahała się. Czy ma dość siły na wspinaczkę? I czy rura utrzyma jej ciężar?

Nie, chyba nie.

Ponownie zadarła głowę. Otwór znajduje się wysoko w górze. Dzieli go od niej... ile? Siedem metrów? Dziesięć?

- Halo! Ratunku! - zawołała drżącym głosem. - Na pomoc!

Odpowiedziała jej cisza.

Gdzie, do diabła, podziewa się Marcus?

Gdzież ona polazła?

Odczekał pięć minut, pięć długich frustrujących minut. Mógł rozpocząć akcję poszukiwawczą i zacząć przeczesywać teren liczący około dwudziestu hektarów, ale po co, skoro Samantha ma niedługo wrócić? Jednak nie wracała. Kolejne pięć minut spędził, przemierzając kuchnię niczym znerwicowany doberman. Wreszcie miał dość czekania.

Chwycił kartkę i pod wiadomością od Samanthy napisał-własną: „Poszedłem cię szukać. Jak wrócisz, nie ruszaj się stąd. Całuję, M.”
Boże, co jej strzeliło do łba, żeby spacerować samej, bez ochrony?

Dreptała w miejscu. Nogi miała skostniałe z zimna, stóp w ogóle nie czuła. Ale wiedziała, że musi utrzymać krążenie, bo inaczej temperatura ciała gwałtownie spadnie, a wtedy...

Spróbowała kucać i się prostować. Szybko przestała. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Zaczęła chodzić w kółko i wymachiwać rękami jak kura usiłująca wzbić się w powietrze. Cały czas wołała pomocy. Wołała Marcusa.

Pomoc nie nadchodziła. Marcus nie słyszał wołania.

Łzy piekły ją w oczy, spływały po policzkach. Bądź dorosła, nakazała sobie. Odchrząknęła i znów zaczęła wołać.

Chryste, ale zimno! Jak w lodowni. Z zimna wszystko ją bolało. Odruchowo wstrzymywała oddech, wciągała brzuch, jakby chciała się skurczyć i mniejszą powierzchnią ciała stykać się z wodą. Od czasu do czasu patrzyła do góry. Miała szczęście, że spadając z tak wysoka, nie rozbiła sobie głowy.

Pocierała dłońmi ramiona, co niewiele dawało, próbowała przebierać palcami u nóg. Nie, gdyby miała szczęście, to by się nie pośliznęła i nie wpadła do studni. Betonowa pokrywa leżałaby na miejscu, zakrywając otwór, a ona, Samantha, siedziałaby w kuchni, jedząc z Marcusem śniadanie.

Nagle coś ją tknęło. Dlaczego pokrywa była zdjęta?

Wczoraj widziała na własne oczy, jak Marcus zakrywa otwór; podziwiała jego potężne mięśnie. Nie wyobrażała sobie, aby jakikolwiek inny mężczyzna z taką łatwością mógł podnieść tak ogromny ciężar. Po plecach przeszły ją ciarki. Kto poza Marcusem

zdołałby unieść pokrywę? Kto poza nim wiedział, gdzie jest studnia?
Kto...

- Samantha! Sam! Gdzie jesteś?

To on, Marcus. Wszelkie podejrzenia znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mimo że studnia zniekształcała dźwięki, głos brzmiał tak, jakby Marcus był autentycznie wystraszony, przejęty... i zły.

- Tu! Tutaj! - zawołała.

Słyszając stłumione przekleństwa, miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Po chwili w jasnym kręgu światła pojawił się ciemny zarys jego głowy.

- Nic sobie nie połamałaś?

Nawet gdyby połamała, nie miałyby to teraz znaczenia. Ważne jest, że Marcus ją odnalazł. Sama jego obecność dodała jej otuchy.

- Nie.

Przesunął się, zasłaniając sobą światło. Chociaż cieszyła się na jego widok, znów zadrżała. Miała wrażenie, że zrobiło się jeszcze zimniej.

- Skąd się tam, u licha, wzięłaś?

- Wpa... wpadłam - powiedziała, szcękając zębami.

- Wiem, nie o to pytałem.

Zobaczyła nad głową jego buty. Serce podeszło jej do gardła. Na miłość boską, co on wyprawia?

- Jakim cudem zdołałaś odsunąć pokrywę?

- To nie ja - zaprotestowała. - Studnia była odkryta, kiedy tu przyszedłam. Może powinieneś wrócić po jakiś sznur?

- I zostawić cię? - Pokręcił głową. - Wykluczone. Rękami i nogami przytrzymując się śliskich ścian, zaczął opuszczać się w dół. Samantha przeraziła się.

- Wolę być sama niż z połamanym tobą.

- Nie denerwuj się, kotku. - W jego głosie pobrzmiwał spokój. -
Wiem, co robię.

- Studnia jest głęboka.

- Jedenaście metrów - oznajmił pogodnie. - Betka. Wyglądał jak wielki pajak zawieszony w górze. Nagle jakiś obluzowany kamień spadł do wody. Samantha odskoczyła. Marcus zastygł bez ruchu.

- W porządku?! - zawołał.

Skinęła, zapominając, że głębi studni nic nie widać. Po chwili usłyszała, jak Marcus podejmuje na nowo wędrówkę. Przypomniała sobie, co powiedział wczoraj: że świetnie widzi w ciemnościach. Najwyraźniej mówił prawdę.

Przynajmniej w tej jednej kwestii. Kolejny kamyk wpadł z pluskiem do wody. Przyłgnęła plecami do lodowatej ściany.

- O, dobrze. Stój tam.

Nagle czarny kształt mignął jej przed twarzą, potem poziom wody uniósł się, zalewając jej brodę. Marcus zgarnął ją w ramiona. Przytuliła się, chłonąc jego ciepło. Przez chwilę ścisnął ją, jakby bał się, że mu odpłynie.

- Nic sobie nie uszkodziłaś? Pokręciła przecząco głową.

Dygotała.

- Wiesz, co zrobimy? Obejmiesz mnie za szyję, a ja się wdrapię z powrotem na górę.

Przeraziła się. Dobrze, raz mu się udało, nie wpadł do wody, ale drugi raz? W dodatku do góry? Jak on to sobie wyobraża? Że będzie się wspinał po śliskich, pionowych ścianach, niosąc na sobie pięćdziesiąt kilka nadprogramowych kilogramów?

- To zbyt nie... niebezpieczne - szepnęła. - Nie jesteś S...

- Tylko bez żadnych aluzji do Supermana.

- Spidermanem - dokończyła.

Parsknął śmiechem. No tak, człowiek pająk. Chociaż była wystraszona, jego śmiech ją pokrzepił.

- Zaraz się przekonamy - rzekł. - No, obejmij mnie. Z trudem uniosła ramiona, potem nogę. Była tak skostniała z zimna, że od pasa w dół nic nie czuła.

- Nie lepiej, żebym usiadła ci na barana?

- Nie. - Rozpiął pod wodą pasek od spodni, omotał go wokół jej paska, po czym zapiął go z powrotem, tworząc prowizoryczną uprząż.

- Może plecami będę opierał się o ścianę. Jeszcze bym cię niechcący zgniół albo zrzucił.

Tego tylko brakowało. Wzdrygnęła się.

- No i będę potrzebował obu rąk - rzekł przeproszającym tonem, jakby żałował, iż nie zdoła się wdrapać jedenaście metrów po

pionowej ścianie, używając tylko jednej ręki. - Więc musisz się mnie mocno trzymać.

- A... a jeśli puszcze? - spytała przerażona.

- Wtedy cię złapię - wyjaśnił cierpliwie. - Będę pod tobą. Nie polecisz w dół.

Skąd miał tę pewność?

- Ufasz mi?

O dziwo, tak. Dyplomaci z reguły nikomu nie ufają. Marcusowi jednak ufała, mimo że ją porwał, mimo że ktoś do niej strzelał i podstępnie zdjął pokrywę zabezpieczającą otwór studni. Ciekawe dlaczego? Teraz jednak nie miała czasu na szukanie odpowiedzi.

- Tak - szepnęła.

- Grzeczna dziewczynka.

Sprawdziwszy ponownie uprząż, rozpoczął wspinaczkę. Samantha obejmowała go za szyję, nogami ścisnęła w pasie. Czowała, jak mu mięśnie pracują. Serce waliło jej młotem, w głowie się jej kręciło.

Posadził ją na brzegu łóżka. Była przeraźliwie blada, trzęsła się jak galareta, z kolana lała się jej krew, paznokcie miała połamane, na rękach i ramionach zaczynały pojawiać się sińce. Lodowata woda miała jeden plus; potłuczonych miejsc nie trzeba było okładać zimnymi kompresami.

Dobrze, że dygocze, powtarzał w myślach Marcus. Nie podobała mu się jej potworna bladość i sine wargi. Natomiast drzenie oznacza, że organizm próbuje walczyć z hipotermią.

- Wyskakuj z tych mokrych ciuchów, bo się przeziębisz...
- Zawsze jesteś taki romantyczny? Wyszczrzył w uśmiechu

zęby.

- Twardziel z ciebie, wiesz? Tak jak niektóre chłopaki na obozie szkoleniowym. Małe toto, chude, sądziłem, że odpadną już po pierwszym tygodniu, a oni dzielnie wytrwali do końca.

Uniosła ręce, by ściągnąć z niej mokrą koszulę.

- Tak jak twój przyjaciel Jimmy? - spytała, patrząc, jak uśmiech znika z jego warg.

Marcus cisnął koszulę w kąt, po czym chwycił ręcznik. Starał się nie wlepić oczu w piersi Samantha.

- Marcus?

- Co?

Podał jej ręcznik, a sam sięgnął do torby po suchą koszulę i jakąś bieliznę.

- Czy Jimmy wie, gdzie jesteśmy? Zacisnął usta.

- Dlaczego pytasz?

- Tak sobie pomyśl...

- Co? - przerwał jej w pół słowa. - Pomyślałaś, że Jimmy mógł zdjąć pokrywę?

Rzucił jej czystą koszulę.

- Nie, skądże - oburzyła się. - Absolutnie nie. Marcus odetchnął z ulgą.

- Na pewno?

- Na sto procent. - Przebrała się. - Przecież nie zdołałby jej unieść.

- Nie sądzisz, że mógł mieć... hm, pomocnika?

- Nawet mi to do głowy nie przyszło. A co, uważasz, że...?

- Nie!

- W porządku.

Uśmiechnęła się. Poczuł, jak napięcie powoli go opuszcza.

- Ktoś jednak odsunął pokrywę - stwierdził.

- Ale tym kimś nie był Jimmy.

- Nie, to nie był Jimmy.

- Nikt poza nim nie wie, że tu jesteśmy? Marcus potrząsał głową.

- Nikomu więcej nie mówiłem.

- Może ktoś nas śledził?

- Nie. - Co do tego również miał stuprocentową pewność.

- W takim razie musiałeś sam to zrobić.

- Nie, ja... - Nagle zawahał się. Samantha uniosła pytająco brwi.

- Nie pamiętam - rzekł bezradnie.

- Co? Czy zakryłeś studnię?

Zakrył. Gotów był się o to założyć, więc dlaczego nie pamiętał?

Kiedy usiłował przypomnieć sobie kolejność zdarzeń, ogarniała go dziwna pustka. Trochę go to niepokoiło.

Ale Samantha wciąż dygotała z zimna, a to go niepokoiło znacznie bardziej. Odciągnął kołdrę.

- Włóż do łóżka. Musisz się ogrzać.

- Jeśli próbuje mnie pan uwieść, poruczniku, powinien pan wiedzieć, że wolałabym nieco bardziej subtelne metody - rzekła z uśmiechem Samantha. - A poza wszystkim innym temperatura wynosi około dwudziestu stopni.

- Może. Ale to nie znaczy, że wymarznięte ciało nie traci ciepła. Wsunęła nogi pod kołdrę.

- Nie wiedziałam, że masz wykształcenie medyczne.

- W Navy SEALs wszyscy przechodziliśmy solidny kurs pierwszej pomocy. W dodatku parę razy sam o mało nie odmroziłem sobie tyłka, więc chcąc nie chcąc nauczyłem się, jak zapobiegać hipotermii. Trzeba przebywać w ciepłym pomieszczeniu, wykonywać lekkie ćwiczenia fizyczne i pić gorące płyny.

Samantha podciągnęła kołdrę pod brodę.

- To może bym wzięła ciepły prysznic?

- Dopiero jak osad osiadzie na dnie studni. Skrzywiła się z niezadowoleniem.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała. - A ile to może potrwać?

- Co najmniej kilka godzin. Wieczorem się wykąpiesz.

Skinęła głową. Mokre włosy zwisały jej w strąkach, nie miała śladu makijażu na twarzy, mimo to Marcus nie mógł oderwać od niej oczu. Wyobrażał ją sobie pod prysznicem. ..

- Przynieść ci herbaty?

- Och tak, dziękuję. Jesteś aniołem.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Gdyby nie przywiózł jej na farmę, nie wpadłaby do tej cholernej dziury.

- Drobiazg - burknął. - Zaraz wrócę.

Zbiegł po schodach na dół, postawił czajnik na kuchence i przestępując z nogi na nogę, czekał, aż się woda zagotuje.

Ufał Jimmy'emu bezgranicznie. Byli jak bracia. Ani przez moment nie wierzył, że jego najbliższy przyjaciel mógł komuś zdradzić ich miejsce pobytu.

Zamyślony wrzucił torebkę do kubka. Ktoś jednak zdjął betonową pokrywę. A to znaczy... to znaczy... Psiakrew, pewnie sam wczoraj o niej zapomniał. Usiłował sobie przypomnieć, czy zakrył studnię, czy nie, ale skoro dziś była odkryta, to przypuszczalnie nie zakrył.

Jest odpowiedzialny za to, co się stało. Przez niego Samantha o mało nie zginęła. Jako jej ochroniarz zupełnie się nie spisał. Im szybciej wróca do Waszyngtonu, tym lepiej.

Włączył komputer i wszedł na umówioną z Baxterem stronę. Nie było na niej żadnych instrukcji, żadnych zmian; tak jak poprzednim razem pojawił się śmieszny zielony ludzik. „Lecz król go nie polubił, nie polubiła królowa...”

Zniechęcony, wyłączył laptopa i zalał wodą torebkę herbaty. Dodał dwie łyżeczki cukru - nie wiedział, czy Samantha słodzi, ale oprócz płynów potrzebowała kalorii - i ostrożnie, żeby nic nie rozlać, zaniósł kubek do sypialni.

Spała. Marcus stał w drzwiach, przyglądając się śpiącej postaci. Leżała na boku, ze zgiętymi nogami. Długie ciemne rzęsy ocieniały

jej blade policzki. Mimo że miała naciągniętą na siebie kołdrę, sprawiała wrażenie zmarzniętej.

Postawił kubek na szafce nocnej. Pamiętał ze szkolenia, że osobę wyziębioną należy umieścić w śpiworze, ułożyć się obok i ogrzewać ją własnym ciałem. Oczywiście wtedy człowiek sam raptownie traci ciepło, ale...

Marcus powiódł wzrokiem po skulonej pod kołdrą postaci. Jakoś nie sądził, aby miał strasznie zmarznąć, a jeśli nawet, to co? Z drugiej strony nie chciał, by Samantha pomyślała sobie, że próbuje wykorzystać sytuację. Dlatego się nie rozebrał - ściągnął jedynie buty i rozpiął pasek - po czym wsunął się pod kołdrę i zgarnął Samanthę w ramiona.

Starał się nie myśleć o tym, co by było, gdyby zginęła. Stracił ją z oczu.

Rozglądał się nerwowo, szukając pośród unoszących się na wodzie śmieci małej ciemnej główki swojej siostry bliźniaczki. Przenikał go coraz większy strach. Gdzie ona jest?

Wiedział gdzie. Niżej. Pod wodą.

Musi ją odnaleźć. Zaczerpnął powietrza i zanurkował. Potrafił długo wytrzymać bez oddychania. Mama często się śmiała, że jej syn zamiast płuc ma skrzela.

Odplłynawszy kawałek, pozwolił, by dalej niósł go prąd. Żeby doniósł go do siostry. Był silny, lecz powoli dopadało go zmęczenie. W płucach go piekło, oczy szczypały. Siostra jest znacznie od niego słabsza. Potrzebuje jego pomocy.

Nareszcie! Zobaczył sterczące do góry chude ramionka i czarne włosy unoszące się na wodzie niczym wodorosty.

Serce waliło mu milion razy na minutę. Przyspieszył. Czy zdąży? Czy jeszcze żyje?

- Marcus...

Najpierw usłyszał cichy głos, potem poczuł delikatny dotyk.

- Marcus, obudź się. Przyśnił ci się jakiś koszmar.

Serce waliło mu tysiąc razy na minutę. Ręce miał zaciśnięte w pięści, a z oczu... Cholera, z oczu płynęły mu łzy.

Usiadł na łóżku i zakrył rękami twarz. Kiedy je opuścił, Samantha przyglądała mu z powagą i zatroskaniem. Mimo bólu po upadku do studni, nie myślała o sobie, tylko o nim.

- Już w porządku? - spytała.

- Nie rób tego więcej - rzekł schrypniętym głosem. - Mógłbym ci wyrzucić krzywdę.

- Ty? Mnie? - Uśmiechnęła się.

- Mówię serio. Na obozie omal nie zabiłem kumpla, kiedy obudził mnie z koszmaru.

- Mnie na pewno nie zabijesz. Budzę cię już po raz drugi i nie wykazujesz żadnych agresywnych skłonności. Co najwyżej jesteś trochę naburmuszony.

- Dziękuję. - Napięcie zaczęło go opuszczać.

- Proszę bardzo. - W policzkach Samantha ukazały się znajome dołeczki. Ręką o połamanych paznokciach pogładziła go po ramieniu.

- Rozmawiałeś kiedykolwiek z lekarzem o tych swoich snach?

- Masz na myśli psychiatrę? - Pokręcił przecząco głową. - Nie. Mój ojciec... - Zawahał się. Wiedział, że nadszedł moment na decyzję. Postanowił zaryzykować i zaufać Samancie. - Ojciec mówił, żebym się nie przejmował koszmarami. Że to naturalna reakcja na silny uraz.

Słowa ojca nie uspokoiły małego wystraszonego chłopca, który zamieszkał w obcym domu, z ojcem i matką, których wcześniej nie znał. Nie usatysfakcjonowały też Samantha.

- Jaki uraz?

- Kiedy miałem dziesięć lat, przeżyłem wypadek samochodowy. Tak mi powiedziano. Ja go nie pamiętam - dodał, widząc, że Samantha szykuje się do zadania kolejnych pytań.

To znaczy nie pamiętał wypadku samochodowego. Pamiętał natomiast wybuch na łodzi. I wodę. Wziął głęboki oddech. Brnął dalej.

- Nie pamiętam nic z okresu przed wypadkiem. Zmrużyła oczy.

- Nic?

- Nic a nic. Ojciec twierdzi, że w ten sposób, wymazując wspomnienia, człowiek się broni.

- Przed czym?

Bał się, że Samantha się wystraszy. Że nie będzie chciała mieć do czynienia z takim dziwołagiem jak on.

- Właśnie o to chodzi, że nie wiem.

- A co ci mówili rodzice?

- Nie lubią poruszać tego tematu.

Była to prawda, ale prawdą też było, że sami niewiele wiedzieli. Najgorsze jednak dopiero go czekało. Biorąc się w garść, ciągnął:

- Podejrzewam, że musiałem zrobić coś strasznego, żeby wyrzucić z pamięci całe dzieciństwo.

Spodziewał się, że Samantha powie: Jakie to smutne, a teraz przepraszam bardzo, ale czy mógłbyś się ode mnie odsunąć?

Czy by jej posłuchał? Chyba nie. W tym momencie zrozumiał, że kocha Samanthę.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu słyszałam. A trzeba ci wiedzieć, że bywałam na wielu dyplomatycznych przyjęciach i słyszałam wiele bardzo głupich rzeczy.

Ze zdumienia wybałuszył oczy.

- To wcale nie jest głupie. Czytałem o tym. Dysocjacyjna amnezja wsteczna następuje, kiedy człowiek pragnie o czymś zapomnieć.

Westchnęła ciężko. Wyobraziła sobie Marcusa najpierw małego skonfundowanego chłopca, potem zdeterminowanego młodzieńca, który studiuje książki medyczne i artykuły naukowe w nadziei, że znajdzie w nich wskazówki do swojej przeszłości.

- Mylisz się, Marcus. Amnezja zazwyczaj powstaje w wyniku doznanych krzywd - powiedziała łagodnie Samantha. - Nie kiedy ty robisz coś złego, lecz kiedy ciebie spotyka krzywda.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- No właśnie. Zazwyczaj. Ale pewności nie mam żadnej, bo niczego nie pamiętam.

- A ja jestem pewna. Człowiek nie zmienia się. Zmieniają się jego gusty, przyzwyczajenia, ale nie etos moralny, który kształtuje się w dzieciństwie. - Mówiła wolno, dobitnie. - Jesteś jednym z najmilszych, najuczciwszych i najbardziej szlachetnych mężczyzn, jakich znam. I zaraz ci to udowodnię.

Mimo że się nie poruszył, wyczuła jego zdenerwowanie.

- Jak?

- Na początek... - ujęła w dłonie twarz Marcusa -tak - rzekła, przywierając ustami do jego warg.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie wierzył we własne szczęście. Piękna Samantha Barnes obejmuje go, pieści, całuje. Oboje leżą w łóżku, ona prawie naga. Przez kilka sekund był tak oszołomiony, że zupełnie nie wiedział, jak się zachować.

Oderwała usta od jego warg, a po chwili znów go pocałowała; dopiero wtedy oprzytomniał. Na co czekasz, kretynie? Odwzajemnij pocałunek, zanim, się rozmyśli.

Chyba nie zamierzała się rozmyślać, bo westchnęła błogo, uradowana jego reakcją. Marzenia zaczęły przemieniać się w rzeczywistość. Pożądanie narastało w zawrotnym tempie. Ubrania fruwały w powietrzu, lądowały na podłodze.

Samantha jęczała z rozkoszy. Nagle w głowie Marcusa rozległ się sygnał alarmowy: uwaga, niebezpieczeństwo. Wyczuwając jego wahanie, Samantha pogładziła go po plecach.

- Marcus, proszę, teraz - szepnęła.

Odsunął się. Fantazja fantazją, ale odrobina rozsądku jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

- Poczekaj. Przyniosę gumkę.

- Nie.

- Za chwilę wrócę.

Prezerwatywy należą do podstawowego wyposażenia żołnierza, podobnie jak maszynka do golenia i nici dentystyczne.

- Nie potrzebujemy żadnej gumki. Miałaś robione badania?

Jesteś zdrowy?

- Tak, ale... - Nie był w stanie myśleć; jej widok i dotyk całkiem go rozpraszał. - Ale możesz zajść w ciążę.

- Nie mogę.

Nie? Może bierze pigułki antykoncepcyjne. Albo...

- Marcus, proszę cię. - Zacisnęła ręce- na jego biodrach.

Poczuł się jak kierowca rajdowy, który otrzymuje sygnał do startu. Nic już go nie mogło powstrzymać. Palce się złączyły, usta spotkały, ciała zespoliły. Oboje dyszeli, drżeli z podniecenia. Ilekroć Marcus na moment zwalniał, ona protestowała. Chciała więcej, mocniej, szybciej.

- Jeszcze... jeszcze...

I wreszcie przyszła rozkosz. Marcus opadł na łóżko. Język miał sztywny, umysł mu nie funkcjonował, ciało leżało bezwładnie.

- Dziękuję - szepnął.

Palcami gładziła go po karku. Przymknął powieki, delektując się tym leciutkim dotykiem.

- Za co?

Pogrążone w słodkim letargu komórki mózgowe obudziły się do życia. Za co? Nie wiedział, co odpowiedzieć, uznał więc, że prawda będzie najlepsza.

- Za wspaniały seks. Za to, że chciałaś się ze mną kochać.

Podniósłszy głowę, zobaczył, że Samantha się uśmiecha.

Uwielbiał jej uśmiech!

- No właśnie, chciałam. A skoro chciałam, to nie musisz dziękować.

- W takim razie przepraszam. Zapomniałem o grze wstępnej.

- Ja też.

- Byłem brutalny, napalony...

- Ja również.

Zrobiło mu się przyjemnie na duszy, ale brnął dalej:

- Wykorzystałem cię. Byłaś przerażona wypadkiem w szopie, a ja...

Przyłożyła mu palec do ust, żeby zamilkł.

- Marcus, proszę cię, nie rób ze mnie ofiary.

- Nie robię, ale... - Nie wiedział, co go opętało. Przecież Samantha nie ma do niego pretensji. Powinien zamknąć usta, cieszyć się jej bliskością. - Słuchaj - kontynuował przygniatając ją swoim ciałem. - Podczas szkolenia antyterrorystycznego mieliśmy wykłady z psychologii. Koncentrowano się na stanie psychicznym zakładników. Istnieje coś, co się nazywa syndromem sztokholmskim. Określenie powstało jakieś trzydzieści lat temu po napadzie na bank w Sztokholmie...

- Wiem, co to jest syndrom sztokholmski - przerwała mu Samantha.

- No dobrze, więc tamci zakładnicy byli całkowicie zależni od porywaczy. W kwestii jedzenia, informacji i tak dalej. Po trzech, czterech dniach zaczęli się z nimi identyfikować. Była to ich reakcja obronna.

Poczuł, jak Samantha sztywnieje.

- Sugerujesz, że kochałam się z tobą, aby zapewnić sobie przetrwanie?

Strużka potu ciekła mu po plecach.

- Nie, po prostu chodzi mi o to, że...

Nie wiedział, o co. Czuł się, jakby znów był w jedenastej klasie i został wezwany do tablicy przez nauczycielkę angielskiego, panią Crane. Ale w przeciwieństwie do pani Crane Samantha się nad nim zlitowała.

- O czymś zapomniałeś - rzekła. - Tamci zakładnicy bali się, że porywacze ich zabiją. Strach o własne życie stanowi jeden z czterech głównych elementów syndromu sztokholmskiego. - Uwolniła rękę i zaczęła odliczać, kolejno prostując palce. - Poczucie izolacji, poczucie zależności, uległość, strach przed śmiercią.

Cudownie. Ambasador Samantha Barnes robi mu wykład z zachowania zakładników. Był wzruszony, a jednocześnie rozbawiony.

- Ponieważ nie groziłeś, że mnie zabijesz, jeśli nie pójdę z tobą do łóżka - ciągnęła, trzymając w górze cztery wyprostowane palce - wychodzi na to, że kochałam się z tobą z własnej woli. Po prostu dlatego, że cię pragnę.

Kontrast pomiędzy jej nagim ciałem, które czuł pod sobą, a poważnym, zaaferowanym tonem, jakim przemawiała, podział na niego podniecająco.

- No to kamień spadł mi z serca. Bo ja ciebie też. Opuściła skromnie rzęsy.

- Zauważyłam - szepnęła.
- Więc co zrobimy z tym fantem? - spytał.
- Hm, moglibyśmy zmienić temat.
- Wolałbym posłuchać kolejnego wykładu. Położyła głowę na poduszce.

- Kolejnego wykładu? - powtórzyła zdumiona.
- No. - Uśmiechnął się. - Nawet nie wiesz, jak mnie podnieca twój umysł.

Tak jak na to Uczył, ponownie ukazały się dwa rozkoszne dołeczki.

- Serio?
- Słowo honoru.
- W takim razie mogłabym ci opowiedzieć... hm, o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i próbach powstrzymania wyścigu zbrojeń.

Otarł się o nią sugestywnie.

- Uwielbiam, kiedy używasz takich mądrych słów.
Roześmiawszy się, pogładziła go po twarzy. Oddech miała przyśpieszony.

- Chyba że wolisz posłuchać, jakich argumentów użyję, żeby przekonać władzę i społeczeństwo Rebelii do opowiedzenia się za demokracją oraz gospodarką rynkową?

- Och, kotku...

Przysunęła usta do jego ust. Dalsza część wykładu odbyła się bez słów, za pomocą samych pocałunków i pieszczot.

Samantha opasała się dużym ręcznikiem, którego rogi zawiązała sobie nad biustem. W Delmonico mieszkała z personelem liczącym siedemdziesiąt dwie osoby, z mnóstwem służby, ogrodników oraz niedużą grupą marines. Nie powinna więc czuć się skrepowana w obecności jednego komandosa.

Ale wykonywanie zwykłych domowych czynności wydawało się jej czymś niemal bardziej intymnym niż spanie w jednym łóżku. Na myśl o łóżku Samantha zaczerwieniła się.

No dobrze, może nie czymś bardziej intymnym. Ale czymś z całą pewnością obcym, innym, przerażającym.

Poprawiła ręcznik i zeszła na dół.

- Znalazłam w łazience suszarkę. Mogę ją włączyć? Marcus wyłonił się z kuchni, ściskając coś w ręku.

- Tak, dziś rano... - Ujrzawszy ją, urwał w pół słowa. - O psiałość! Czy już za późno, żebym ci umył plecy?

Parsknęła śmiechem i przestała tak kurczowo zaciskać ręce na ręczniku. Serce biło jej jak szalone, kolana miała z waty. To niesamowite, pomyślała, nawet trochę krępujące, żeby w wieku trzydziestu sześciu lat zachowywać się jak nastolatka spragniona seksu. Była jednak wyposzczona. Przez ponad rok nie kochała się z mężczyzną. Nie bez znaczenia był też fakt, że po raz pierwszy od roku nie myślała o pracy. Przypuszczalnie strach i niepewność również wzmagają jej stan podniecenia.

Popatrzywszy na Marcusa, zdała sobie sprawę, że się okłamuje. Chodzi o niego, wyłącznie o niego. To on na nią tak działa.

- Co tak dumasz? Wystarczy prosta odpowiedź: tak lub nie.
- Co tak lub nie? - spytała zdezorientowana.
- Czy brałaś już prysznic?
- Tak.
- Szkoda, w takim razie zamontuję teraz kamery.
- Kamery? - Odruchowo podciągnęła ręcznik wyżej.
- Do obserwacji domu. - Pokazał jej urządzenie wielkości paczki zapalek, które trzymał w ręce. - Nie chcę więcej takich niespodzianek.
Najpierw okno, potem studnia...

Samanthę przeszył dreszcz.

- To był zwykły wypadek.
- Może. Dzięki kamerze będziemy mieć pewność.
- Jak ona działa? Filmuje?
- Reaguje na zmianę obrazu. Kiedy w wizjerze pojawia się coś nowego, kamera robi zdjęcie. Zdjęcia przechowywane są w karcie pamięci. Rano obejrzę je na komputerze. Jeżeli jakieś wyda mi się podejrzane, prześlę je do Baxtera.

- Sprytne - rzekła, pełna podziwu dla pomysłowości Marcusa, a jednocześnie trochę zaniepokojona tym, że takie środki są w ogóle potrzebne.

Wzruszył ramionami.

- Na tym polega moja praca.

Wierzyła, że Marcus kochał się z nią dla przyjemności, nie z obowiązku, że czuje do niej autentyczną sympatię, nie ulega jednak wątpliwości, że został jej przydzielony do ochrony: jest jego „pracą”.

- Skąd masz kamery? - spytała.

- Dałem Garcii, kumplowi z jednostki, listę sprawunków. -

Posłał jej zakłopotany uśmiech. - Miałem nadzieję, że nie będą potrzebne.

Serce zabiło jej mocniej. Wydawał się być szczerze przejęty.

- I pewnie nie będziesz. Z tą studnią... po prostu zagapiłam się i wpadłam. To naprawdę był wypadek.

- Może. Ale to ja się zagapiłem. To ja byłem nieostrożny.

- Jesteś tylko człowiekiem, a ludzie bywają omylni.

Nie kwestionowała jego kompetencji i zaangażowania.

Wiedziała, że jeśli zajdzie konieczność, Marcus odda za nią życie.

Czego z kolei sama nigdy by nie przeboleła. Ale kamery to chyba przesada.

- Gdyby ktoś chciał mnie zabić, wybrałby inną metodę.

- Nie mówiłabyś tak, gdyby ten ktoś osiągnął cel.

- Gdyby osiągnął cel, w ogóle bym nie mówiła - powiedziała zirytowana. - Byłabym martwa.

- Chcesz wrócić do Waszyngtonu?

Nie chciała. I to ją przerażało. Przez ponad rok, dniami i nocami, nieustannie rozmyślała nad porozumieniem z Delmonico. Powinna nalegać na powrót do stolicy, denerwować się niepotrzebną stratą czasu, a ona...

Cholera, czyżby się zakochała?

Wiedziała, że seks to nie to samo co miłość. Nawet najwspanialszy seks. Owszem, Marcus Evans jest piekielnie

przystojny. W dodatku jest szlachetny, honorowy, oddany pracy. Owszem, w jego towarzystwie czuła się piękniejsza, problemy stawały się nieistotne, a świat wydawał się lepszy. Ale przecież miłość to...

- Pytałem, czy chcesz wrócić do Waszyngtonu?

- A ty?

Napotkał jej wzrok.

- Musimy wrócić. Prędzej czy później.

W jego głosie nie było radości. Może więc on też... może nie tylko ona... Wciągnęła głęboko powietrze, ręcznik o mało nie opadł. Zauważyła spojrzenie Marcusa.

Hm, dlaczego nie cieszyć się chwilą? Kiedy nadejdzie czas rozstania, kiedy ona będzie musiała wrócić do pracy w Delmonico, a on jechać na drugi koniec świata z kolejną misją, przynajmniej oboje będą bogatsi o cudowne wspomnienia.

- Kiedy miałby być ten powrót? - spytała.

- Niedługo. Jak tylko Baxter ujmie złoczyńców. Stała w przeciągu, drżąc z zimna i pożądania.

- W takim razie nie traćmy czasu - rzekła i patrząc mu prosto w oczy, rozwiązała supeł przytrzymujący ręcznik.

Czas nagli. Mężczyzna ukryty w stodole zmiął gazetę, po czym polał ją własną miksturą, na którą składał się nawóz chemiczny oraz olej napędowy. Wkrótce ta suka wyjedzie. Nie dziś i nie jutro, ale za kilka dni lub za tydzień. Nie może na to pozwolić. Otrzymał jasne

instrukcje. Obiekt nie może wrócić do Waszyngtonu. Nie może wrócić do Delmonico.

Rozciął warstwę izolacyjną, odsłaniając kawałek drutu. Za trzy dolary mógłby kupić wysoce skuteczną minę przeciwpiechotną, jak włoska TS-50 lub amerykańska M14. Te jednak miały za cel okaleczenie wroga, a nie zadanie śmierci.

On zaś chce wroga raz na zawsze wyeliminować z gry.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Całe życie pragnął akceptacji. Teraz też.

Siedzieli przy stole w kuchni. Samantha, w obcisłej niebieskiej bluzeczce, którą pożyczył dla niej od swojej siostry w Waszyngtonie, zajadała się brzoskwiniami. „Jestem twoja” głosił złoty napis na jej piersiach.

Gdybyż to tylko była prawda, rozmarzył się Marcus.

- Mmm, cudowne - powiedziała, zlizując z palców sok.

Poczuł ucisk w żołądku.

- To ty jesteś cudowna.

- Ty też, przystojniaku. - Uśmiechnęła się smutno. - Ale pewnie niejedna ci to mówiła.

Owszem, miał wiele kobiet. Niektórym podobało się jego ciało, inne fascynował jego mundur, a jeszcze inne pociągał majątek jego rodziców. Ale nigdy dotąd nie spotkał takiej kobiety jak Samantha.

- Tamte się nie liczą. Co innego komplement z twoich ust.

- Dziękuję, ale nie wiem, dlaczego mnie wyróżniasz. Czy dlatego, że jestem starsza od swoich poprzedniczek, czy dlatego, że przydzielono ci mnie do ochrony?

Zaskoczyły go jej słowa, niepewność w głosie. Czy naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że jest istotą doskonałą?

- Dlatego, że... Bo ja... - Przeklął pod nosem. - Cholera, nie umiem się ładnie wysławiać.

- Przepraszam. - Pogładziła go po ręce. - To nie ma znaczenia.

Jednak ma. Nie dla niego, lecz dla niej. Dlatego za wszelką cenę musi ubrać w słowa to, o czym normalnie nigdy nie mówił.

- Z innymi... to był tylko seks. A z tobą... - Westchnął. - Nie wiem, jak to powiedzieć. Z tobą... to coś więcej, rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Dla mnie to też było coś więcej niż sam seks. - Uśmiechnęła się czule.

Korciło go, aby porwać ją z powrotem do łóżka. Tam mógłby jej wszystko pokazać; dotykiem i pocałunkami wyrazić to, czego nie potrafi ująć w słowa. Miał ochotę ściągnąć z niej obcisłą bluzeczkę, wziąć ją w ramiona, tulić, nie puszczać...

Nie. Potrząsnął głową, żeby jakoś oprzytomnieć. Jego zadanie nie polega na tym, aby Samanthę tulić. Polega na tym, aby ją chronić.

- Sprawdzę kamery - oznajmił zniecierpliwiony. - Mogę cię na moment zostawić? - spytał, wstając od stołu.

- Ale tylko na moment.

Boże, gdyby coś się jej stało, gdyby ją stracił...

Pokręcił głową. Nie straci. Zrobi wszystko, żeby uchronić ją przed niebezpieczeństwem.

Dwie spośród zamontowanych kamer - jedna skierowana w stronę stodoły, druga na werandzie - wykonały zdjęcia. Usunąwszy ze środka karty, Marcus wrócił do kuchni.

Samantha stała przy zlewie, zmywając po lunchu.

- Problemy? - spytała na widok poważnej miny Marcusa.

Nie chciał jej straszyć, dopóki sam nie obejrzy zdjęć.

- Nie. - Włączył komputer. - Mamy parę zdjęć. Pewnie drzewo się zakołysało na wietrze. Albo przebiegł jakiś szczur.

Wytarła ręce o ściereczkę.

- Mogę zobaczyć?

Z jednej strony, instynkt i doświadczenie kazały mu się sprzeciwić. Z drugiej zaś, jeżeli ktoś zdołał zakraść się tak blisko, Samantha ma prawo o tym wiedzieć.

Nawet jeżeli tym kimś był szczur. Boże, oby!

- Nic nie widać - oznajmił.

To prawda. Obraz był ciemny, zamazany. Marcus rozjaśnił nieco ekran i wyteżył wzrok, usiłując dojrzeć, co spowodowało, że kamera wyczulona na ruch wykonała zdjęcie. Przydałby się teraz Garcia. I Jimmy. Nawet najlepszy sprzęt nie zastąpi doskonale wyszkolonego człowieka.

Pod ścianą stodoły dojrzał jakiś cień. Powiększył ten fragment zdjęcia. Szczegóły wciąż pozostawały niewyraźne. Sfrustrowany, przeszedł do kolejnej klatki.

Samantha pochyliła się nad jego ramieniem.

- Co to? - spytała, wskazując palcem.

Ponownie skupił uwagę na ekranie. Kamery dostarczone przez Garcie wykonywały zdjęcia w odstępach pięciosekundowych. Tyle że niewiele było na nich widać: tu i ówdzie jakiś cień. Nasuwał się jeden wniosek: nocny gość poruszał się tak, aby domownicy nie byli w stanie go dojrzeć. Marcus zmarszczył czoło. Albo drań wie, gdzie

zostały zamontowane kamery i w jaki sposób nie dać się sfotografować. Skurwysyn!

- Trudno powiedzieć - skłamał.

Samantha nie patrzyła na ekran; patrzyła na twarz Marcusa, usiłując odgadnąć, co przed nią ukrywa.:

- W porządku. Kiedy będziesz chciał podzielić się ze mną informacjami, znajdziesz mnie w salonie.

Z mieszaniną ulgi i żalu odprowadził ją wzrokiem do drzwi, po czym wsunął w otwór kartę pamięci z drugiej kamery. Klik: załaduj. Klik: pokaż. Klik: powiększ.

Słyszał, jak za ścianą Samantha chodzi, potem odsuwa ławeczkę od pianina i siada. Kiedy nagle ciszę wypełniły dźwięki - tada tada tada tada dam - po krzyżu przebiegły mu ciarki. Coś jest nie tak. Miał złe przeczucia.

...tada dum tada dam.

Poderwał się od stołu.

- Samantho?

Tada tada tada tada dam...

- Samantho! Przestań! - zawołał, wbiegając do pokoju.

Rozbawiona i odrobinę zmieszana obejrzała się przez ramię.

- Myślałam, że ci się podoba, jak gram.

Cały dygotał. Kropelki potu osiadły mu na czole.

- Podoba, ale...

Jej palce tkwiły bez ruchu nad klawiszami.

- Na miłość boską, cofnij ręce!

Uśmiech znikł z jej twarzy. Ręce opadły na kolana. Nie rozumiała, co się dzieje. On też nie rozumiał.

- O co chodzi? - spytała cicho.

Nie wiedział. W gardle mu zaschło, serce waliło. Mięśnie miał napięte, jakby w każdej chwili gotów był rzucić się do ataku lub obrony, tyle że nie wiedział, kim jest wróg.

- Czy... - Wziął głęboki oddech. - Czy możesz odejść od pianina?

- Dobrze. - Uniosła ręce, chcąc się odepchnąć. -Nie!

Zastygła nieruchomo. Czuł, że coś jest nie tak. Ufał swemu instynktowi. Na polu walki przetrwanie często zależy od doświadczenia, intuicji, siły oraz refleksu. Czas reakcji jest niezwykle istotny. Ręce nad pianinem...

- Nie dotykaj klawiszy - rozkazał. - Tylko wstań i podejdź do mnie.

Ściągnęła pytająco brwi, ale posłusznie wykonała polecenie. Przypuszczalnie ma go za wariata. Nic dziwnego. Duża szansa, że nim jest. Powściągnął odruch, aby chwycić ją w ramiona, upewnić się, czy jest bezpieczna. Przewrócił na bok solidny stół jadalny, wskazał na niego dłonią.

- Schowaj się. Kucnij za nim.

I znów posłusznie wykonała to, co polecił.

- Marcus, co się dzieje?

Nic konkretnego nie umiał jej powiedzieć. Po prostu czuł, że zaraz wydarzy się coś złego.

- Siedź - rozkazał, jakby była psem.

No ładnie, pomyślała. Nie była głupia, toteż nie zamierzała kwestionować ani lekceważyć poleceń wydanych przez człowieka odpowiedzialnego za jej bezpieczeństwo. Ale kiedy sytuacja wróci do normy, zażąda wyjaśnień.

Ciekawe, co on robi?

Wychyliła głowę nad krawędź blatu, by obserwować jego poczynania. Marcus najpierw uważnie obejrzał pianino, potem zaczął je obmacywać, wreszcie ostrożnie uniósł pokrywę na wysokość paru centymetrów.

Syknął głośno.

- Co widzisz? - spytała z rosnącym przerażeniem.

- Bomba - odparł głucho.

- Bomba?

- Chyba tak. - Pochylając się nad wąską szparą, zajrzał do środka. - Widzę kawałek metalowej taśmy przytwierdzony do klawisza. Naciskasz klawisz i następuje wybuch. - Wsunął obie ręce pod pokrywę.

Samantha wstrzymała oddech. Nie była w stanie patrzeć, ale nie potrafiła też odwrócić wzroku.

- Który klawisz?

- Skąd mam wiedzieć? Zaraz... któryś ze środkowych.

Hm, przebiegła myślą utwór, który przed chwilą grała. „Dla Elizy”. Jeszcze kilka taktów i byłoby po niej.

Wtem rozległ się odgłos zrywanej taśmy. Marcus położył coś na ławeczce, na której siedziała niecałe dwie minuty temu. Wyglądało to jak normalna bateria, z dwoma odchodzącymi od niej drutami - białym i czarnym.

Marcus odwrócił się. Usta miał gniewnie zaciśnięte, czoło zmarszczone. Samantha marzyła o tym, by rzucić mu się w ramiona, ale to nie był najlepszy pomysł. Marcus bowiem trzymał w ręce oklejoną taśmą, małą plastikową torbę, która mogła wybuchnąć.

- To ta bomba?

- Nie wychylaj się!

Ponownie kucnęła za przewróconym stołem. Marcus wrócił do kuchni. Jego nie chronił żaden stół. Cisza. Samantha czekała, wyęzając słuch.

- Marcus?

- Tak?

- Co robisz?

- Rozcieńczam substancję chemiczną, żeby zapobiec wybuchowi.

- Aha. To dobrze - dodała po chwili pogodniejszym tonem.

- Moja droga, nie mamy się z czego cieszyć. Ktoś definitywnie wie, że tu jesteś.

- Sama na to wpadłam.

- Był w tym domu.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Wie, że grasz na pianinie.

Samantha wstała. Kolana się jej trzęsły, a w głowie kręciło.

- Philip prosił dyrekcję hotelu o wstawienia pianina do mojego apartamentu - rzekła. - To, że gram na tym instrumencie, nie stanowi żadnej tajemnicy. Niewykluczone, że ta informacja figuruje w mojej oficjalnej nocy biograficznej.

W oczach Marcusa dojrzała wyraz niedowierzania i strachu.

- Pięknie. Ambasador Barnes uzyskała dyplom z nauk politycznych na Harvardzie. Ponadto lubi grać na pianinie i wylegiwać się w wannie pełnej piany.

- Nieprawda. - Próbowала zmusić usta do uśmiechu. - Wolę prysznic.

- Nie o to chodzi. Chodzi o to, że wróg kręci nam się pod nosem.

- Co zamierzasz? - spytała cicho. Mokrą ręką przeczesał włosy.

- Wywieźć cię stąd.

- Dokąd?

- Nie wiem.

- Moglibyśmy wrócić do Waszyngtonu - zaproponowała.

Potrząsnął głową.

- Nie. Właśnie stamtąd kazano mi cię zabrać. Baxter ostrzegł mnie, że w WB jest szpieg.

- Baxter to twój zwierzchnik?

- Tak. Na czas tej misji. Agent specjalny Jerry Baxter.

- Mówiłeś, że nikt w WB nie wie, dokąd pojechaliśmy. Nikt poza.

Poza Jamesem Robinsonem. Najbliższym kumplem Marcusa.

- Zadzwoń do Baxtera.

- Tu nie ma telefonu.

Popatrzył na nią z pobłażaniem. Oblała się rumieńcem. No tak, może na farmie nie ma telefonu, ale komandosi z Navy SEALs zawsze mają sposobność porozumienia się ze światem.

Z bocznej kieszeni czarnej skórzanej torby, w której mieścił się laptop, wyjął telefon komórkowy. Samantha poczuła się jak idiotka. Wprawdzie ukończyła studia na Harvardzie, ale widocznie przespała kurs „O czym powinien wiedzieć każdy zakładnik”. Już dawno temu mogłaby zadzwonić do Philipa!

- Mamy pewien problem - oznajmił cicho Marcus. Nie słyszała głosu na drugim końcu linii, więc uważnie obserwowała twarz Marcusa.

- Nie. - Sprawiał wrażenie zdziwionego. - Ależ nie, żyje. Lecz... Rozumiem. Podjęto jednak próbę... - Na moment zamilkł. - Absolutnie na serio. Chciałbym ją przywieźć z powrotem. Nie. Teraz.

Samanthę ogarniało coraz większe napięcie. Ręce jej drżały. Zacisnęła dłonie, zmuszając się do wytężonej koncentracji.

- Jak? Kiedy? - W głosie Marcusa brzmiała nuta zniechęcenia. - Z całym szacunkiem... Dobrze, będę systematycznie zaglądał na stronę w komputerze. Ale... -Coraz bardziej zdenerwowany przemierzał kuchnię. -Nie. W takim razie może jakieś wsparcie? Tak, rozumiem, że im więcej osób wie... Cholera, ktoś jednak zna miejsce naszego pobytu.

Przez chwilę stał bez ruchu przy zlewie, po czym wolno opuścił rękę trzymającą słuchawkę i zaklął pod nosem. Samantha, udając opanowaną, uniosła pytająco brwi.

- Domyślam się, że rozmowa nie poszła po twojej myśli?

- Ten drań się rozłączył.

- Przykro mi.

- Powiedział, że jest „bliski osiągnięcia celu” - rzekł, przedrzeźniając Baxtera. - Gównu mu z tego przyjdzie, jeśli ty będziesz trupem.

Wytrzeszczyła oczy. Marcus zreflektował się.

- Przepraszam. Boże kochany, przepraszam. - Otoczył ją ramieniem i przytulił do piersi.

- A może ja bym do kogoś zadzwoniła? - zaproponowała.

- Do kogo? Tego chłystka Phila? - Prychnął pogardliwie.

Przytknęła policzek do jego piersi.

- Philip nie jest żadnym chłystkiem. Ale myślałam o kimś innym. O kimś mającym znacznie większe wpływy od mojego asystenta.

- Musimy być bardzo ostrożni, kotku. Baxter twierdzi, że zdrajca może pochodzić z najwyższych kręgów.

- Ale chyba nie z kręgu Białego Domu, co?

- A do kogo chciałabyś zadzwonić? - Objął ją mocniej.

- Do Matta Tynana.

- I co on mógłby zrobić? Nawet nie wiemy, kim są nasi wrogowie. Jeżeli mamy do czynienia z Koalicją, a nie Rebelią, mogą być dosłownie wszędzie.

- Przecież to paranoja. Nie można wszystkich podejrzewać. -

- Samantha, ten drań był tutaj, w tym domu - przypomniał jej Marcus.

Zadrzała.

- Słuchaj, a może James Robinson komuś się wygadał? Może niechcący...

- Wykluczone. Nie wiemy, kim są wrogowie, ale swoich przyjaciół znam. Jimmy'emu ufam bezgranicznie. Powierzyłbym mu życie.

Nie zamierzała się z nim kłócić. Praca, ryzyko, stawianie czoła zagrożeniom - wszystko to tworzy niezwykle silne więzy między ludźmi. Marcus i Jimmy zjedli razem beczkę soli.

- Ale powierzasz mu moje - zauważyła cicho.

- Myślisz, że nie wiem? - W jego głosie rozpacz mieszała się z determinacją. - Ale Jimmy'ego jestem na sto procent pewien. Równie dobrze mógłbym podejrzewać samego siebie.

Odchyliwszy się, popatrzyła mu w oczy. Wcześniej powiedziała, że mu ufa. I tak jest; wierzyła, że Marcus jest porządnym, uczciwym człowiekiem. Ale czy może ufać jego przyjaciołom?

- No dobrze - oznajmiła wolno. - To nie Jimmy. Ktoś inny zna naszą kryjówkę, wie, jak spędzam wolny czas i potrafi zmontować bombę. Masz jakiś pomysł, kto to może być?

- Owszem.

Czekała na dalszy ciąg, ale usta miał zasznurowane, a wyraz twarzy zacięty... i jakby trochę wystraszony.

- I co? Będziesz tak uparcie milczał? - spytała z uśmiechem. - Nic mi nie zdradzisz?

- Nie - odrzekł stanowczo. - Musimy jeszcze raz zamontować kamery. Ale chciałbym, żebyś tym razem ty je ustawiła.

- Ja? Dlaczego?

- Wszystko musisz wiedzieć? Nie możesz mi zaufać? Zrobiło się jej przykro.

- Przecież od początku ci ufam. I cieszyłabym się, gdybyś ty mnie również obdarzył zaufaniem.

- Nie teraz. Błagam cię.

Puściwszy ją, podszedł do tylnych drzwi i wyjrzał na dwór. Biło od niego napięcie, smutek, lęk. Po chwili odwrócił się i napotkał jej spojrzenie. W jego oczach dojrzała niemą prośbę. O co chodzi? Czego od niej chce?

- Proszę cię, Sam. - Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. - Czy możesz to dla mnie zrobić? Ustawić kamery?

- Zrobię, co tylko zechcesz - obiecała zmieszana i zatroskana.

Jednakże dystans między nimi pozostał. Przez resztę dnia Marcus prawie wcale się do niej nie odzywał. I prawie wcale na nią nie patrzył. Pokazał Samancie, w jaki sposób montuje się kamery, po czym zszedł na dół, by mogła samodzielnie wybrać miejsce. Jedną ukryła w holu na górze, drugą w łazience.

Z bólem serca obserwowała Marcusa, który udawał, że wszystko ma pod kontrolą, a w głębi duszy cierpi. Nie mogła mu pomóc. Jego zadanie polega na tym, by ją chronić. Kiepsko się spisał i własna nieudolność nie daje mu spokoju.

Wreszcie nadeszła noc. Samantha przewracała się z boku na bok; długo nie mogła zasnąć. Czekala na Marcusa, ale on położył się, gdy już spała. Oboje to budzili się, to znów zasypiali. W którymś momencie Marcus przysunął się, a ona poczuła -na swoim ciele jego ręce i usta. Zaczęli się kochać, namiętnie, bez pamięci. Niczego w ciemnościach nie widzieli, ale wzrok nie był im do niczego potrzebny. Wystarczył dotyk, pieszczoty, pocałunki. Wkrótce, spleceni w miłosnym uścisku, przeżyli rozkosz. Marcus pocałował ją w policzek, ona pogładziła go po włosach. Zasnęli spełnieni i szczęśliwi.

Kiedy się obudziła, siedział na brzegu łóżka, z kamerą w ręce i wyrazem rozpaczony na twarzy.

Poderwawszy się, Samantha delikatnie ujęła go za ramię. Był zlany potem, a serce waliło mu, jakby lada moment miało pęknąć.

- Co jest? Co się stało?

- Miałem rację. - Obrócił się do niej twarzą. - Ktoś w tym domu usiłuje cię zabić.

Zwilżyła wargi.

- Kto, Marcus? Kto?

Zbolałym wzrokiem popatrzył jej prosto w oczy.

- Ja - szepnął.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Miała taki wyraz twarzy, jakby mu wyrosły rogi i ogon. Albo jakby ją spoliczkował. A przecież nie zrobił jej nic złego.

Jeszcze nie. Poczul straszliwe klucie.

- O czym ty, na miłość boską, mówisz? - zapytała. Jak ma jej to wyjaśnić? Przecież sam tego nie rozumiał. Zacisnął ręce na kamerze.

- Kiedy rano wstałem, sprawdziłem kamery. Te na dole, które sam ustawiłem, nie uchwyciły żadnego ruchu. Te na górze... - Za chwilę zamilkł. - Wprowadziłem zdjęcia do komputera.

Czekała w milczeniu, by kontynuował. Mówił wolno, zwięźle, trzymając się faktów.

- Zdjęć było osiem. Trzy wykonane kamerą w holu, pięć kamerą w łazience. Na większości z nich widać mężczyznę. Człowiekiem na zdjęciach... wrogiem... jestem ja.

Opuściła na podłogę nogi i usiadła obok Marcusa na brzegu łóżka. Materac ugiął się pod jej ciężarem.

- No dobrze. Wstałeś w nocy, żeby skorzystać z toalety. To nie znaczy, że jesteś wrogiem. Ani zabójcą.

Nic do niej nie dociera. A może broni się przed prawdą? Wcale jej się nie dziwił. On też zupełnie nie mógł tego pojąć. Gdyby istniało jakieś inne wytłumaczenie...

- W takim razie dlaczego nic nie pamiętam?

- Może byłeś zbyt zmęczony? Może chodzisz we śnie?

- Nie, ja próbowałem.

Chwyciła go za ramię. Nie chciała zaakceptować prawdy.

- Spójrz na mnie! Żyję. Nic mi nie jest. Nie masz nic na sumieniu.

- Mam. - Unikał jej wzroku.

- Nie bądź śmieszny. Podskoczył, jakby go czymś dźgnęła.

- W porządku. Pokażę ci.

Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą w stronę drzwi. Następnie wepchnął ją do łazienki.

- Kamera była w wannie. Większość czasu stałem zwrócony do niej plecami, więc na zdjęciach nie widać, co robię. Ale spójrz na to.

Podniósł suszarkę do włosów leżącą na krawędzi umywalki. W oczach Samantha odmalowało się zdziwienie.

- Nie rozumiem...

Odkręcił plastikową część osłaniającą filtr. Ręce mu drżały. Ciekaw był, czy w nocy też drżały.

- To jest wkład. - Zaczął wyciągać z suszarki wilgotne białe kulki. - Wata nasączona... nie, nie benzyną. Raczej zmywaczem do paznokci albo sprayem... - Zbliżył kulki do nosa. - Tak, to spray do włosów. Wata styka się ze spiralką grzejną. Warstwa izolacyjna została usunięta. Kiedy spirala nagrzej się do odpowiedniej temperatury, wkład zacznie płonąć. Zamiast suszarki będziesz miała minimiotacz ognia.

- I ty... - Samantha przełknęła ślinę. Przez moment nie była w stanie wydobyć głosu. - Ty to zrobiłeś?

- Tak. W nocy. - Żeby ukarać siebie, a także by nie było żadnych nieudomówień czy nieporozumień, dodał ochryple: - Usiłowałem cię zabić.

- Nieprawda - sprzeciwiła się. - Nie wierzę. Był jej wdzięczny, ale brnął dalej:

- Prawda, prawda. Zdjęcia są najlepszym dowodem.

- Marcus, jeżeli chcesz się mnie pozbyć, po co się tak trudzisz?

Przecież mógłbyś mnie zastrzelić.

- Ależ nie mógłbym! - W jego głosie brzmiało oburzenie.

- No właśnie. Nie mógłbyś.

Boso, w obszernej wojskowej koszulce, z potarganymi rudymi włosami wyglądała rozkosznie. Jednakże mimo studiów na Harvardzie, mimo niewątpliwej inteligencji, w tej jednej sprawie się myliła. Musi ją o tym przekonać, bo stawką jest jej życie.

- Słuchaj. Spytałaś: kto i jak. Kamera wyraźnie pokazuje kto. A tu... - wskazał ręką na leżący w zlewie zdemontowany miotacz ognia - masz odpowiedź na pytanie jak. Dwa plus dwa równa się cztery. Innej odpowiedzi nie ma.

- W takim razie muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie.

- Słucham.

- Dlaczego?

- Nie rozumiem.

- Czy chcesz mnie zabić?

- Mój Boże! Nie!

- To po co miałbyś raz po raz podejmować próbę?

- Czy to ważne? - spytał gorzko. - Może dlatego, że mam nie po kolei w głowie? Zapominam różne rzeczy. Na przykład nie pamiętam, żebym dziś w nocy wstawał. Tak samo jak nie pamiętam niczego sprzed adopcji.

Zamrugła oczami.

- Jesteś adoptowany?

Nie wspominał jej o tym wcześniej, bo była negatywnie nastawiona do adopcji. Uważała, że to ryzykowne. Adoptowane dzieci mogą mieć, jak sama powiedziała, utajone problemy zdrowotne. No i nie myliła się. Problemów miał aż nadto.

- Owszem.

- I trafiłeś do adopcji w wieku dziesięciu lat?

- Tak - odparł i pomyślał, że przynajmniej jej pamięć nie szwankuje.

Zadumawszy się, wydeła usta. Niemal słyszał, jak w jej ślicznej główce obracają się tryby.

- Hm, a więc urodziłeś się w... sześćdziesiątym dziewiątym roku?

- Siedemdziesiątym. Bo co?

- I nie masz żadnych wspomnień z pierwszych dziesięciu lat życia?

- Już ci to mówiłem.

- Wiem, ale... Nie, to niedorzeczne. - Zmarszczka na czole pogłębiła się. - Ale równie niedorzeczny jest pomysł, że mógłbyś mi wyrządzić krzywdę.

- Samantha. - Starał się zachować cierpliwość. - Do czego, u licha, zmierzasz?

- Twoja adopcja. To zmienia postać rzeczy.

- Tego się właśnie obawiałem. Nie chciałem cię okłamywać...

Przerwała mu.

- Co wiesz o eksperymencie Proteusz?

- O czym?

- O eksperymencie Proteusz. Philip niedawno dał mi wycinek z gazety...

- Nie mam czasu czytać gazet. Proteusz... Czy to nie chodzi o te mutanty? O jakieś tajemnicze badania prowadzone przez rząd w latach sześćdziesiątych? To pożywka dla brukowców.

- Też tak myślałam. Ale z artykułu w „Post” wynika, że po zaprzestaniu eksperymentu pozostała grupka dzieci będąca obiektem badań. Szczególnych dzieci, które należało ukryć, sprawić, aby wtopiły się w społeczeństwo. Czy oddanie ich do adopcji nie wydaje ci się logicznym krokiem?

Głowa pękała mu z bólu. Nie chciał myśleć o tym, co Samantha powiedziała. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że...

- Jakie to wszystko ma teraz znaczenie? Kogo to obchodzi, że trzydzieści lat temu naukowcy wyprodukowali grupę superdzieci? Co to ma wspólnego ze... - Urwał w pół słowa. - Sądzisz, że jestem jednym z nich, prawda? Jednym z tych małych Frankensteinów?

W jej oczach malowało się współczucie.

- Jeśli chodzi o wiek, pasujesz. I to by wiele spraw wyjaśniało. Na przykład twoją niesamowitą siłę fizyczną. Oraz brak wczesnej pamięci.

Miał wrażenie, że za moment głowa mu eksploduje.

- Ale nie to, dlaczego próbuję cię zabić - oznajmił, świadomie sprowadzając ją na ziemię.

Wzdrygnęła się.

- Masz rację. Tego akurat nie.

- A w tej chwili tylko to mnie interesuje. I utrzymanie cię przy życiu. Musimy wrócić do Waszyngtonu. Dzisiaj. Teraz.

Podniosła butnie głowę.

- Wykluczone.

- Jak to wykluczone?

- Co chcesz zrobić w Waszyngtonie?

- Przekazać cię z powrotem pod opiekę Walkera. A siebie...

Potrząsnęła gniewnie głową.

- Nie zgadzam się. Chcesz narazić moje życie? I zrujnować własną karierę?

- O moją karierę się nie martw.

- Tak? A co, na przykład, zamierzasz powiedzieć swojemu dowódcy?

Wciągnął wolno powietrze, po czym je wypuścił.

- Prawdę.

- Jaką prawdę? Że przywiozłeś mnie tu dla mojego bezpieczeństwa? Czy że chodzisz we śnie?

Nie odpowiedział. Bał się wybiegać myślą naprzód. Wojsko, a konkretnie Navy SEALs, jest całym jego życiem. Postępowanie dyscyplinarne, które by po jego oświadczeniu nastąpiło, oznaczałoby dla niego śmierć. A nawet coś gorszego.

Jego milczenie wystarczyło Samancie za odpowiedź.

- Twei przełożeni... albo uwierzą, że chciałeś zabić osobę pełniącą funkcję ambasadora Stanów Zjednoczonych, albo pomyślą, że jesteś niespełna rozumu. Tak czy siak trafisz za kratki. Albo do więzienia, albo do domu wariatów.

- Kotku, czy tego nie rozumiesz? Mnie trzeba zamknąć. Przecież stanowią zagrożenie.

- Niekoniecznie. Gdyby udało się znaleźć przyczynę...

- Znamy przyczynę. Mam nie po kolei w głowie.

- Nie wierzę. Może twoje zachowanie jest skutkiem jakichś doświadczeń z dzieciństwa?

Samantha jest taka poważna. Taka kochana. Tak bardzo pragnie mu pomóc.

- To samo się mówi o seryjnych mordercach. Że wszystkiemu winne jest ich dzieciństwo.

Zmrużyła oczy.

- To zupełnie co innego - stwierdziła z oburzeniem. - Jeżeli jesteś produktem jakichś eksperymentów genetycznych...

Wtedy byłby potworem. Dziwolągiem. Zrobiło mu się słabo na samą myśl o tym.

- Na jedno wychodzi. Wolałbym być zwykłym seryjnym mordercą niż psychopatą z wojskowym doświadczeniem, nadludzką siłą oraz nieznanym genetycznie wnętrzem. Już widzę, jak dowództwo postanawia uczynić w mojej sprawie wyjątek i przywrócić mnie do służby.

Chciała zaprotestować. Otworzyła usta, ale po chwili je zacisnęła. Czyżby wreszcie jego słowa trafiły jej do przekonania?

- Muszę porozmawiać z Mattem - rzekła wreszcie.

- Porozmawiasz. Jak wrócimy do Waszyngtonu.

- Nie. Wcześniej.

- W porządku. Zadzwoń z mojej komórki. Poczul bolesne ukłucie w sercu. Przecież o to mu chodziło, prawda? Żeby uwierzyła, iż on, Marcus Evans, stanowi dla niej zagrożenie. Żeby zrobiła wszystko, aby się przed nim ochronić. Nawet gdyby w tym celu musiała zwrócić się o pomoc do swojej dawnej szkolnej sympatii.

- Podejrzewam, pani ambasador, że Matt marzy o jak najszybszym powrocie do Waszyngtonu - powiedział przyjaznym, lekko rozbawionym tonem asystent Matta. - Ale na razie go tu nie ma. Wyjechał przedstawić Carey swoją rodzinę. Całą, poczynając od ojca, a skończywszy na macosze numer cztery. Na pewno nie chce pani, żeby oddzwonił?

Spoglądając na Marcusa, który siedział pochylony nad komputerem, Samantha pokręciła przecząco głową.

- Na pewno. Muszę porozmawiać z nim w cztery oczy. Proszę mnie wpisać do kalendarza na możliwie najwcześniejszy termin.

- Jasne. Hm, Matt wraca jutro wieczorem, w biurze będzie pojutrze rano. Może zapiszę panią na dziesiątą. Pasuje? - spytał pogodnie Kip.

- Świetnie. Dziękuję bardzo.

- Drobiazg. Jak przeziębienie?

- Słucham?

- Philip mówił, że złapała pani jakiegoś wirusa.

- Faktycznie. Czuję się już znacznie lepiej. - Wymieniła jeszcze parę zdawkowych słów z asystentem Matta, po czym zakończyła rozmowę. - Matt będzie w biurze dopiero pojutrze - poinformowała Marcusa. - Może w tej sytuacji zostalibyśmy tu jeszcze jeden dzień, co? Cisza.

Marcus wpatrywał się w komputer. Podając jej przed chwilą telefon, napomknął, że chce sprawdzić, czy nie nadeszła wiadomość od Baxtera, ale z tego, co widziała, nie czytał poczty. Pochłonięty był jedną z tych debilnych gier: po ekranie komputera paradował mały zielony ludzik.

Samantha uśmiechnęła się pod nosem. Mężczyźni, pomyślała z rozczuleniem. Przysunęła się bliżej.

ZABIJ. Wyraz przeleciał przez ekran tak szybko, że prawie go nie zauważyła. Zaraz potem znów się pojawił mały zielony ludzik.

BARNES. Tym razem na ekranie mignęło jej nazwisko. Samancie zaschło w ustach. Ręce miała mokre od potu, serce jej waliło.

- Marcus?

ZABIJ. BARNES. ZABIJ. BARNES. ZABIJ. BARNES.

Odwrócił się do niej. Miała wrażenie, że patrzy na obcego człowieka.

- Marcus! Ocknął się.

- Cześć, kotku. To co, porozumiałaś się z Tynanem? Z całej siły próbowała się skupić. Krew dudniła jej w skroniach, głowa pękała z bólu.

- Mar... Marcus? - wydukała wreszcie.

Przyglądał się jej cierpliwie, ale ze zdziwieniem w oczach.

- Słucham?

Zdała sobie sprawę, że nie widział tego napisu. Odetchnęła z ulgą, a zarazem poczuła niepokój.

- Wiesz, ja... - Wzięła głęboki oddech. - Chyba właśnie odkryłam odpowiedź na pytanie dlaczego. Chodzi ó komputer. Co kilka sekund pojawia się rozkaz, żebyś mnie zabił.

Przeniósł spojrzenie na ekran.

- Nie! - krzyknęła. - Odwróć wzrok! Wyłącz to!

- Samantha... - Popatrzył na nią zdziwiony.

- Widziałam. Migające słowa... jakby wiadomość skierowaną do podświadomości. „Zabij Barnes”. Wyłącz komputer.

- Już, nie denerwuj się. - Szybko spełnił jej prośbę. - Kochanie, jesteś podminowana. Widzisz nieistniejące rzeczy. Może mam nie po kolei w głowie, ale na wzrok nie mogę narzekać. Codziennie, odkąd tu przyjechaliśmy, wchodzę na umówioną stronę i jeszcze ani razu nie widziałem tych słów.

- Marcus...

- Słuchaj, doceniam to, co próbujesz zrobić. Chcesz mnie uwolnić od poczucia winy. Ale to ja jestem odpowiedzialny za twoje wypadki.

- Ta strona... Baxter kazał ci ją sprawdzać? On dał ci komputer?

- Tak.

- Kiedy?

- Wtedy, kiedy polecił mi wywieźć cię z Waszyngtonu. Powiedział, że zarówno Koalicji, jak i Rebelii zależy na wyeliminowaniu cię z gry. I że z powodu przecieku u siebie w departamencie nie może ufać swoim podwładnym.

Przez chwilę Samantha intensywnie rozważała różne możliwości.

- Mówił o przecieku? G zdrajcy?

- Chyba nie myślisz, że on nim jest?

- Wyznaczył cię do mojej ochrony. Kazał wywieźć mnie z miasta. Dał ci laptopa. Polecił codziennie sprawdzać stronę, na której pojawia się rozkaz zabicia mnie. Moim zdaniem, czyni go to głównym podejrzanym.

- Ostrożnie, kotku. Mówisz tak, jakbyś sama miała nie po kolei w głowie - oświadczył, marszcząc z namysłem czoło.

- Może. Ale uważam, że powinniśmy zostać tu, dopóki Matt nie wróci do Waszyngtonu.

- Wykluczone. Przecież próbowałem cię zabić.

- To Baxter próbuje, nie ty. Ty jesteś tylko jego bezwolnym narzędziem.

- To ma mi poprawić humor?

- Marcus, nie możemy wracać, dopóki Baxter nie zostanie zatrzymany.

- Nonsens. - Był coraz bardziej zły. - To ja jestem winowajcą. Nie jesteś ze mną bezpieczna.

- Ty przynajmniej chcesz mnie chronić.

- Tak. Wtedy kiedy nie słyszę głosów. Posłuchaj, w prawdziwej walce na pięści bronilibym cię do upadłego. Ale jakieś gierki psychiczne... - W jego oczach malowała się rozpacz. - W walce na intelekty poległbym z kretesem.

Wspominał wcześniej, że w szkole nie był orłem. Wiedziała, że żąda od niego zbyt wiele. Ale gdyby mu uległa i zgodziła się na powrót do Waszyngtonu, zostałaby zdegradowany i okryty hańbą. A ona pewnie nie uszłaby z życiem.

- Tu nie chodzi o iloraz inteligencji czy stopnie na świadectwie. Chodzi o siłę woli. O rozsądek. O honor. Dwa dni, Marcus. Za dwa dni Matt wróci. On będzie wiedział, jak sobie poradzić z Baxterem. A my zastanowimy się, co począć z tobą. Może dobry psychiatra mógłby...

- Nie chcę żadnych psychiatrów - zaproponował.

- Dlaczego? Może to jedyny sposób, żeby...

- Żeby mnie naprawić? Oblała się rumieńcem.

- Jesteś... nie wiem, jak to ująć... podatny na jakąś sugestię psychiczną. Doświadczony psychiatra potrafiłby cię od niej uwolnić.

- Wizyta u psychiatry mogłaby zniszczyć moją karierę.

Oznaczałaby, że jestem niezrównoważony, niezdolny do...

- A sądzisz, że będziesz mógł pracować, jeśli pójdziesz do swojego dowódcy i wyznasz mu, że od czasu do czasu nachodzi cię pokusa, aby mnie ukatrupić?

Oczywiście ma rację. Mimo to burknął gniewnie:

- Nie chcę, żeby ktokolwiek gmerał w mojej głowie. Żal jej było biedaka.

- Ktoś już to zrobił - zauważyła łagodnie. - Teraz trzeba naprawić szkody, jakie wyrządził.

- Nie popuścisz, prawda? - Uśmiechnął się krzywo.

- A jeśli psychiatra wyciągnie ze mnie więcej, niż sam chcę wiedzieć?

- To znaczy?

- Tu nie chodzi o kilka ostatnich dni, kotku. Nie zapominaj, że mam w pamięci dziesięcioletnią lukę. Wcale nie jestem pewien, czy chcę poznać swoją przeszłość.

Zacisnęła ręce na jego silnych, opalonych dłoniach. Na dłoniach, które same z siebie nigdy by jej nie skrzywdziły.

- Tamte lata też składają się na to, kim dzisiaj jesteś - rzekła łagodnie. A w myślach dodała: na człowieka, którego kocham. - Nie przypuszczam, abyś musiał się ich obawiać.

Próbowała sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy zamiast wspomnień z dzieciństwa człowiek ma w głowie pustkę.

Ona była osobą wyjątkowo samotną. Nie miała męża, dzieci, braci, sióstr. Ojciec zmarł, kiedy jeszcze studiowała, matka mieszkała na drugim końcu świata. Lecz w przeciwieństwie do Marcusa miała mnóstwo wspomnień, zarówno dobrych, jak i złych, które wzbogacały jej życie. I pomagały dokonywać wyborów. Jak by na to nie patrzeć, przeszłość wpływa na teraźniejszość, na rodzaj podejmowanych przez nas decyzji, na nasze plany i dążenia.

Jak funkcjonuje człowiek, który jest tego pozbawiony?

Podejrzewam, że musiałem zrobić coś strasznego, żeby wyrzucić z pamięci całe dzieciństwo.

- Naprawdę nic nie pamiętasz?

- Naprawdę. Czasem... - Na chwilę urwał. – Kiedy byłem małym chłopcem, czasem udawałem, że mam siostrę. Nie Honey. Bardzo kocham Honey, ale udawałem, że mam siostrę w moim wieku. Ładną, mądrą, która nigdy się ze mnie nie wyśmiewa. Czasem mi się śni, wiesz? - Wzruszył ramionami. - Żałosne, prawda?

- A może wcale jej nie wymyśliłeś? Może ona naprawdę istnieje? Może kiedyś ją odnajdziesz?

- Może - przyznał, ale widać było, że nie wierzy w taką możliwość. - Właściwie to już przywykłem do samotności.

- A nie było ci trudno, kiedy wstąpiłeś do Navy SEALs? Czuć się częścią zespołu?

Uśmiechnął się.

- To takie babskie pytanie. Ale nie. Nie było. Od początku wiedziałem, że tam jest moje miejsce. Zresztą, siedząc w małej ciasnej łódce z sześcioma innymi facetami, człowiek szybko przyzwyczaja się do towarzystwa.

- Do mojego też się przyzwyczaisz. Jedziemy na jednym wózku.

- Przez najbliższe dwa dni.

Tak, przez dwa dni. Potem ona wróci do pracy, której poświęciła się po śmierci męża, a on do swoich zajęć i życia, które kocha.

- Jeżeli tu zostaniemy, zrobisz coś dla mnie? - spytał nagle.

- Cokolwiek zechcesz - obiecała.

Uwolnił ręce z jej uścisku, po czym sięgnął za siebie i wyciągnął pistolet. Samantha cofnęła się z obrzydzeniem, jakby podtykał jej pod nos węża albo skorpiona.

- Nie chcę - zaprotestowała.

- Musisz mieć coś do obrony.

- Mam. Ciebie.

- Nie. Coś do obrony przede mną.

- Nie umiem strzelać.

- Wystarczy pociągnąć za spust.

- Nie trafię.

- Kobiety lepiej strzelają niż mężczyźni. Z bliskiej odległości na pewno nie spudłujesz.

- Nie chcę do ciebie strzelać!

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała. - Wsunął pistolet do jej dłoni. - Jeszcze jedno.

Czekała w napięciu, bojąc się tego, co usłyszy. Nie spuszczając
oczu z jej twarzy, rzekł wolno i dobitnie:

- Celuj tak, żeby mnie zabić. W przeciwnym razie sama zginiesz.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Czuł potworny ucisk w klatce piersiowej, krew dudniła mu w skroniach. Nie czyniąc najmniejszego hałasu, szedł po ciemnej, wietrznej plaży. Fale grzmiały, zalewały piach. Wciąż miał na sobie zimny kombinezon piankowy, ale pot spływał mu po plecach, kapał do oczu. Coś było nie tak z jego wzrokiem. Nawet w goglach dostrzegał przedmioty najwyżej na odległość dwóch metrów. Nie widział swoich kolegów, swojej jednostki.

Instynkt, który nigdy dotąd go nie zawiódł, mówił mu, że dzieje się coś bardzo złego. Wróg wyrósł jak spod ziemi.

Chciał zadać cios, ale nie był w stanie unieść ramion. Ciało nie reagowało na polecenia wysyłane przez mózg. Zaraz umrze!

Marcus obudził się zdyszany. Ręce miał zaciśnięte na szyi Samantha. Przeklinając siarczyście, przetoczył się na drugi koniec materaca. Tym razem budzenie się było gorsze od koszmaru, który mu się śnił. Nie mógł się uspokoić. Kłął, dygotał z nerwów, raz po raz wzywał imię Boga.

- O Chryste! O Boże! O Jezu! Samantho, nic ci nie jest?

Oparła się na łokciu. Rude loki opadły jej na ramiona. Twarz miała bladą, oczy wielkie i wystraszone.

Płakała. Ale żyje. Ślady pozostawione przez łyzy lśniły srebrzyście w wpadającym przez okno blasku księżyca.

Chciał umrzeć. Nie. Chciał chwycić Samanthę w ramiona, przytulić do piersi, a przy okazji upewnić się, że nie wyrządził jej

krzywdy. Ale nie ma prawa jej pocieszać, nie ma prawa dotykać. Jest kretynem, świrem, którego należy...

Przysunęła się i sama padła mu w ramiona. Trzymał ją mocno, jakby bał się, że mu ucieknie. Szeptał jej do ucha kojące słowa, całował ją po włosach, drżącą ręką gładził po plecach.

- Nie bój się, już wszystko dobrze. Nie zrobię ci nic złego, przysięgam.

Wciąż płakała. Obsypywał ją pocałunkami i marzył o tym, by strzelił w niego piorun, bo tacy durnie nie zasługują na to, żeby żyć.

- Na miłość boską, dlaczego do mnie nie strzeliłaś? Zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Nie... nie dałam rady - bąknęła.

Rozejrzał się. Pistolet leżał w zasięgu jej ręki, na szafce nocnej. Gdyby chciała, dałaby radę. Więc chyba nie chciała.

Zresztą czego się spodziewał? Samantha jest rozsądna, inteligentna, pomysłowa, ale nigdy w życiu nie pokonałaby wyszkolonego, gotowego do walki komandosa. Powinien był o tym wiedzieć, wręczając jej broń.

- Już dobrze — szepnął, gładząc ją po włosach. - Wszystko będzie dobrze.

Co jest wierutnym kłamstwem, ale w tym momencie Samantha potrzebuje tego typu zapewnień.

Trzymał ją, dopóki nie przestała dygotać. Dopóki noga nie zdrętwiała mu pod jej ciężarem. Potem przewróciła się na drugi bok i westchnęła głośno. Zacisnął zęby. Jej pośladki wpijały się w jego

brzuch. Powtarzał sobie, że jest nie tylko świrem, ale i zbrojeńcem, skoro się podnieca jej bliskością, podczas gdy ona szuka jedynie pocieszenia. Samokrytyka nie przyniosła żadnego skutku. Samantha ponownie zmieniła pozycję. Teraz stykali się brzuchami. Czy zrobiła to specjalnie? Świadomie? Nie, niemożliwe. Przecież nie...

Zacząła całować go po szyi. Więc jednak specjalnie.

- Samantho. - Wciągnął gwałtownie powietrze. - Nie możemy - szepnął ochryple. - Nie teraz.

Odsunęła się.

- Chcesz pogadać o tym, co się stało?

- Nie. - Była to ostatnia rzecz, jakiej chciał. - Musimy ruszać w drogę. Jak tylko będziesz gotowa.

- Dokąd?

Nie odpowiedział wprost.

- Rozmawiałem z Jimmym. Powiedział, że będzie na nas czekał. Tylko muszę mu podać godzinę.

- Dokąd, Marcus? - powtórzyła Samantha.

- Jimmy zajmie się tobą, dopóki nie wróci Matt.

- Ale...

Wiedział, co Samantha powie: że jest środek nocy, że wciąż grozi jej niebezpieczeństwo, że on naraża swoją karierę.

Wszystko się zgadza, ale nie ma znaczenia. Liczy się Jeden przerażający fakt: że on, Marcus Evans, gołymi rękami omal nie zabił Samanthę, kiedy spała obok niego. Wzdrygnął się.

- Żadnych ale - rzekł stanowczo. - Decyzja zapadła. Sama widziałaś, że usiłowałem cię zabić. Nie mogę więcej narażać twojego życia.

I dlatego dwadzieścia minut później, zamiast się kochać do szaleństwa, wyszli do samochodu. Marcus zapakował torby do bagażnika, po czym podłączył w silniku coś, co wcześniej rozmontował. Upewniwszy się, że Samantha siedzi wygodnie, zatrzęsął drzwiami, po czym okrążył wóz i zajął miejsce przy kierownicy. Wtedy po raz pierwszy uznała, że ten facet naprawdę jest świrnięty.

Po śmierci Stana Samantha starała się unikać wszelkich intensywnych uczuć. Przez trzynaście miesięcy żyła jakby w kokonie. Była miła, uprzejma, ale ludzi trzymała na dystans, a cały swój wolny czas poświęcała pracy.

Wyjrzała przez okno. Za szybą przetaczał się szary płaski krajobraz, nisko nad horyzontem wisiały chmury podszyte złocistą czerwienią. Wystarczyło zaledwie kilka dni w towarzystwie Marcusa, aby mur, którym się otaczała, pękł. Wszystko do niej docierało z nową siłą.

Na przykład ból.

Zerknęła na ręce Marcusa ściskające kierownicę. Mocne, opalone, o długich palcach. Ręce, które ją pieściły, dotykały czule. Ręce, które oplotły jej szyję i zaczęły ją dusić.

Przełknęła ślinę. Gardło wciąż miała obolałe. Zdała sobie sprawę, że z sińcami na szyi niełatwo jej będzie uzyskać pomoc Matta. Będzie chciał wiedzieć, kto ją tak urządził.

Wyobraziła sobie ich rozmowę, a raczej jej wyjaśnienia: Tak, Marcus mnie porwał, ale wydawało mu się, że wypełnia polecenie przełożonego. Tak, zastawiał na mnie różne pułapki, ale za każdym razem mnie ratował. Reaguje na rozkazy czy też impulsy wysyłane drogą komputerową i działające na jego podświadomość, ale tak naprawdę nie jest wariatem.

Boże kochany! Jak to wszystko przyjmie trzeźwo myślący, cyniczny Matt? Ona sama głęboko wierzyła, że Marcus jest człowiekiem dobrym, honorowym, zdrowym na umyśle. Musi teraz przekonać o tym Matta. A także Marcusa.

W odsuniętych od szosy domach powoli zapalały się światła. Coraz częściej zamiast farmerów w ciężarówkach i zakurzonych furgonetkach mijali po drodze ludzie śpieszących do pracy na pierwszą zmianę oraz turystów chcących dotrzeć do stolicy przed porannym szczytem. Obserwując wyłaniające się w oddali miasto, Samantha zastanawiała się, o której ląduje samolot Matta.

- Prawie jesteśmy na miejscu. - Marcus przerwał ciszę.

- Czyli?

Znajdowali się wiele kilometrów od hotelu Samanthy w Georgetown oraz od szpitala wojskowego w Bathesdzie. Marcus bez słowa skręcił w Memorial Drive i skierował się w stronę cmentarza w Arlington. O tak wczesnej porze brama prowadząca na parking

jeszcze była zamknięta. Ale przed bramą na poboczu stał jakiś samochód. Kiedy Marcus zatrzymał się, prawe tylne drzwi się otworzyły i ze środka wysiadł Jimmy Robinson. Poruszał się o kulach.

Uświadomiła sobie, że Marcus nie powierzy jej opiece człowieka, który nie jest w pełni sprawny. A zatem przypuszczalnie wybierze się z nią na spotkanie z Mattem. To zaś by znaczyło, że nie wykona żadnego głupiego kroku,- który mógłby zniszczyć jego karierę.

Kiedy już tylko trzy metry dzieliły ich od samochodu, którym przyjechał Jimmy, otworzyły się drzwi od strony kierowcy, a po chwili lewe tylne drzwi. Oczom Samantha ukazał się dwaj wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni ubrani po cywilnemu, lecz ostrzyżeni na jeża, w stylu wojskowym.

Marcus dokonał uroczystej prezentacji, jakby stopnie i nazwiska miały teraz jakiegokolwiek znaczenie.

- Samantha, przedstawiam ci naszego medyka, podporucznika Davida Skillmana, zwanego Slickiem.

Samantha uścisnęła dłoń młodego blondyna o przyjaznym uśmiechu i czujnym spojrzeniu, który śmiało mógłby się ubiegać o stanowisko starosty roku na uniwersytecie albo tytuł najseksowniejszego lekarza w mieście.

- Oraz Buzza Waltersa, naszego specja od ładunków wybuchowych.

Wyszczerywszy zęby, Walters zacisnął wielkie łapsko na szczupłej dłoni Samantha.

- Jamesa Robinsona już poznałaś. - Marcus skinął głową na trzeciego mężczyznę.

- Miło mi panią znów widzieć - rzekł drobny Murzyn.

- Czyli zostawiam cię w dobrych rękach - dokończył Marcus, unikając jej wzroku.

No pięknie, pomyślała. O czwartej rano pośpiesznie wciągnęła na siebie wczorajszy strój: ciasne džinsy, które uwierały ją w obtarte do krwi kolano, i skąpą bluzeczkę z napisem „Jestem twoja”, która odsłaniała jej posiniaczoną szyję. Gdyby wiedziała, że znajdzie się pod eskortą wojaków, ubrałaby się inaczej. Z drugiej strony... To Marcus ją poganiał, to on wybrał bluzkę. Jego koledzy, jego sprawa.

- A ty? - spytała z niepokojem w głosie.

David Skillman przyjrzał się jej uważnie, potem przeniósł wzrok na Marcusa. Ten odciągnął ją na bok, żeby mogli chwilę porozmawiać bez świadków.

- Nie mam wyboru, Sam - rzekł cicho.

- Masz.

- Nie, nie mam. Stanowię zagrożenie dla siebie i innych.

Zamierzam się zgłosić do Little Creek.

W Little Creek w Wirginii znajdowała się baza wod-no-łądowa marynarki Stanów Zjednoczonych.

Samanthę ogarnęła rozpacz. Chciała przytulić się do Marcusa, błagać go, by tego nie robił. Ale nie mogła, nie na oczach jego kolegów.

- Proszę cię, Marcus, jeszcze zdążysz. Poczekaj, aż zobaczę się z Mattem.

- Muszę porozmawiać ze swoim dowódcą.

- A jeśli cię aresztuje?

- Wtedy przynajmniej będę mógł spać bez obawy, że w nocy zacznę kogoś dusić.

- Marcus, przestań! Nie wygłupiaj się. Uśmiechnął się, ale z jego oczu wycierał ból.

- Do widzenia, pani ambasador.

Ich było czterech, ona jedna. Wiedziała, że nie zmusi Marcusa, aby zrezygnował z pomysłu udania się do Little Creek i pojechał z nimi do Waszyngtonu.

Ale może mu utrudnić rozstanie. Odwróciwszy się, zarzuciła mu ramiona na szyję i przyłgnawszy do niego całym ciałem, wpiła się ustami w jego usta. Nie był to niewinny buziak na pożegnanie, lecz namiętny pocałunek oznaczający miłość.

O dziwo, Marcus nie spieszył się. Odwzajemnił pocałunek z równą namiętnością. Kiedy ją puścił, ledwo była w stanie utrzymać się na nogach. James Robinson spuścił wzrok. Buzz Walters przeciwnie, wytrzeszczył oczy i gapił się, aż Skillman dał mu kuksańca w bok.

- Nie rezygnuj, walcz - szepnęła Samantha do Marcusa. - Nie waż się poddawać.

Bez słowa wrócił do samochodu.

Samantha wpatrywała się w światła oddalającego się wozu, dopóki łzy nie zamgłyły jej wzroku.

Rozmowa z dowódcą miała całkiem inny przebieg, niż się spodziewał. Siedział w wygodnym fotelu w klimatyzowanym gabinecie, do którego przez szpary w żaluzjach wpadały jasne promienie słońca, i oczekiwał potem. Sto razy bardziej wolałby płynąć na małej gumowej tratwie, którą fale rzucają na skały lub, czołgając się po ziemi, uciekać przed gradem kul.

Dowódca Greg Woods był wysokim, chudym, łysym mężczyzną o żywotnym umyśle i pokerowej twarzy. Nie zaprzyjaźniał się z ludźmi, którymi dowodził. Po pierwsze, miał żonę, co znacznie ograniczało czas, jaki mógł spędzać z chłopakami w barze. A po drugie, traktował swoje obowiązki niezwykle poważnie, co nie wszystkim się podobało. Marcus jednak darzył Woodsa ogromnym szacunkiem. I podczas misji dobrze się czuł w jego towarzystwie. Dziś czuł się bardzo spięty.

- Czyli twierdzi pan, poruczniku, że nie kontroluje swoich poczynań? - Woods mówił wolno, jak profesor podsumowujący wykład na użytek niegrzeszących inteligencją studentów.

- Tak, panie komendancie.

- Wobec tego domyśla się pan, jakie muszę podjąć kroki?

Areszt. Badanie psychiatryczne. Wydalenie z wojska. Lub jeszcze gorzej. Jaka jest kara za usiłowanie zabójstwa ambasadora Stanów Zjednoczonych?

- Tak, panie komendancie. Dlatego tu jestem. Następna wypowiedź Woodsa całkiem go zaskoczyła.

- Miałem dziś rano telefon od ambasador Barnes. Marcus wyprostował się w fotelu.

- Pani ambasador dała mi jasno do zrozumienia, że towarzyszyła panu z własnej nieprzymuszonej woli, że nie ma żadnych zastrzeżeń do pańskiego postępowania, ma natomiast pełne zaufanie do pańskich kompetencji.

- Ale...

Spojrzenie Woodsa wystarczyło, żeby zamilkł.

- Jednakże mimo pańskich wpływowych przyjaciół i nienagannej dotychczas opinii nie mogę przymknąć oczu na fakt, że świadomie złamał pan prawo i wyniósł z terenu bazy przedmioty będące własnością marynarki. Wie pan, o czym mówię?

- Obawiam się, że nie, panie komendancie.

- Jako ochroniarz towarzyszył pan pani Barnes podczas jej urlopu. Przyznał się pan, że zabrał z sobą broń oraz kamery. Kradzież rzeczy należących do wojska jest przestępstwem. Mogę pana zawiesić w obowiązkach i wydać panu trzydziestodniowy zakaz opuszczania bazy, dopóki się sprawa nie wyjaśni. Rozumiemy się, marynarzu?

Marcus nie wierzył własnym uszom. Był wdzięczny, oszołomiony, a jednocześnie przerażony. Ma szansę kontynuować karierę w marynarce. To, co komendant zaproponował, świadczy o zaufaniu, jakim darzy młodszego oficera.

Ale póki on, Marcus, przebywa na wolności, póty życie Samantha znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Tak, panie komendancie. Ale...

- Nie chcę słuchać żadnych sprzeciwów, poruczniku.

- Mam tylko jedną prośbę. Czy mógłby pan postawić strażnika przy moich drzwiach?

Woods zmrużył oczy. Po chwili namysłu skinął głową.

- Dobrze, wydam polecenie Garcii i Jacobsowi. -A kiedy Marcus był już prawie za drzwiami, mruknął cicho: — Miejmy nadzieję, że im się nie wymkniesz.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Dzięki Bogu, że już po wszystkim! Dochodzący zza drzwi głos zbudził Samanthę, która smacznie spała na skórzanej kanapie. Kilka godzin temu prośbą, wdziękiem i groźbą przekonała portiera, aby wpuścił ją oraz towarzyszących jej mężczyzn do kawalerskiego mieszkania Matta.

- Niech pan sprawdzi, figuruję na stałej liście gości pana Tynana.
- Na szczęście była to prawda. - Przysięgam, że nie mam żadnych zakusów na jego sprzęt grający. Ani - dodała, pamiętając, że jej przyjaciel cieszy się opinią playboya - na jego ciało.

Co również pokrywało się z prawdą. Ale dźwięki docierające z przedpokoju wskazywały na to, że ktoś takie zakusy chyba miał. Hałas. Upuszczona walizka? Czy może but?

Podciągnąwszy się do pozycji siedzącej, Samantha popatrzyła pytająco na Skillmana i Waltersa. Boże, spraw, żeby to była walizka.

- A mnie się podobała twoja rodzina. Wszyscy razem i każdy z osobna. - Głos kobiety brzmiał sympatycznie i figlarnie.

- Ja też ich lubię - odrzekł Matt. - Ale wreszcie mam cię dla siebie. Przez ostatnie trzy dni myślałem o tym, co ci zrobię, jak będziemy sami.

Dwaj komandosi wymienili spojrzenia. Samanthę ogarnęło rozbawienie. Po jej dzisiejszym popisie, kiedy na oczach wszystkich rzuciła się na Marcusa i zaczęła go całować, biedacy będą mieli

całkiem wypaczone wyobrażenie o stolicy. Waszyngton jako miasto rozpusty? Tylko tego brakowało!

Wstała z kanapy i obciągnęła bluzkę, żeby zasłonić pępek, po czym wyszła do przedpokoju, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Jej serdeczny przyjaciel i jakieś śliczne młode dziewczę stali czule objęci; ona gładziła jego włosy, on jej biodra. Samantha odchrząknęła.

- Obawiam się, że nie jesteście sami.

Matt z wprawą odsunął narzeczoną za siebie, by mogła zapiąć kilka rozpiętych guzików.

- Księżniczko! - zawołał. Mimo serdecznego uśmiechu oraz użycia jej dawnego przezwiska nie zdołał ukryć faktu, iż wolałby być teraz z narzeczoną w łóżku, niż przyjmować nieproszonych gości.

- Cześć, zbóju. - Samantha uśmiechnęła się przeprasząco.

Potargał ją po włosach.

- Miałaś być w... No właśnie, gdzieś się podziewała? Philip nie chciał mi nic zdradzić.

Samantha popatrzyła nad jego ramieniem na ładną brunetkę, która chowała bluzkę do džinsów. To przypuszczalnie Carey, wybranka Matta. Czy dobrze ją znał? Czy można jej ufać?

Matt obrócił się i obejmując dziewczynę w pasie, przyciągnął ją do siebie.

- To jest Carey Benton - rzekł z nieskrywaną dumą w głosie. - Carey, przedstawiam ci Samanthę Barnes.

- Cieszę się, że mogę panią wreszcie poznać. - Samantha wysunęła na powitanie dłoń. - Przykro mi, Matt, że nie widzieliśmy się na kolacji w Białym Domu, ale... postanowiłam zrobić sobie krótki urlop.

- Słusznie! Należała ci się przerwa. Wyglądasz... -Urwał i po raz pierwszy, odkąd zaczęli rozmawiać, przyjrzał się jej badawczo. - Wyglądasz, księżniczko, okropnie.

- To bluzka Honey - oznajmiła nagle Carey, a gdy Matt uniósł zdziwiony brwi, dodała: - To znaczy moja kumpelka ma identyczną.

Samantha poczuła, jak powoli opuszcza ją napięcie.

- Honey Evans? - spytała.

- Tak. Pracuje w Białym Domu. Pani ją zna?

- Nie, ale znam jej brata. To trochę skomplikowane - rzekła Samantha, zwracając się do Matta.

Zerknął w stronę drzwi do pokoju, w których pojawili się dwaj komandosi ochroniarze. Samantha dokonała prezentacji.

- Podporucznik David Skillman, Buzz Walters, Carey Benton oraz doradca prezydenta Matt Tynan. To właśnie z nim chciałam się zobaczyć.

W tym momencie Carey uczyniła coś, czym zaskarbiła sobie dozą sympatii Samanthy. Uśmiechając się słodko, powiedziała:

- Panowie, miło mi was poznać. Proponuję, żebyśmy przeszli do kuchni i poszukali czegoś dobrego w lodówce. A tych dwoje niech sobie spokojnie porozmawia.

- Baxter jest na urlopie - powiedział Matt, odkładając słuchawkę.

- Nie wydaje ci się to podejrzane? - spytała Samantha.
- Nie. W końcu ja też wyjechałem na weekend. I ty.
- Ja? Ja zostałam porwana przez uczciwego człowieka, który ilekroć włączał komputer, otrzymywał działający na podświadomość rozkaz, żeby mnie zabić.

Matt westchnął.

- Sam, posłuchaj. - Mówił tonem, którego nienawidziła. Tonem człowieka rozsądnego, rozmawiającego z szaleńcem. - Nie przyszło ci do głowy, że ten Evans cierpi na stres pourazowy? Wspomniałaś, że miesiąc temu wrócił z misji w Zatoce Perskiej. Nie twierdzę, że coś z nim jest nie tak, tylko że może potrzebuje innego rodzaju pomocy.

- Wiem, sama się nad tym zastanawiałam - przyznała.

Wiedziała, że istnieje związek pomiędzy stresem towarzyszącym żołnierzom w czasie działań wojennych a późniejszą przemocą w domu. U Marcusa dochodziła jeszcze dziwna amnezja oraz niepokojące koszmary nocne.

- Ale jeśli on ma kuku na muniu, to ja też - dodała po namyśle. - Pamiętasz, mówiłam ci o tej stronie, którą Baxter kazał mu sprawdzić. Pojawiał się na niej napis: „Zabij Barnes”. Jestem tego pewna. Sama widziałam.

- Więc dlaczego Evans tego nie widział?

- Nie wiem! - warknęła sfrustrowana. - Może ktoś go zahipnotyzował albo co.

Matt poderwał raptownie głowę.

- Powtórz.

- Co?

- Uważasz, że ktoś mógł poddać Evansa hipnozie?

- Nie mam pojęcia. Ale inaczej dlaczego by wielokrotnie odznaczany, miłujący ojczyznę komandos z Navy SEALs narażał swoją karierę, mówiąc, że coś mu każe zabić ambasadora Stanów Zjednoczonych?

Matt potarł z zadumą brodę.

- Jesteś pewna, że nikt w jego rodzinie nie cierpi na zaburzenia psychiczne?

Zawahała się. Chciała przedstawić Marcusa w jak najlepszym i najbardziej obiektywnym świetle. Dlatego nie przyznała się, że z przystojnym porucznikiem łączy ją tak zażyła znajomość.

Z drugiej strony, skoro wierzyła w niewinność Marcusa, nie powinna niczego przed Mattem ukrywać.

- Marcus ma... drobny problem z pamięcią. Nie pamięta pierwszych lat życia. Jego adopcyjny ojciec twierdzi, że to pewnie na skutek przeżytej w dzieciństwie traumy.

- Jakiej?

- Chodzi o jakiś wypadek samochodowy. Marcus miał wtedy dziesięć lat.

- To by pasowało... Mój Boże, i jeszcze hipnoza... Carey! - krzyknął w kierunku kuchni.

- Matt, co się dzieje? - spytała Samantha.

- Dokładnie to samo powiedzieli Jake'owi Ingramowi jego adopcyjni rodzice. Carey!

Samantha siedziała zdezorientowana. Jake Ingram?

Zna Jake'a Ingrama. Ale co on ma wspólnego z tym wszystkim?
Co ma wspólnego z Marcusem?

- Kim, do diabła, jest Jake Ingram? - spytał Marcus.

Robił pompki - sto na lewej ręce, sto na prawej, potem sto z nogami opartymi na stołku. Jacobs i żółtodziób o imieniu Weasel liczyli. Garcia zorganizował zakłady; obaj z Jacobsem spodziewali się, że wpadnie im do portfela ładna sumka. Należy się chłopakom, pomyślał Marcus; w końcu jak się idzie do wojska, to nie po to, żeby bawić się w babysitterkę. Poza tym ćwiczenia fizyczne jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

Ale frustracji nie zdołały zlikwidować. Ani tęsknoty za Samantha. Brakowało mu jej ciepła, rozsądku, wyrozumiałości i cudownie wijącego się pod nim ciała.

- Siedemdziesiąt osiem, siedemdziesiąt dziewięć.

- Ingram? - Garcia wzruszył ramionami. - To jakaś gruba ryba. Finansista czy ktoś w tym rodzaju. Mówił dowódcy, że jest znajomym Samantha Barnes.

Marcus miał w pokoju telewizor. Oglądał CNN. Wiedział, że Samantha została zaprzysiężona przez prezydenta i że jutro ma lecieć do Europy, aby z Euro-Atlantycką Radą omówić znaczenie porozumienia z Delmonico. Ktoś taki jak ona naprawdę nie potrzebuje w swym życiu świra, którego kariera w marynarce wisi na włosku i który kiedyś znów może chcieć się zabawić w mordercę. Dlatego od

pięciu dni nie odbierał od niej telefonów i nie wyszedł z pokoju, gdy przyjechała się z nim zobaczyć.

I co? Teraz przysłała Ingrama?

- Osiemdziesiąt cztery, osiemdziesiąt pięć...

- Facet jest prawnikiem? - spytał Marcus, starając się nie myśleć o zmęczeniu.

- Nie. - Garcia oparł się o szafkę. - Czytałem w gazecie, że pomaga FBI w rozwikłaniu kradzieży w Banku Światowym.

Marcus ponownie opuścił się na podłogę.

- Czego może chcieć ode mnie?

- Diabli wiedzą - odparł Jacobs, przerywając liczenie. - Ale gość śmierdzi forszą. Może jest twoim dawno zaginionym bratem i chce ci zostawić w spadku majątek?

- Stary, nie gadaj tyle, tylko licz - wtrącił się Weasel. - Jak znam życie, pewnie już się pomyliłeś...

- Może on, ale ja nie - powiedział Marcus. - Dziewięćdziesiąt jeden.

- Dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt trzy - kontynuował Jacobs.

- Nawet trochę cię przypomina - rzekł Garcia.

- Też jest taki spocony?

- Komendant radzi, żebyś z nim pogadał. Marcus zadumał się. Ma wobec komendanta dług wdzięczności, więc...

- Gdzie on jest? Ten Ingram? - spytał w końcu.

- Czeka w holu. - Garcia uśmiechnął się. - Razem ze swoimi goryłami.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć, sto! - zawołał triumfalnie Jacobs. - Sam widziałeś, Weasel. Powiedz chłopakom, żeby szykowali forszę.

Marcus opuścił nogi na podłogę.

- Po co bankierowi goryle, kiedy przychodzi do bazy wojskowej?

- Nie jest bankierem. Jest jakimś geniuszem od spraw finansowych, którego FBI poprosiło o pomoc. Jeden z facetów, którzy z nim przyszli, to agent federalny.

Marcus ściągnął koszulkę i wytarł nią pot.

- Ja mu na pewno nie pomogę. Z matmy zawsze miałem słabą tróję.

- Mam go odesłać z kwitkiem?

Marcus wyciągnął z szafki czystą koszulkę, szarą, z dużym nadrukiem: „Własność Marynarki Stanów Zjednoczonych”. Przypomniał sobie Samanthę w identycznej; leżała na łóżku, roześmiana, ponętna. „Mogę ci zdjąć koszulkę? No dobrze... w imię sprawiedliwości”.

- Czy mam go odesłać z kwitkiem? - powtórzył Garcia.

- Słucham? Nie, nie, w porządku. - Jeszcze Garcia pomyśli, że on, Marcus, traci słuch. Albo rozum. - Pogadam z nim.

Skinąwszy głową, Garcia otworzył drzwi.

- Panowie, zapraszam.

Weszło ich trzech: Jake Ingram, agent i ochroniarz. Jacobs wstał, Weasel poderwał się z podłogi. Chwilę trwało, zanim się wszyscy sobie przedstawili. Wreszcie Marcus z Ingramem zostali sami.

Czy byli podobni? Może. Czarne włosy, niebieskie oczy, wiek trzydzieści kilka lat. Jake może kilka lat starszy. Marcus lepiej umięśniony, Jake ze dwa centymetry wyższy. No i zdecydowanie bardziej elegancko ubrany. Przez chwilę mierzyli się w milczeniu wzrokiem, po czym Marcus uściśnął dłoń swego tajemniczego gościa.

- Usiądzie pan? - Wskazał jedno z dwóch krzeseł.

- Chętnie - odparł Jake, siadając na bliższym. Marcus spoczął na krawędzi łóżka.

- Przepraszam, że musiał pan czekać.

- Mógłbym powiedzieć to samo. - Jake Ingram uśmiechnął się nieznacznie. - Kiedy Samantha dodzwoniła się do mnie, byłem w Arizonie.

Marcus nie zamierzał rozmawiać o Samancie z jakimś obcym facetem.

- W sprawie kradzieży w Banku Światowym?

- Nie. W sprawach osobistych... Wiesz, jesteś zupełnie inny, niż się spodziewałem - rzekł Jake Ingram, przechodząc na „ty”.

- Może mi jednak powiesz, czemu zawdzięczam tę wizytę?

- Czy słyszałeś o programie Proteusz?

Marcus poczuł, jak mięśnie mu się napinają. Wziął głęboki oddech, starając się spowolnić bicie serca.

- Może ci o nim opowiem - kontynuował Jake, nie czekając na odpowiedź. - Otóż w latach sześćdziesiątych naukowiec o nazwisku Henry Bloomfield chciał wyeliminować wady wrodzone u dzieci. Prowadził badania z dziedziny inżynierii genetycznej, odnosił spore sukcesy i w końcu postanowił stworzyć idealne ludzkie istoty. Ponieważ był poważnym, powszechnie szanowanym człowiekiem, dostał na ten cel pieniądze od CIA, a dokładnie od Meduzy, działu zajmującego się tego typu sprawami.

- No dobra. Szalony naukowiec marzy o produkcji superdzieci. Forsę dostaje od rządu. I co, udaje mu się?

- Tak. Sprawy przybrały jednak nieco inny obrót, niż początkowo zakładał. Bloomfield zakochał się w swojej młodej asystentce, niejkiej Violet. - W oczach Jake'a pojawił się wyraz żalu, może smutku. - Violet dwukrotnie zaszła w ciążę, była to ciąża mnoga, i dwukrotnie urodziła genetycznie zmodyfikowane dzieci. Niestety, inni naukowcy współpracujący z Henrym nie mieli ani jego zdolności, ani skrupułów. Z zimną krwią zamordowali Henry'ego, licząc na to, że chwała i korzyści przypadną w udziale wyłącznie im. Violet uciekła, zabierając ze sobą dzieci oraz notatki męża. Dzieci umieściła w kilku bezpiecznych miejscach. Rząd, nie chcąc, aby cokolwiek wyszło na jaw, zatuszował całą sprawę. Marcus skrzyżował ręce na piersi.

- Skoro sprawę zatuszowano, to skąd tyle o niej wiesz?

- Bo jestem jednym z dzieci, które urodziły się w ramach tego programu - odparł Jake. - Prawdopodobnie to mój brat, również

urodzony w wyniku eksperymentu Bloomfielda, dokonał kradzieży w Banku Światowym. Mam jeszcze siostrę Gretchen, która odcyfrowała wskazówki prowadzące do miejsca, gdzie Violet ukryła notatki Bloomfielda.

- Chryste! Chcesz powiedzieć, że facet zostawił instrukcje, jak stworzyć superludzi?

- Prowadził szczegółową dokumentację. Wszystko zapisywał na specjalnej taśmie. Odnalazłem te taśmy w sejfie bankowym w Bluewater w Arizonie. Obecnie Gretchen pracuje nad rozszyfrowaniem ich.

- No dobra, ale po co mi o tym wszystkim opowiadasz? Przez dłuższą chwilę Jake wpatrywał się w twarz Marcusa.

- Ponieważ ciebie również urodziła Violet.

- Nic z tego! - oburzył się Marcus. Całe życie chciał być normalny, akceptowany przez otoczenie. - To niemożliwe.

- Zasięgnąłem o tobie informacji. Rozmawiałem z Samantha Barnes. Twoja wyjątkowa tężyzna fizyczna, czas adopcji, brak pamięci, koszmary nocne... to wszystko się zgadza.

Marcusowi zakręciło się w głowie.

- Powiedziałeś... że masz siostrę?

- Obaj mamy siostrę - poprawił go Jake. - A nawet dwie. Jedna to doktor Gretchen Wagner Miller, słynna kryptolożka. Druga to Faith, ale jej jeszcze nie odnalazłem.

Marcus słuchał, lecz nie wierzył w ani jedno słowo. Mimo to musiał zadać pytanie; musiał wiedzieć, czy siostra, o której Jake mówi, przypomina dziewczynkę z jego snów.

- Czy któraś z nich jest drobną szatynką, bardzo inteligentną i dość apodyktyczną?

- Takiemu olbrzymowi jak ty pewnie wszystkie kobiety wydają się drobne. W każdym razie obie nasze siostry były wybitnie inteligentne. Przypuszczam jednak, że chodzi ci o Faith. Zawsze łączyła was niezwykła więź.

Obcy - bo jakoś trudno mu było myśleć o Jake'u jak o bracie - z taką swobodą opowiadał o eksperymentach genetycznych, o morderstwie i tuszowaniu niewygodnych spraw przez rząd, że Marcusowi włosy jeżyły się na głowie. Starając się ukryć niepokój, zwrócił się do Jake'a:

- Skoro jesteś produktem badań genetycznych, co takiego potrafisz, czego inni nie umieją? Chodzić po wodzie? Fruwać?

- Liczyć. Znam się na cyfrach.

- I to taka wyjątkowa zdolność?

W oczach gościa pojawił się błysk rozbawienia.

- Owszem. Jeśli się nimi potrafi tak operować jak ja. Marcus Uśmiechnął się w duchu.

- No dobrze, a inni?

- Gretchen, jak wspomniałem, jest wybitnym kryptologiem.

Faith, której wciąż szukam, chyba ma coś wspólnego z medycyną. Już

jako dziecko wykazywała zdolności w tym kierunku. Gideon, który przypuszczalnie stoi za kradzieżą, jest geniuszem technologicznym.

- W takim razie jestem nie tylko dziwolągiem, ale najgłupszym dziwolągiem w rodzinie.

Na twarzy Jake'a odmalowało się zdumienie.

- Jesteś obdarzony niemal nadludzką siłą. Marcus wstał i wsunął rękę do kieszeni.

- W dodatku mam nie po kolei w głowie.

- Dlaczego tak uważasz?

- Samantha ci nie mówiła? Próbowałem ją zabić. Kilkakrotnie.

Najpierw wpadła przeze mnie do studni, potem chciałem wysadzić w powietrze dom, a kiedy i to się nie udało, starałem się udusić ją gołymi rękami. Tak nie postępuje idealne dziecko, o jakim marzył nasz ojciec naukowiec, kiedy rozpoczął swoje badania.

- Te próby zabójstwa... to nie była twoja wina. Nie jesteś szalony. Działałeś pod wpływem hipnozy.

Marcus, który chodził tam i z powrotem po pokoju, stanął jak wryty.

- Możesz mi to wyjaśnić?

- Jako dziecko zostałeś poddany hipnozie, podobnie jak my wszyscy. Baxter to wykorzystał. Prawdę rzekłszy, nawet się dziwię, że tak dobrze się opierałeś. Naukowcy związani z Proteuszem najbardziej się zawsze lękali o ciebie. Podejrzewali, że na skutek ogromnej siły fizycznej możesz okazać się trudny do kontrolowania.

Dlatego postanowili wyposażyć nas wszystkich w... hm, jakby to nazwać... impulsy hipnotyczne.

- Czyli?

- Są to dziecięce rymowanki. Wierszyki. Każde z nas reaguje na inny. Kiedy go słyszymy, stajemy się bezwolni; robimy to, co nam się każe.

„Hektor Protektor strój nosił zielony...” Psiakrew!

- Innymi słowy słyszę wierszyk i zamieniam się w mordercę?

- Nie. Wierszyk nie sprawia, że zabijasz; sprawia, że reagujesz na polecenia.

Marcus zmarszczył z namysłem czoło.

- Kto wie o tych „impulsach”?

- Naukowcy. Przystąpili do Koalicji.

- Baxter twierdzi, że u niego w departamencie działa szpieg Koalicji.

- Owszem. To właśnie on, Baxter.

- Gdzie się obecnie podziewa?

- Nie wiem - przyznał smętnie Jake. - Zanim Samantha porozumiała się z Mattem, a Matt ze mną, Baxter zdążył zwać. Nie mamy już wątpliwości, że był na usługach i na liście płac Koalicji.

- Zatem Samancie wciąż grozi niebezpieczeństwo.

- Mniejsze niż przedtem.

- Bo mnie trzymają pod kluczem - oznajmił kwaśno Marcus.

- Nie. Dlatego, że w tym tygodniu Sam spotka się z Radą Euro-Atlantycką. Później jej zabójstwo niczego już nie zmieni. Teraz ty stanowisz bardziej łakomy kąsek dla Koalicji.

- Dlaczego?

- Możesz im się przydać. Póki reagujesz na wszczepiony impuls, mogą cię zmusić do wszystkiego. Podejrzewamy, że tak się właśnie stało z Gideonem.

Marcus usiłował przetrwać słowa Jake'a. Miałby spędzić resztę życia, bezwiednie wykonując polecenia przestępczej organizacji?

Absolutnie nie zamierza na to przystać.

- To co mam zrobić? Popęłnić harakiri?

- Potrafiłbyś? - spytał Jake.

- Czy potrafiłbym umrzeć dla ojczyzny? - Z odpowiedzią

Marcus nie miał najmniejszych trudności. Oczywiście, że żał byłoby mu tego, co by stracił, życia u boku Samantha, ale... - Tak.

Potrafiłbym.

Jake Ingram wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Na szczęście nie musisz.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Podobno czas leczy rany, a praca to świetny środek przeciwbólowy. Niestety, ani czas, ani praca nie były w stanie zaleczyć cierpiącego serca. Oraz rozstroju żołądka.

Samantha pociągnęła łyk herbaty. Wróciła z Brukseli z gratulacjami, z prośbą o podjęcie kolejnej inicjatywy dyplomatycznej i z bólem brzucha. Dziś rano przyniosła do biura paczkę lekkostrawnych krakersów, wczoraj zaś musiała poprosić jedną ze swoich pracownic, by przez jakiś czas nie używała perfum, albowiem ich zapach przyprawiał ją o zawrót głowy.

Philip Scott położył jej na biurku stos korespondencji i skrzywił się na widok tacy ze śniadaniem.

- Niczego pani nie tknęła.

Przytrzymując ramieniem słuchawkę przy uchu, Samantha pomachała do niego krakersem.

- Zaraz zjem. O psiakość, nakruszyłam na jutrzejszą listę gości... Tak, czekam - rzuciła do telefonu.

Philip przełożył listę gości na raporty dotyczące min przeciwpiechotnych.

- Mogę panią zastąpić przy telefonie - zaproponował.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Ale to rozmowa prywatna.

- Wciąż usiłuje się pani połączyć z porucznikiem Evansem?

- Nie, ja... Jake? - ucieszyła się, ale to był tylko jego głos nagrany na sekretarkę automatyczną.

Spojrzała na zegar stojący nad kominkiem. Piąta. Pora lunchu w Waszyngtonie. Gdzież on jest?

- Przepraszam... Dzwoni pani do Jake'a Ingrama?

- Tak. - Rozłączyła się. - Nie wiesz, gdzie...?

- Telefonował, kiedy była pani w Ministerstwie Handlu.

Zostawiłem wiadomość na pani biurku. Prosił, by przekazać, że wyjeżdża z narzeczoną do Teksasu, ale sytuacja pozostaje bez zmian.

- Bez zmian - powtórzyła cicho. Philip skinął głową.

- Tak. Twierdził, że pani będzie wiedziała, co to znaczy.

Wiedziała. Znaczy to, że Marcus jest poddawany intensywnym badaniom psychicznym, terapii i przeprogramowaniu. Zajmuje się nim polecona przez Jake'a psychiatra, jego szwagierka doktor Maisy Dalton. Znaczy to, że mimo wstawiennictwa Matta Marcus wciąż pozostaje w areszcie domowym na terenie bazy. I że w dalszym ciągu nie chce się z nią widzieć ani rozmawiać.

- Dziękuję, Philipie.

Marcusowi zrobiło się słabo. Wpatrywał się w dwa zdjęcia na biurku komendanta: jedno, portretowe, wykonane przez zawodowego fotografa, drugie czarno-białe, zrobione na lotnisku w Monachium. Mimo pozornych różnic - inny kolor włosów, inne okulary, inny kształt policzków - na obu zdjęciach widniał ten sam mężczyzna.

- Chwilę trwało, zanim Niemcy się zorientowali - wyjaśnił komendant Woods. - Facet podróżuje z fałszywym paszportem. Ale

przeprowadzono komputerową analizę rysów twarzy i właśnie otrzymałem wyniki. Na siedemdziesiąt procent na obu zdjęciach figuruje ten sam człowiek: Jerry Baxter.

- Złapie go pan na granicy - powiedział Marcus. Zabrzmiało to niemal jak pytanie.

Woods unikał wzroku podwładnego.

- Na pewno pomożemy policji z Delmonico zabezpieczyć wszystkie punkty graniczne. Ale nie wiemy, czy Baxter akurat tam zmierza. Może planuje dołączyć do DeBruzkiji w Rebelii? Chociaż to, jak go tam przyjmą, będzie zależało od tego, czy osiągnie zaplanowany cel.

Marcus przypomniał sobie rozmowę z Baxterem; odruchowo zacisnął pięści.

- Uważa pan, że Samantha nadal jest ich celem?

- Tak, w przeciwnym razie nie wezwałbym pana do siebie, poruczniku - przyznał Woods.

- Ochrona ambasad i ambasadorów nie należy do zadań Navy SEALs.

- Wiem. Miałem jednak nadzieję, że pan się tego podejmie.

Marcus ponownie wbił wzrok w zdjęcia na biurku.

- Nie mogę być odpowiedzialny za czyjeś bezpieczeństwo, panie komendancie. Choćby dlatego, że nie ręczę za własne zachowanie.

- Pani doktor twierdzi, że może pan już śmiało podjąć swoje obowiązki.

- Z całym szacunkiem, panie komendancie, ale doktor Dalton nie jest lekarzem wojskowym.

- I tylko dlatego nadal nosi pan mundur, więc proszę nie rozczulać się nad sobą.

- Musi pan zrozumieć, że nie jest odpowiedzialny za usiłowanie zabójstwa Samantha Barnes - powiedziała mu zaledwie wczoraj doktor Maisy Dalton. - To, jak dalej potoczą się wasze losy, zależy od pana.

Nie całkiem od niego; wiele zależy od Samantha. Może bowiem uznać, że nie chce mieć do czynienia z facetem, który wykonuje niebezpieczną pracę, jeździ na wojny, rzadko bywa w domu, nie zna swych korzeni i powstał z jakiejś dziwnej mieszanki genów. Może będzie wolała z kim innym założyć rodzinę, z kim innym mieć dzieci. Jeżeli wcześniej nie zginie w zamachu.

- Chciałbym prosić o dwa tygodnie urlopu, panie komendancie - rzekł Marcus, zwracając się do Woodsa.

- Nie widzę przeszkód. - Komendant uśmiechnął się. - O dziewiętnastej odlatuje samolot transportowy do Gaety. Może się pan nim zabrać.

O dziewiętnastej? Świetnie. Im szybciej, tym lepiej. Miał nadzieję, że zdąży.

Limuzyna ruszyła spod biało-szarego budynku Zgromadzenia Narodowego w Belagnie. Wszędzie wokół czerwone dachy domów lśniły w promieniach słońca.

Okna zdobiły skrzynki z kwiatami, chodniki zajmowali kramarze, a po wąskich uliczkach śmigali rowerzyści i motocykliści.

W cichym, klimatyzowanym wnętrzu Samantha oparła głowę o skórzany zagłówek, zamknęła oczy i oddała się marzeniom.

- Pani ambasador?

Zamrugnęła zdezorientowana. Najwyraźniej musiała się zdrzemnąć.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił szofer.

Chwyliła teczkę i zebrałszy się w sobie, uśmiechnęła się do młodego żołnierza, który otworzył drzwi limuzyny.

Boże, jaka jest zmęczona! A wieczorem jeszcze czeka ją uroczysty bankiet, na który zaproszono dwieście trzydzieści dziewięć osób. Na szczęście przygotowaniami zajęła się energiczna, doskonale zorganizowana Nancy Vandercourt. Tyle że sukces wieczoru będzie zależał nie tylko od jedzenia, jakie Nancy zamówiła, od kwiatów i muzyki, lecz przede wszystkim od Samantha. Od jej wdzięku, umiejętności czarowania gości, prowadzenia rozmowy.

Weszła po schodach na półpiętro, minęła elegancki hol prowadzący do sali balowej, po czym ruszyła wyżej, do swojego apartamentu. Po drodze dopadła ją Nancy z Philipem.

- Pani ambasador, potrzebny mi podpis...

- Gdyby pani mogła rzucić okiem...

- Czy chce pani, żeby...

Podpisała, rzuciła okiem, zaaprobowwała, potem przeprosiła i zniknęła za drzwiami swojego królestwa. Rozpiąwszy żakiet, odetchnęła z ulgą. I nagle z zadumy wyrwał ją męski głos:

- Musisz, kotku, być bardziej ostrożna. Ochrona w tym budynku jest do kitu.

Podskoczyła. Była piękna i wystraszona. W głębi duszy może nawet chciał ją przestraszyć. Dlatego wszedł do pokoju jak złodziej czy zamachowiec - przez okno. Przy okazji przekonał się, że budynek jest kiepsko strzeżony.

Strach zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca niedowierzaniu i radości.

- Marcus? - szepnęła, przykładając rękę do serca. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, przeprosić ją, wyjaśnić, przebiegła przez pokój i rzuciła mu się w ramiona.

- Jesteś. - Uśmiechając się przez łzy, gładziła go po policzku, po ramieniu, po czole. - Przyjechałeś...

Przytuliła się mocno, niczym żona marynarza, która po półrocznej nieobecności wita powracającego z rejsu męża. O takim powitaniu zawsze marzył. O takiej bezwarunkowej akceptacji. O takiej miłości.

Odwzajemnił uścisk. Samanthę przepelniło szczęście. Bała się, że duma i poczucie winy nie pozwolą Marcusowi do niej wrócić. Nie zdawała sobie sprawy z siły jego uczucia, z siły pożądania. Delikatnie pociągnęła go w stronę łóżka.

- Co za łoże! - szepnął.

Łoże rzeczywiście było imponujące. Siedemnastowieczne, Z baldachimem, ze śnieżno-białą i miękką jak puch kołdrą.

- Podoba ci się? - Zaczęła rozpinąć mu koszulę.

- Nie po to przyjechałem, Sam.

- A po co? - spytała szeptem.

- Zapomniałem. - Uśmiechnął się. - Kiedy mnie dotykasz, zapominam o całym świecie.

- W takim razie...

Objęła go za szyję i przywarła ustami do jego ust. Już nie czuła się zmęczona, samotna ani smutna. Czuła się piękna i pożądana.

Osunęli się na materac. Zza drzwi docierała muzyka, szum odkurzacza, brzęczenie szkła, odgłosy rozmów. Ale tu byli tylko oni, spleceni w miłosnym uścisku.

Później, gdy leżeli zdyszani, Marcus oparł się na łokciu i powiódł wzrokiem po jej nagim ciele.

- Widzisz? Miałem rację, że ochrona jest do kitu. Krzyknęłaś i nikt nie zareagował.

- Oprócz ciebie.

- Mówię serio.

- Wiem, ale to chyba dobrze, że nie wpadło tu dziesięciu marines. Sytuacja byłaby dość niezręczna. Musiałabym się tłumaczyć...

- E, sądzę, że sami domyśliliby się, co jest grane.

- Tak, ale zepsuliby mi orgazm.

Marcus ryknął śmiechem. Przytuliła policzek do jego piersi.
Serce biło mu mocno, równomiernie.

- Marcus?

- Co, kotku?

- Dlaczego przyjechałeś?

- Żeby cię chronić. - Liczyła na inną odpowiedź. -Dwa dni temu
- kontynuował - na lotnisku w Monachium niemiecka policja
sfotografowała pewnego mężczyznę. Podejrzewamy, że to Jerry
Baxter. A Monachium leży niecałe czterysta kilometrów stąd.

Uniosła głowę.

- To jedyny powód?

- Tak. Nie. - Na moment zamilkł. - Czy Jake Ingram opowiedział
ci o mnie? O nas?

- To znaczy o Proteuszu? Owszem.

Dotykali się, obejmowali, całowali, mimo to czuła, jak Marcus
się od niej oddala, jak wycofuje się w głąb siebie.

- Więc wiesz, że jestem dziwolągiem? Że mam jakieś cudaczne
geny?

- Masz normalne geny. Może sposób, w jaki je dobrano, jest
trochę niekonwencjonalny...

- Trochę?

- Ale miałeś matkę, ojca, masz rodzeństwo. Marcus, ja...

- Po urodzeniu dano mi na imię Mark. Właśnie się o tym
dowiedziałem. Dowiedziałem się też, że można mnie kontrolować za
pomocą hipnozy. Kiepski ze mnie materiał na partnera, Sam.

- Jeśli zgodzisz się, żeby cię przeprogramowano...

- Przeprogramowaniem można co najwyżej usunąć skutki indoktrynacji lub zlikwidować zakodowany we mnie „impuls” hipnotyczny. Natomiast nie można zmienić mojej konstrukcji genetycznej.

- Po co ją zmieniać? Mnie się podobasz.

- Jestem inny, Samantho. Moje dziecko też może być inne.

- To znaczy jakie? Szybsze? Silniejsze?

- Inne.

- Wyjątkowe.

- Nienormalne.

Usiadła. Zauważyła, jakim pożądlivym wzrokiem Marcus wpatruje się w jej nagie piersi. Bardzo dobrze, pomyślała. Zamierzała walczyć wszystkimi dostępnymi środkami.

- Chcesz być normalny? - spytała. - Dlaczego? Jesteś członkiem elitarniej jednostki Navy SEAL. Myślisz, że tam się dostają normalni ludzie? Myślisz, że normalni ludzie wytrzymują ten morderczy półroczny obóz, o którym mi opowiadałeś? Nie, normalni ludzie odpadają po tygodniu lub dwóch. Zostają ludzie wyjątkowi, niekoniecznie posiadający nadludzką siłę czy wytrzymałość, lecz obdarzeni odwagą, ceniący lojalność i honor, ludzie wielkiego serca. To dzięki tym cechom się wyróżniasz, Marcus.

Przyciągnąwszy Samanthę do siebie, zamknął jej Usta pocałunkiem. Ale na to, co przed chwilą powiedziała, nie zareagował.

A to znaczy, że się z nią nie zgadza. Może z czasem zdoła go przekonać? Nagle poderwała się.

- Boże! Która godzina?

- Dochodzi ósma. - Zmrużył oczy. - Bo co?

- Wydaję przyjęcie. O dziewiątej, tu w ambasadzie.

- Żartujesz, prawda?

- Nie. Wiem, że to trochę nam nie na rękę...

- Nie na rękę? Samantha, nie słyszałaś, co mówiłem o Baxterze?

Facet chce cię zabić.

- Tu się przecież nie pojawi. - Wstała z łóżka. - Nancy

Vandercourt starannie układała listę zaproszonych... - Kotku, skoro udało mu się wkroczyć do Departamentu Stanu, myślisz, że nie zdoła się wmieszać w tłum twoich gości?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przyjęcia nie odwołano. To, jak oznajmiła Samantha, absolutnie nie wchodziło w grę. Przypomniawszy sobie, co powiedziała, kiedy porwał ją kilka tygodni temu: że każda praca wiąże się z ryzykiem.

Zanim zeszła na dół, piękna i olśniewająca w długiej sukni z niebieskiego jedwabiu, próbowała go uspokoić:

- Będę się miała na baczności. Zresztą ambasady strzeże czterech agentów z Wydziału Bezpieczeństwa Departamentu Stanu, oddział marines i połowa policji w Delmonico.

Korciło go, by jej powiedzieć, że jemu bez trudu udało się dostać do części mieszkalnej. Ugryzł się jednak w język. Po co ją straszyć?

Kiedy Samantha ubierała się, wykonał odbitki zdjęć Baxtera i rozdał je wszystkim ludziom odpowiedzialnym za ochronę ambasady. Następnie wziął od Nancy Vandercourt listę gości i poprosił Philipa, by zaznaczył nazwiska osób, których nie zna i za które nie może ręczyć.

Kiedy samochody z gośćmi zaczęły podjeżdżać, prze-faksował listę Jimmy'emu, po czym wskoczył szybko pod prysznic. Wcześniej powiesił mundur w łazience, żeby wilgoć usunęła z niego zagniecenia. Dziesięć minut później ubrany, wykąpany, z bronią w kaburze, opuścił apartament.

- Jak się panu podoba Delmonico, poruczniku? - spytał stojący przy drzwiach młody żołnierz.

- Bardziej niż Bagdad - odparł Marcus. Szerokimi schodami ruszył na dół. Krótka wymiana zdań ze strażnikiem skłoniła go do zadumy. Przebywa w rezydencji ambasador Samantha Barnes, spał w jej łóżku. Prędzej czy później ktoś to zauważy, informacja rozniesie się po mieście.

Czy jego obecność nie stwarza dodatkowego zagrożenia? Gotów był umrzeć dla Samantha. Ale czy gotów był dzielić z nią życie?

Spostrzegł ją w blasku żyrandoli i zaparło mu dech. Uśmiechnęła się; nie był to miły uśmiech, jakim obdzielała wszystkich, lecz uśmiech przeznaczony wyłącznie dla niego.

- Dobrze się bawisz? - spytała, kiedy podszedł bliżej.

- Wyśmienicie - skłamał.

Krążył po sali, dyskretnie wypatrując Baxtera, podejrzanej paczki, nagłego ruchu, dziwnego wyrazu twarzy, słowem czegoś, co mogłoby sygnalizować zagrożenie. Wszystkie zmysły miał wyostrzone. Suknie kobiet falowały w rytm muzyki, lekki wiaterek wprawiał w ruch zasłony w oknach. Jakaś blondynka podniosła ze stołu torebkę, oficer na tarasie sięgnął po cygaro. Parę minut później na drugim końcu sali ujrzał Samanthę rozmawiającą z... Kim jest ten facet? Stał pochylony, jakby uważnie słuchał każdego słowa, w rzeczywistości zaś ciągle zerkał jej w dekolt. Drań!

Marcus skreślił w ich stronę. Wtem kątem oka dostrzegł jakiś ruch na skraju parkietu. Ktoś przedzierał się przez tłum, zmierzając ku Samancie. Marcus wydłużył krok; chciał przyjrzeć się twarzy gościa.

Facet wyglądał normalnie, nie wzbudzał podejrzeń; ot, jeszcze jeden krepy siwy dyplomata w garniturze, z ręką na piersi jak Napoleon.

Lub jak zabójca sięgający po broń.

Nie miał czasu, by go obserwować, analizować jego zachowanie, mężczyzna bowiem wysunął rękę spod poły marynarki, wycelował broń w głowę Samantha i pociągnął za spust.

Zauważyła Marcusa, który szedł w jej stronę. Serce zabiło jej mocniej. Na tle mężczyzn w czarnych garniturach i kobiet w długich eleganckich sukniach wyglądał jak łabędź pośród stada kaczek i gęsi. Nagle przyspieszył. Biegł... nie, gnał, jakby goniło go stado wilków. A potem zatrzymał się w pół kroku, mniej więcej pięć metrów od niej. Moment wcześniej usłyszała stłumiony trzask, ale i bez tego domyśliłaby się, co się stało.

Na białym mundurze wyrosła czerwona plama krwi.

Kula nie była przeznaczona dla niego, lecz dla niej.

W sali zapanował tumult. Krzyk, piski, brzęk tłuczonego szkła, łoskot przewracanych krzeseł i stołów. Zdenerwowani goście pędzący do wyjścia lub usiłujący się gdzieś skryć. Jeden z agentów pchnął Samanthę na podłogę.

- Nie! - Próbowała się podnieść, dojrzeć Marcusa, ale agent przygniatał ją do zimnej marmurowej posadzki.

- Proszę się nie ruszać! Samantha odepchnęła go.

- Marcus!

- W porządku, pani ambasador; niech się pani nie denerwuje.

Mamy go.

- Marcusa?

- Tego, co strzelał.

- Jak mnie natychmiast nie puścisz - warknęła Samantha przez zaciśnięte zęby - to ja zastrzelę ciebie.

Była zdesperowana. Nie obchodziło ją, co ludzie powiedzą. Musi dotrzeć do Marcusa, zobaczyć, przekonać się, czy...

Agent odsunął się.

Ignorując ręce, które chciały ją podnieść, Samantha poderwała się na nogi i pobiegła w kierunku grupy stłoczonej pośrodku sali. Precysnąwszy się między garniturami, kucnęła przy leżącym. Kobieta w srebrzystej sukni - przypuszczalnie lekarka - przykładała Marcusowi do piersi serwetkę, a jednocześnie wydawała po niemiecku polecenia.

Serwetka była czerwona od krwi.

- Marcus? - szepnęła Samantha.

Otworzył oczy. Napotkawszy jej wzrok, uśmiechnął się drwiąco.

- „Szybki jak błyskawica” - powiedział słabym głosem, a potem stracił przytomność.

Ktoś ujął Samanthę za łokieć.

- Przykro mi, pani ambasador. Powinna pani... Szarpnęła, uwalniając rękę.

- On żyje.

Agent, który pchnął ją na podłogę, a później pobiegł za nią do grupy otaczającej rannego, odchrząknął.

- Pani ambasador, trafiła go wystrzelona z bliskiej odległości kula o kalibrze siedem milimetrów. Nawet jeśli ominęła serce, sytuacja nie wygląda dobrze.

Lekarka w srebrzystej sukni ręce miała mokre od krwi, ubranie zaplamione. W Samanthę wstąpiła nadzieja-. Marcus wciąż krwawi, wciąż oddycha. Żyje.

Wstała z podłogi.

- Philipie!

Asystent wyrósł jak spod ziemi, blady i potargany.

- Potrzebuję najlepszych lekarzy. Chirurgów. I transport lotniczy. Musimy go jak najszybciej przewieźć do szpitala wojskowego w Neapolu.

- Jest silny - oznajmił Jake Ingram, który stał w drzwiach szpitalnej poczekalni. - Zobaczysz, wyjdzie z tego. Na jego miejscu każdy inny dawno by już nie żył.

Wiedziała, że Jake próbuje ją pocieszyć, mimo to przeszły ją ciarki. Stan tak umarł - w szpitalu, podczas gdy ona na zmianę to krążyła nerwowo po korytarzu, to siedziała bez ruchu w jaskrawo oświetlonej poczekalni.

Czekała na poprawę od trzydziestu sześciu godzin. Zdążyła w tym czasie odnaleźć Jake'a Ingrama na teksaskim ranczu jego przysięgo teścia, a także porozmawiać przez telefon z adopcyjnymi rodzicami Marcusa mieszkającymi w Maryland i jego zapłakaną siostrą Honey.

Lekarze powiedzieli, że nic więcej nie mogą zrobić. Że po operacji można tylko modlić się i czekać.

Evansowie jeszcze nie dotarli do Neapolu. Jake'owi się udało; użył swych wpływów i przyleciał samolotem wojskowym.

- Przynieść ci kawy?

- Nie, dziękuję - odparła Samantha.

- Doktor Wilson, ten chirurg, mówił, że naprawili płuco...

Nie chciała rozmawiać o operacji. W ogóle nie chciała rozmawiać; bała się, że zaraz się załamie. Ale była wdzięczna Jake'owi, że stara się podtrzymać ją na duchu.

- Cieszę się, że tu jesteś, Jake.

Kiedy wzruszył ramionami, dojrzała w nim podobieństwo do Marcusa.

- To mój brat - oznajmił. - Dopiero go odnalazłem, po dwudziestu paru latach, więc nie chcę go znów stracić.

- Jemu też będzie miło, że przyleciałeś.

Jeżeli kiedykolwiek odzyska przytomność, pomyślała, czując straszliwy ucisk w piersi. Boże, spraw, żeby wyzdrowiał!

- Prawdę mówiąc... - zaczął Jake.

Czekała. Znała Jake'a od wielu lat; przyjaźnił się z Mattem i Ethanem, prowadził interesy z jej mężem.

- ...odetchnąłem z ulgą, opuszczając Stany - dokończył.

- Męczyci cię ta kradzież w Banku Światowym? - spytała współczującym tonem.

- Raczej naciski ze strony narzeczonej.

- Tary?
- Tak. Nalega, żebyśmy ustalili datę ślubu.
- To takie dziwne?
- Nie. Zamierzamy się pobrać. Bardzo tego chcę, ale... -

Przejechał ręką włosy. - Wiesz, nawet jej nie powiedziałem, dokąd jadę. Ani kim... czym... jestem.

- Ależ Jake, musisz.
- Kiedyś to zrobię.
- Nie kiedyś. Teraz.
- Wszystko jest dość skomplikowane i bez tego. Ledwo

wylądowałem w Neapolu, otrzymałem wiadomość o kłopotach w Chicago. Jak tylko Mark... Marcus... odzyska przytomność, muszę natychmiast wracać. Rozmowa z Tarą może poczekać.

- Jesteś pewien, Jake? A jeśli coś ci się stanie? - Na przykład zostaniesz śmiertelnie postrzelony, ale tego nie powiedziała na głos. - Owszem, istnieje ryzyko, że prawda was rozdzieli, ale na razie dzielą was tajemnice. Błagam cię, nie zostawiaj niczego na później...

Głos jej zadrżał. Broda też. Psiakość. Tak dobrze się dotąd trzymała. Jake podszedł bliżej.

- Samantha...
- Pani ambasador... - Do poczekalni zajrzał wysoki, ciemnoskóry sanitariusz. - Przenieśliśmy porucznika Evansa na oddział. Chciałaby pani do niego zajrzeć?
- Obudził się? - spytała z nadzieją w głosie.

- Nie, proszę pani. Ale proszę się nie martwić; organizm ma bardzo silny. Lekarze nie mogą wyjść z podziwu.

Wstała, po czym nagle obejrzała się przez ramię.

- Jake, jesteś jego bratem. Może ty...

- Nie, Samantha, to ciebie będzie chciał zobaczyć, kiedy w końcu otworzy oczy - odparł łagodnie Jake.

Kiedy. Nie jeśli. Zrobiło się jej raźniej na duchu. Przez całą drogę sanitariusz coś do niej mówił, usiłując przygotować ją psychicznie na to, co za moment ujrzy.

Mimo jego nadludzkiej siły i wyjątkowego poczęcia, zawsze uważała Marcusa za normalnego człowieka. Teraz, podłączony dziesiątkami rurek do najróżniejszych maszyn, prawie w niczym człowieka nie przypominał. Zaszło jej w gardle.

- Pięć minut, nie dłużej - rzekł sanitariusz, zaciągając zasłonę w pasy, która oddzielała jedno łóżko od drugiego.

Ostrożnie, by nic nie poruszyć i nie zakłócić pracy skomplikowanych urządzeń medycznych, Samantha ujęła Marcusa za rękę. Nie zareagował. Łzy piekły ją w oczy, spływały po policzkach. Nie zwracała na nie uwagi. Pochyliwszy się nad łóżkiem, przytknęła policzek do czoła rannego mężczyzny. Po chwili zbliżyła usta do jego ucha:

- Słuchaj, marynarzu - rzekła silnym, opanowanym głosem. - Kocham cię. I jestem w ciąży. Więc wróć do mnie, bo nie zamierzam sama wychowywać super-dziecka.

Czekała. Maszyny cicho szumiały, ekrany migotały. Marcus leżał bez ruchu. Wzdychając ciężko, Samantha wyprostowała się, by ulżyć obolałym plecóm. Na ból w sercu nic nie mogła poradzić. I nagle zobaczyła, że Marcus ma otwarte oczy.

- Mówiłaś, że stosujesz antykoncepcję - powiedział trzy dni później, jednak bez cienia pretensji w głosie.

- Mówiłam, że nie mogę zająć w ciążę - sprostowała Samantha, podsuwając mu jajecznicę.

Trzy dni w szpitalu i wczorajsza wizyta rodziców dokonały cudu. Marcus czuł się znacznie lepiej, wrócił mu apetyt. Podobno pielęgniarki zakładały się, ile przystojny marynarz zje i jak szybko zostanie wypisany do domu.

- I to prawda, nie mogłam. - Uśmiechnęła się. - Chyba zadziałała twoja supersperma.

Marcus posmarował grzankę dżemem.

- Musimy się pobrać - oświadczył.

- Tak? - Serce zabiło jej mocniej.

- No pewnie. Chyba nie zamierzasz oddać dzieciaka do adopcji?

- Oczywiście, że nie.

- Więc się pobierzemy. Proste.

- Wcale nie.

- Chodzi ci o moją pracę? Już rozmawiałem z komendantem Woodsem. Porwanie zostało mi wybaczone. Mogę wracać do swoich zajęć.

- Cieszę się - powiedziała szczerze. - Wiem, ile to dla ciebie znaczy. Ale...

- Martwisz się, że będziemy mieszkać na dwóch kontynentach? Poproszę o przeniesienie do Delmonico. Będę mógł cię dalej strzec.

Chciała mieć męża, nie ochroniarza. Wzięła do ust kawałek grzanki.

- Strzec? Przed kim? Baxtera przecież zatrzymano.

- Przyznał się, że pracował dla Koalicji. A oni wciąż mogą na ciebie polować.

Oblizła palce.

- Innymi słowy nadal potrzebuję ochrony? Marcus skinął głową.

- Wiesz, co ten drań po... - Zamilkł.

- No? Co powiedział?

- Że wypadek, w którym zginął twój mąż... Prawdopodobnie to wcale nie był wypadek. Przykro mi, Sam.

Zamurowało ją.

- Baxter...?

- Nie on osobiście. Ale twierdzi, że to Koalicja się postarała, aby rozpedzona ciężarówka- zderzyła się z samochodem twojego męża.

Nie chcieli dopuścić do podpisania porozumienia.

- Więc zamordowali Stana...

- Nie przyszło im do głowy, że będziesz kontynuować jego dzieło. Pomściłaś śmierć męża, Sam. Póki ty żyjesz, on żyje. W twoich wspomnieniach, w twoim sercu. I dzięki twojej pracy.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

- Twoje zwycięstwo jest ich przegraną. - Ujął ją za rękę. -
Musisz żyć, kotku.

- Mam po co - szepnęła. - Dla dziecka.

- I dla mnie.

Nie odezwała się. Ścisnął mocniej jej rękę.

- Dla dziecka i dla mnie, Sam.

- Nie musisz się ze mną żenić dlatego, że jestem w ciąży -
powiedziała, unikając jego wzroku.

- Muszę - odrzekł urażony.

W jej oczach odmalował się smutek.

- Poczucie obowiązku nie jest dostatecznym powodem, żeby
brać ślub.

- Nie chcesz wyjść za mnie za męża?

- Nie, jeśli mnie nie kochasz.

Od razu zrobiło mu się lżej na duszy.

- Kretyn ze mnie! - zawołał. - Ale muszę powiedzieć, że jak na
inteligentną kobietę ty też miewasz głupie pomysły.

Odsunął na bok tacę ze śniadaniem, po czym spuścił nogi.

- Co robisz? - spytała Samantha.

- Coś, co powinienem był zrobić trzy dni temu, tylko że wtedy
nie mogłem wstać.

- Teraz też nie powinieneś. Słyszysz? - Usiłowała przybrać srogi
ton, lecz nie bardzo się jej udało. - Bo zawołam pielęgniarkę!

- Jeśli chcesz mieć świadków, proszę bardzo. Wołaj. Pokój zastawiony był kwiatami. Marcus rozejrzył się uważnie i z jednego z wazonów wyciągnął różę. Piękną, czerwoną, na długiej łodydze.

Ukląkł - nie było to łatwe, bo po pierwsze, miał na sobie rozpiętą z tyłu szpitalną koszulę, a po drugie, nadal był połączony z zawieszoną na pręcie kroplówką - po czym ujął dłoń Samantha.

Drżała. On też. Z przejęcia.

- No dobrze, zobaczymy, czy teraz zdołam wszystko wykonać prawidłowo. Kotku, kocham cię. Pragnę cię. Chciałbym spędzić z tobą resztę życia. Czy zostaniesz moją żoną?

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Też cię kocham - oznajmiła, uśmiechając się czule. - I też chcę spędzić z tobą resztę życia. Czy mógłbyś teraz wrócić do łóżka?

Poderwawszy się na nogi, posłał jej łobuzerski uśmiech.

- Jeśli to zaproszenie, to tak. Odrzuciła na bok kołdrę.

- Wprawdzie tempem zdrowienia zadziwiasz lekarzy, ale wydaję mi się, mój Supermanie, że chyba przeceniasz swoje możliwości.

Czekała ją jednak miła niespodzianka...

KONIEC